

Leonardo Patrignani

Wszechświaty

*Mojemu ojcu.
W jednym z nieskończonych światów równoległych
- wcześniej czy później - spotkamy się.*

Alex Loria był gotów na zdobycie decydującego kosza.

Żółto-niebieska koszulka przesiąknięta potem, blond włosy opadające kaskadą na czoło i spojrzenie kogoś, kto wie, że sobie poradzi.

Był kapitanem. W ostatniej minucie zyskał dwa rzuty wolne. Pierwszy był trafiony. Obręcz-tablica-obręcz-kosz.

Brakowało tylko jednego punktu. Nie mógł zawieść.

Alex otarł ręce o spodenki i zapatrzył się na sędziego, gdy obok niego przeleciała piłka. Szybki, chłodny rzut oka na autora faula - chłopca uczęszczającego do szkoły z naprzeciwnika; potem skoncentrował się na rzucie wolnym.

- Wrzucimy piłkę do kosza i zwyciężmy w tym meczu, no, dalej Alex... - szeptał sam do siebie zachęcająco, gdy z pochyloną głową kozłował piłkę. Koledzy zamilkli w napięciu i gotowości do skoku, kiedy trzy proste, bezwzględne uderzenia rozniosły się echem po szkolnej sali gimnastycznej. To był tylko mecz towarzyski, na trybunach nie było rodziców trzymających transparenty i dzieci zjadających popcorn. I nikt nie chciał przegrać, zwłaszcza kapitan.

I nagle *to* uczucie pustki. Nogi jak z waty. Silny dreszcz biegnący po plecach. Zamglony wzrok. Zaskoczeni koledzy z jego drużyny i przeciwnicy widzieli, jak Alex upada na kolana; jedną ręką oparł się o sztuczną nawierzchnię boiska i z trudem oddychał.

Poczuł to.

To coś znowu nadchodziło.

- Siądziesz wreszcie za stołem? - krzyknęła Klara z kuchni.

- Sekundę, mamó!

- Już od dwudziestu minut mówisz „sekundę” rusz się!

Jenny Graver westchnęła i potrząsnęła głową, gdy zamykała myszą różne aplikacje na swoim MacBooku Pro. Podniosła oczy na zegar ścienny. Ósma piętnaście. Z tonu głosu matki można było wywnioskować, że nie zniesie już dłuższego spóźnienia.

Jenny wstała i spojrzała w lustro wiszące nad biurkiem. Bujne, kasztanowe włosy opadały na jej szerokie plecy zawodowe; pływaczki. Mimo swoich szesnastu lat, Jenny mogła się już pochwalić sporą kolekcją medali, które wisiały na ścianach korytarza na pierwszym piętrze Willi Graverów. Zwycięstwa te były dumą jej ojca Rogera - byłego, słynnego w swoim czasie, mistrza w pływaniu w Melbourne.

Jenny wyszła z pokoju, następnie udała się korytarzem do łazienki, aby umyć ręce. Na schodach unosił się smakowity zapach czegoś smażonego.

Nagle *ten sam* dreszcz. Znała go już bardzo dobrze.

Jej twarz wykrzywił grymas, dziewczyna zrobiła dwa kroki do przodu i próbowała oprzeć się o brzeg umywalki, żeby nie upaść. Naraz poczuła, że jej ciało osunęło się, jakby mięśnie nie były zdolne odpowiadać na jakiegokolwiek polecenia idące z jej mózgu.

To coś znowu nadchodziło.

- *Gdzie jesteś?* - Głos był donośny, dziurawił mózg.

Cisza.

Jakiś lament z oddali, złowieszczy i niespokojny, jak płacz, który odbija się echem z głębi przepaści.

- *Powiedz, gdzie mieszkasz...*

- *Mel...* - Jenny z trudem usiłowała odpowiedzieć, ale nie dokończyła słowa.

- *Jestem w stanie cię usłyszeć... Muszę wiedzieć, gdzie jesteś.*

Każda sylaba wypowiedziana przez Alexa jak igła wbijała się w jej głowę. Ból był przeszywający.

Odpowiedzi towarzyszyła płatanina krzyków i dziecięce wybuchy śmiechu. W głowie - jak w jakimś wirze - kręciła się mieszanina trudnych do odróżnienia ludzkich emocji. Ale nazwa przeszła już do przestrzeni i dotarła do celu.

- *Melbourne.*

- *Znajdę cię* - to było ostatnie zdanie wypowiedziane przez męski głos, zanim zapadła ciemność.

2

Klara Graver zdjęła kuchenne rękawice i pobiegła piętro wyżej zaraz po usłyszeniu głuchego uderzenia spowodowanego upadkiem Jenny. Zdyszana weszła po schodach, o mały włos się nie potykając, a kiedy znalazła się naprzeciw niedomkniętych drzwi, pchnęła je i otworzyła na oścież. Jej córka leżała na podłodze z pianą na ustach i spływającą stróżką krwi.

- Jenny! - krzyknęła, klękając obok nieprzytomnego ciała. Oczy dziewczyny były wytrzeszczone. Wzrok zagubiony w pustce.

- Kochanie... jestem tutaj. Spójrz na mnie.

Paroma uderzeniami w policzki Klarze udało się ocucić córkę. Ta prosta, ale skuteczna technika weszła jej już w nawyk.

Roger wbiegł na górę, przeskakując po dwa schody i wszedł do łazienki. Najpierw przyjrzał się żonie, a potem córce, która bardzo powoli wracała do przytomności.

- Jak się czuje?

Klara nie odpowiedziała, ograniczyła się do wzruszenia ramionami.

- Znowu to samo? - dopytywał, mimo że doskonale znał odpowiedź.

Jenny powoli dostrzegła zalęknione spojrzenie ojca. Chciała go uspokoić.

- Czuję się dobrze.

- Uderzyłaś głową?

- Nie, myślę, że nie.

Roger zbliżył się i podłożył rękę pod jej głowę. Palce miał pobrudzone czerwienią.

- Jennifer, to jest krew - ton głosu Rogera nie wyrażał zaniepokojenia, a raczej pogodzenie się z faktem.

- Och, mój Boże! - krzyknęła Klara.

- Spokojnie, to powierzchowna rana - uspokoił ją, kiedy Jenny masowała sobie głowę.

- Jesteś w stanie się podnieść? - zapytała Klara, podając córce rękę. Jenny pochyliła się do przodu, a bolesne ukłucie przeszło prawą stronę jej czoła. W końcu wstała.

- Teraz połóż się spokojnie do łóżka, a ja przygotowuję ci ziołową herbatkę - powiedziała czułym tonem matka, rozciągając usta w wymuszonym uśmiechu.

Roger pokiwał głową.

- Święty Boże, Klaro, kiedy wreszcie zrozumiesz, że twoimi herbatkami nie wyleczymy naszej córki? Doktor Coleman powiedział, że...

- Nie obchodzi mnie, *co* powiedział doktor Coleman!

- Gdybyś tylko wzięła pod uwagę terapię...

- Już o tym rozmawialiśmy, odpowiedź brzmi: nie! - przerwała mu zdecydowanie. - Jenny czuje się... Jenny czuje się znakomicie.

Tymczasem dziewczyna przesunęła się w stronę okna i teraz stała tam ze wzrokiem utkwionym w pustkę. Poprzez zasłony wyszywane ręcznie przez jej babcię widać było dachy wielu willi przy Blyth Street. Klótnia rodziców to było przedstawienie, które Jenny doskonale już знаła.

Omdlenia zaczęły się cztery lata wcześniej. Właśnie świętowała swoje dwunaste urodziny i bawiła się prezentami przyniesionymi przez przyjaciół i krewnych. Matka ścierała kurze z mebli w jadalni, a ona, stojąc przed telewizorem, upadła na podłogę jak martwa. Zdołała powiedzieć tylko „mamo”, kiedy poczuła, że głowa zaczyna *jej* ciążyć, a oczy nagle zachodzą mgłą. Ostatnim obrazem, który zapamiętała przed zemdleniem, był dyplom matki - oprawiony w ramki i zawieszony na ścianie jadalni: Klara Mancinelli, magister literatury - ocena wyróżniająca. W dole, obok podpisu rektora, znajdowała się pieczęć Uniwersytetu La Sapienza w Rzymie. Pergaminowy dokument nosił datę 8 maja 1996 roku. To było dokładnie tydzień przed tym, jak Klara poznała Rogera na wakacjach w stolicy, gdzie był z przyjacielem, i zdecydowała się odmienić bieg swojego losu, jadąc z nim do Australii. Jej mama często lubiła przypominać, że gdyby nie weszła do kawiarni Eur z powodu pilnej potrzeby skorzystania / toalety, ona i Roger nigdy by się nie spotkali. A Jenny by się nie urodziła.

Żadne badania medyczne, którym Jenny została poddana, nie przyniosły jakiegokolwiek niepokojącej diagnozy. Dziecko nie miało problemów ani z ciśnieniem, ani z sercem. Cieszyło się doskonałym zdrowiem, a jej wyniki sportowe były najlepszym tego dowodem. Dwa lata pod rząd zdobyła złoty medal w turnieju prowincji i została wybrana na Olimpiadę Szkolną i ku radości Rogera, który był jej osobistym trenerem przez cztery popołudnia w tygodniu w Ośrodku Sportów Wodnych w Melbourne.

Od tamtego czasu epizody tego rodzaju powtarzały się coraz częściej. Czasami przybierały charakter ataku epilepsji, innym znów razem były to zwyczajne omdlenia. Według lekarzy, z którymi Klara się konsultowała, nie istniały podstawy do leczenia epilepsji. Zamiłowanie kobiety do terapii kwiatowej Bacha' i homeopatii stało w sprzeczności z tradycyjną wizją Rogera i aż do tego momentu wszystko pozostawało pod *jej* kontrolą. Żadnych leków, żadnego leczenia. W następnych latach Jenny nauczyła się żyć z tym, co nazywała atakami*. Przydarzały jej się w najprzeróżniejszych sytuacjach. podczas wycieczki szkolnej w Brisbane, kiedy to zemdląca w holu hotelowym, gdy nauczycielka rozdelała pokoje uczniom. W kinie, nawet jej przyjaciółki nie zauważyły, że Jenny osunęła się w fotelu z głową przechyloną w lewo i dyndającymi ramionami, podczas gdy one oglądały film. A potem w pizzerii, gdzie Roger świętował z nią jej pierwszy złoty medal, i w Burger King, gdy drużyna pływacka spotkała się z trenerem. Nie mówiąc już o

* Terapia kwiatowa doktora Bacha - jej twórcą był angielski immunolog i bakteriolog Edward Bach (1886-1936), który opracował alternatywny system leczenia polegający na dotarciu do źródeł dolegliwości fizycznych znajdujących się w psychice. Dał podwaliny

wszystkich incydentach mających miejsce w domu, w łóżku lub w którymś z pokoi willi przy Blyth Street. Na szczęście - myślała o tym często - atak nigdy nie nastąpił w basenie. Byłoby to ryzykowne dla życia.

Rodzice jednak nigdy się nie dowiedzieli, co przydarzało jej się podczas takich omdleń.

3

Po krótkim badaniu lekarz szkolny poklepał Alexa po plecach i kazał mu wstać. Widoczny w głębi korytarza gabinet znajdujący się na ostatnim piętrze, obok biblioteki, był niewyróżniającym się pokojem wyposażonym w biurko, łóżko i mebel na farmaceutyki. Wystrój był biały, zimny i mało przyjazny, podobnie jak sarkastyczny ton i pogardliwy wyraz twarzy doktora.

- Kapitanie, zapamiętaj sobie, że jesteśmy o krok od decydujących rozgrywek.
- Doskonale pamiętam - odpowiedział Alex, wbijając wzrok w pewnego siebie lekarza.
- Stresują cię mistrzostwa - upierał się mężczyzna - czy problemem są obowiązki szkolne?
- Nic mnie nie stresuje - uciał krótko chłopak, ale dobrze wiedział, że to nieprawda. - Mogę już iść?

Za drzwiami gabinetu czekał na niego Teo - trener drużyny koszykarskiej. Oparty plecami o ścianę korytarza, trzymał w ręce biografię Michaela Jordana - mistrza koszykówki, którego zwykle przedstawiano jako wzór sportowego idola.

Alex zignorował go i skierował się w stronę korytarza, ale mężczyzna poszedł za nim.

- Alex, zaczekaj.
- O co chodzi? Wszystko w porządku.
- Nie wszystko. Jeśli będziemy wciąż mieli takie kłopoty, nie możemy wystawić cię w kluczowych rozgrywkach.

Alex przyjrzał mu się i przez moment skoncentrował na słowie „będziemy”. To było przyzwyczajenie trenera. Zawsze myślał o drużynie. Jeśli jeden chłopak miał problem, to dotyczył on wszystkich innych.

- Niech pan robi, jak uważa.
- Jesteś kapitanem, twoi koledzy cię potrzebują. Ale jeśli upadniesz w decydującej chwili i narazisz także swoje zdrowie... to mamy niezły zgryz.
- Więc znajdźcie sobie nowego kapitana. Nie wiem, co mam zrobić. Lekarze mówią, że nic mi nie jest.
- Jednak twoi rodzice twierdzą coś innego.

Alex zatrzymał się i przyjrzał trenerowi, który z determinacją wytrzymał jego spojrzenie.

- Moi rodzice są zbyt przestraszeni.
- Natomiast według mnie, to ty ukrywasz coś przede mną. Alex, do licha, jesteś najlepszy, aleja nie mogę ryzykować, że... że stanie się to, co stało się dzisiaj, i to jeszcze podczas finału.
- Proszę pozwolić mi odejść, to nie dojdziemy nawet do finału. Alex zbiegł szybko po schodach i wreszcie wyszedł na świeże powietrze. Kiedy przechodził przez Aleję Porpora, podniósł kołnierzyk kurtki, żeby ochronić się przed zimnym i przeszywającym powietrzem

Mediolanu; myśli tłukły mu się po głowie, nie dając spokoju.

Ciągle coś roztrząsał, aż w końcu doszedł do bramy domu. Nie powinien stracić finału sezonu. Był najlepszym zawodnikiem kryjącym przeciwnika, był kapitanem, dał z siebie wszystko, aż do tej chwili. Ale jeśli trener zdecydowałby się go usunąć, jego opinia miałaby niewielkie znaczenie.

Wszedł na pierwsze piętro. Kobieta zajmująca mieszkanie obok powiedziała mu „dzień dobry”, ale on ograniczył się do formalnego uśmiechu i skinięcia głową.

- Już nie mogę... - szepnął, kiedy obracał klucz w zamku opancerzonych drzwi.

Dom przyjął go, jak zawsze, w milczeniu. O tej godzinie rodzice byli w pracy. Na meblu, przy wejściu, matka zostawiła kartkę z tekstem: *Obok kuchenki mikrofalowej jest tarta warzywna. Proszę, poucz się! Ucałowania, mama.* Alex przeszedł obok, nie zwracając uwagi na notatkę.

Gdy tylko znalazł się w pokoju, rzucił plecak obok biurka, zdjął kurtkę i usiadł na brzegu łóżka. Na szczęście - pomyślał - nie uderzył głową. Ostatnio był w stanie przewidzieć nadejście ataku i wcześniej przyklęknąć, aby upadek był bezpieczniejszy. To taki mały środek zaradczy, do którego nie przywiązywał zbytniej wagi, gdyż nie rozwiązywał on problemu. W najlepszym wypadku, za którymś razem mógł uniknąć rozbicia głowy.

Położył się na łóżku na wznak, z rękami pod karkiem i przymknął oczy.

Na początku czuł w głowie tylko dokuczliwy, nieokreślony szum. W miarę upływu czasu nauczył się rozpoznawać niektóre dźwięki. Najbardziej przyjemnym było pluskanie fal o urwiska skalne. Inne przypominały uderzenia dzwonnicy - ciągły i wrogi zgiełk.

To zdarzało się w pierwszym roku omdleń, kiedy Alex miał dwanaście lat. Potem nastąpiła ewolucja - podczas ataków w jego umyśle zaczęły pojawiać się pewne obrazy. Były bardzo bezładne, nakładały się na siebie; wydawało się niemożliwym sprowadzenie ich do czegoś rzeczywistego. Nic, co miałyby jakikolwiek związek z jego życiem lub jakimś wspomnieniem minionych czasów.

W jednym z najbardziej żywych i powracających obrazów Alex leżał wyciągnięty na łóżku. Otaczały go białe ściany, umeblowanie pokoju prawie nie istniało. Udało mu się dostrzec tylko krucyfiks zawieszony na ścianie naprzeciwko, wazon z kwiatami na stoliku po jego prawej stronie i okno z opuszczoną roletą. Próbował poruszać rękami, ale były jakby czymś zablokowane. Może jakimiś wnykami. Niewątpliwie był to najgorszy z jego koszmarów. W pewnej chwili zapadała ciemność i słychać było nakładające się na siebie jęki. Odgłosy trudne do określenia, echa niekończących się męczarni.

Inny obraz, który dość często powracał w pierwszych latach, to ręka. Była raczej mała i pulchna. Alex chwycił ją. Próbował ją przyciągnąć do siebie, ale bez skutku. Ograniczał się więc do lekkiego muśnięcia. Poza nią nie widział nic, nie mógł dostrzec konkretnych rysów twarzy czy profilu. Jak tylko próbował coś zobaczyć, mała ręka pękała, rozsypywała się i przelatywała jak piasek między palcami.

Wśród wielu obrazów, które przeplatały się w jego głowie w ciągu czterech lat występowania ataków, zapamiętał dobrze ten na plaży. Czasami widział z daleka tę samą dziewczynkę.

W ostatnim roku pojawiły się inne szczegóły. Twarz miała przesłoniętą mgłą, ale oczy odznaczały się bardzo wyraźnie. Były ciemne, intensywnie penetrowały jego pamięć. Wracały każdej nocy. Nie przypomina już sobie, ile razy je spotkał i pamiętał po przebudzeniu, ale musiało się to dziać co najmniej przez miesiąc.

Potem pojawiały się głosy.

Omdlenie było zawsze poprzedzone dreszczem przebiegającym wzdłuż pleców i uczuciem drętwienia wszystkich kończyn. Pewnego dnia Alex usłyszał głos, który próbował znaleźć sobie przestrzeń pośród ogromnego zgiełku i krzyków, do których zdążył się już przyzwyczać.

To był młody, żeński głos, ale nie można było zrozumieć, co mówił. Później Alex zaczął notować w pamiętniku słowa, które wydawały mu się zrozumiałe. Pierwsze brzmiało: „pomocy” Próbował odpowiedzieć, ale mimo usiłowań nie był w stanie wydobyć żadnego dźwięku. Jak twierdzili jego rodzice, zdarzyło się tak, że kiedy był nieprzytomny, zadawał niewyraźne pytania w stylu: „kim jesteś?” czy „gdzie jesteś?”

Chłopiec postanowił nie informować nikogo, z mamą i tatą włącznie, o tym, co słyszał i widział podczas ataków.

Nie umiał wyjaśnić dlaczego, ale czuł, że istotę tych doświadczeń powinien chronić, strzec. To była jego jedyna tajemnica.

Bardziej znaczące wydarzenie miało miejsce trzy miesiące wcześniej. Alex dopiero co wrócił z treningu koszykówki. Do powrotu rodziców z pracy brakowało trochę czasu. Omdlenie nastąpiło w pokoju; atak poprzedziły kilkusekundowe dreszcze i dlatego chłopak zdążył położyć się do łóżka. Na ekranie jego umysłu pojawiła się ta sama mieszanina obrazów i dźwięków ożywiająca kalejdoskop wrażeń.

Po pierwszych bezładnych chwilach w oddali dostrzegł twarz dziewczyny.

Oczy były jak zwykle jedynym, wyraźnym szczegółem wyłaniającym się z tej twarzy. Głos jednak był bardziej zrozumiały.

- *Istniejesz naprawdę?*

Przez moment zawahał się, zapytał sam siebie, czy naprawdę usłyszał tak jasne i dokładne pytanie. Nigdy nie zdarzyło mu się coś podobnego. Był wzruszony i przerażony jednocześnie.

- *Tak.*

- *Jak masz na imię?*

Echo tych kilku słów tłukło mu się po głowie i przenosiło w przestrzeń fantastyki, dając mu natychmiastowe uczucie radości i pełni.

- *Alex. A ty?*

W oddali ponownie rozbrzmiała płatanina rozzdzierających krzyków.

- *Jenny.*

Po czym dziewczyna zniknęła, jakby wessana w spiralę chaotycznych obrazów.

W pamiętniku Alexa dzień ten był zarejestrowany i podkreślony. Było to 27 lipca 2014 roku. *Czuł* obecność innej osoby. Doznał czegoś niesłychanie *realnego*. To nie był sen - był tego pewien - ani halucynacja czy przywidzenie.

Alex *skomunikował się* z dziewczyną z zewnątrz, z jakiejś części świata. Nie miał pojęcia, jak to jest możliwe, ale był pewien jednego - Jenny istniała.

Z dużą dozą prawdopodobieństwa ona też zmagала się z tymi samymi myślami.

„Powiedziała mu” - pomyślała Jenny, gdy siadała do stołu, próbując ukryć emocje.

Ojciec skierował w jej stronę badawcze spojrzenie, aby wiedzieć, czy córka po entym zemdleniu czuje się dobrze. Zegar z kukułką, zawieszony obok lodówki, kupiony przez Graverów na poprzednie Boże Narodzenie, na straganie przy wejściu do Altona Coastal Park, wskazywał ósmą czterdzieści.

- Wydaje mi się, że czujesz się lepiej, Jenny - stwierdziła matka, podając do stołu pieczeń.
- Pozwól jej samej powiedzieć, czy czuje się dobrze - wtrącił Roger.

Kobieta westchnęła, nie odpowiadając, i zasiadła do stołu, jakby nic się nie stało.

Ale Jenny tego wieczoru zupełnie nie przejmowała się tym, co mieli do powiedzenia rodzice. Wszystkie jej myśli płynęły w stronę Alexa.

„Powiedziałam mu, gdzie mieszkam, udało mi się”.

Próbowała to zrobić od dawna. W ostatnim roku usiłowała kilka razy przekazać o sobie coś więcej niż tylko imię, ale nie sądziła, że będzie w stanie tego dokonać. Poza tym nigdy nie chciała się przyznać przed sobą, że głos, który słyszała w głowie należał do jakiejś realnej osoby. Była też inna przyczyna, która odciągała ją od próby komunikacji - cierpienie. Być może chłopiec, który przedstawił się jako Alex, nie doświadczał takiego samego fizycznego cierpienia podczas ataków, ale dla niej było ono prawdziwą torturą. Każda pojedyncza samogłoska dziurawiła jej mózg jak ukłucie, które przechodziło od skroni do skroni. Tym razem jednak była pewna, że wymówiła wyraźnie nazwę swojego miasta.

Jenny o swoim interlokutorze miała bardzo mgliste pojęcie. Imię było jedyną wyjściową wskazówką. Wydawało się, że był to głos młodego człowieka, prawdopodobnie rówieśnika, bo podczas przywidzeń dostrzegła jego oczy, mogła zauważyć na czole kosmyk blond włosów.

Czasami pytała siebie, czy przypadkiem nie buduje gigantycznych domków z kart, które runą za chwilę i przyniosą tylko rozczarowanie. I właśnie tego się obawiała - utraty wrażeń towarzyszących jej w każdej chwili życia oraz nadziei, że głos ten należy do osoby z krwi i kości.

Tego wieczoru zasnęła spokojnie. Kiedy patrzyła w sufit z rozmarzonym wyrazem twarzy, uśmiechała się. Błyszczące gwiazdki, które wiele lat temu przykleił ojciec, ciągle tam były i świeciły jej przed zaśnięciem. Kasjopeja, rydwan Pegaza, Andromeda, a potem Wielka i Mała Niedźwiedzica oddzielone od wijącego się ciała konstelacji Smoka. Cały firmament dla niej.

Jenny zamknęła oczy.

Alex istniał, była tego pewna. Żył w jakiejś części świata. I byli w stanie się komunikować. A ona nie wyobrażała sobie życia bez tego.

Tego popołudnia, gdy łąpczywie pochłoniął tarte, popijając butelką soku gruszkowego, a potem przez godzinę oglądał telewizję, Alex postanowił pójść do biblioteki. Rankiem, przed drzwiami jego domu, ruszyła budowa. Brygada robotników ubranych na pomarańczowo nawiercała nawierzchnię, a hałas uniemożliwiał koncentrację. Zaplanowany egzamin z filozofii był tuż-tuż, a on przestudiował tylko jedną trzecią z tego, co wyznaczyła profesorka.

Z plecakiem na ramieniu dwoma autobusami dojechał do Biblioteki Uniwersyteckiej. Już kiedyś tu był. To było zaciszne miejsce uczęszczane przez starszych od niego chłopców, którzy studiowali przynajmniej na politechnice. Kiedy wszedł na salę, poszukał wzrokiem wolnego stolika i usiadł.

Zaczął niechętnie przeglądać zeszyt z notatkami, a potem wyciągnął z plecaka podręcznik do filozofii.

Właśnie podkreślał ołówkiem zdanie Kierkegaarda, gdy znajomy dreszcz sparaliżował jego plecy, atakując wszystkie zakończenia nerwów.

Ale tym razem nastąpiło coś dziwnego.

Rozejrzał się wokół, czekając na ten moment. Wiedział, że spadnie z krzesła, ale nie upadł na ziemię. Znieruchomiał, siedział z rękami wyciągniętymi na stole. Czuł, że jego ciało staje się coraz cięższe, ale udało mu się utrzymać kontrolę nad głową i mięśniami szyi. Nagle doświadczył silnego wrażenia pustki. Poczuł, że jest zawieszony w powietrzu, jakby pod jego stopami otworzyła się gigantyczna przepaść, a on unosił się nad nią bez możliwości przyspieszenia. Nie rozpoznawał już pomieszczenia biblioteki. Widział tylko dym, mgłę i pustkę.

Umysł jednak pozostał czujny. Poczuł, że może kontrolować swoje ciało i że nie zemdleje. Był przytomny - częściowo zakotwiczony w rzeczywistości fizycznej, a częściowo w abstrakcyjnej wizji. Po raz pierwszy od czterech lat, tego popołudnia nie dochodziły do niego żadne hałasy. Tylko szum przypominający podmuch wiatru. Alex czuł w otoczeniu świeże powietrze.

- *Jesteś tu, Jenny?*

Chwila ciszy, która zdawała się nie mieć końca.

Potem odpowiedź.

- *Tak, Alex.*

Chłopca ogarnęło zupełnie nowe uczucie - mieszanina niedowierzania, radości, zdumienia i zaciekawienia.

Z drugiej strony świata, także i ona, po raz pierwszy nie odczuwała żadnego bólu fizycznego podczas kontaktu.

- *Proszę cię, powiedz mi, że istniejesz naprawdę –* powiedział Alex.

- *Wiesz, że istnieję. A ja wiem, że istniejesz ty* - głos Jenny był delikatny i przyjazny. Alexowi wydawało się, że rozmawia z kimś, kto od zawsze był obok niego, że porozumiewa się z nią, jakby odległość nie istniała.

- *Jenny, muszę zapytać cię o coś, co wyda ci się głupie.*

Dziewczyna nie odpowiedziała. Alex ciągle patrzył w pustkę, nie widząc nic oprócz mgły.

- *Jesteś tu, Jenny? Muszę cię zapytać...* Przerwał mu głos pochodzący zza mgły.

- *Clever Moore,*

Alexowi przez chwilę zapało oddech. Nie do wiary.

Nazywa się Clever Moore - powtórzyła.

Ta odpowiedź wydawała mu się niemożliwa.

- *Jenny... Nie zapytałem cię jeszcze o to.*

Słowa zaczęło powtarzać echo. Alex miał wrażenie, że komunikacja osłabła. Głosy powoli się oddalały.

- *Zapytałeś, a jakże* - odpowiedziała, a słowa zaczęły się kotłować w głowie Alexa, po czym zniknęły gdzieś w oddali, rozwiane szumem wiatru.

Alex otworzył szeroko oczy. Zaciśnął pięści i odchylił głowę do tyłu, czując jedynie mrowienie spowodowane lekkim zdrętwieniem.

Obok niego, na sali, dwie grupy studentów zajmowały inne stoliki, a bibliotekarka układała ryzy papieru w szafie.

Chłopiec powtórzył w myśli to, co on i Jenny sobie powiedzieli. Potem podniósł się, prawie upadając. Nogi miał jeszcze ociężałe. Dotarł do bibliotekarki. Ta siedziała za stołem i leniwie

uderzała palcami o klawiaturę komputera.

- Proszę mi wybaczyć - niepewnie zaczął Alex – chciałbym panią prosić o przysługę. Czy ten komputer jest podłączony do Internetu?

Pięćdziesięcioletnia kobieta o pomarszczonej twarzy, z wielkim znamieniem na prawym policzku utkwiała w nim wzrok. Nie sprawiała wrażenia osoby skłonnej do pomocy.

- Co chcesz zrobić? - zapytała, opuszczając okulary na czubek nosa.
- Muszę tylko sprawdzić jedną rzecz, to bardzo ważne.

Kobieta westchnęła i znudzona podniosła brwi. Skinieniem głowy wyraziła zgodę.

- Może pani wpisać „Sydney” do Wikipedii i powiedzieć mi, jaką nazwę pani zobaczy na stronie głównej miasta pod hasłem „burmistrz”?

Bibliotekarka otworzyła nowe okno w Google i z irytującą opieszałością wystukała na klawiaturze szereg liter. W wyszukiwarce pojawiło się: „Sydney Wikipedia”.

- Clever Moore.

Alex popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Jest pani pewna?
- Sam sprawdź - odpowiedziała kobieta, odwracając ekran komputera w stronę chłopca.

Alex mógł zobaczyć na własne oczy nazwisko Clever Moore.

- Istnieje... istnieje naprawdę - szeptał do siebie.
- Kto istnieje naprawdę?

Alex uśmiechnął się, ale nie odpowiedział. Odwrócił się nagle, założył plecak i rozpromieniony szybko skierował się w stronę wyjścia.

Na zewnętrznych schodach, które wychodziły na ulicę Alex Łona posolił sobie na okrzyk radości, nie zwracając uwagi na przechodniów, patrzących a niego jak na wariata.

Jenny istniała naprawdę.

5

Kiedy komunikacja została przerwana, Jenny leżała w swoim łóżku w ciemnościach. Z piętra niżej dochodziła chaotyczna wrzawa. Nie chodziło o rodziców, ale o telewizję. Ledwie minęła północ i przez okno pokoju widać było niebo nad Melbourne. Czyste, bezchmurne, czarny płaszcz ozdobiony małymi, świecącymi punkcikami. Z tej perspektywy Księżyc znajdował się poza zasięgiem widzenia. Natomiast gwiazdozbiór Oriona był bardzo dobrze widoczny, wraz z charakterystycznymi trzema gwiazdami leżącymi w rzędzie, jedna obok drugiej.

- Największa nazywa się Betelgeza - wyjaśnił jej to ojciec wiele lat temu. - Jest olbrzymia. Jej promień jest tysiąc razy większy od Słońca!

- Co to oznacza? - pytała, zawsze zaciekawiona.
- Że jeśli zastąpilibyśmy Słońce Betelgeza... jej granice dotknęłyby Ziemi!
- Tato... a kiedy nas już nie będzie, jak dziadków... to przeniesiemy się w kosmos?
- W pewnym sensie tak. Kiedy patrzysz na gwiazdy, pomyśl o dziadku i babci. Spoglądają na ciebie z góry.
- A gdyby jeszcze żyli? Roger pogłaskał ją po twarzy.
- To niemożliwe, skarbie.

- Według mnie jest możliwe.

Dziewczyna z przegubu dłoni zdjęła elastyczną gumkę, związała nią włosy i wstała. Nie było gorąco, ale Jenny lubiła spać w lekkich ubraniach. Bluźka bez rękawów z napisem SURF-MANIA i spodenki odsłaniały jej atletyczne nogi oraz gładką i brązową skórę. Na szyi jak zwykle miała swój ulubiony wisiołek - łańcuszek zakończony triskelionem. Symbol pochodzenia celtyckiego, złożony był z trzech elementów w formie splecionych między sobą półksiężyców, tworząc rodzaj spirali, w której po środku znajdowała się litera „V”.

Prezent od babci.

- Będzie cię chronił - powiedziała jej, ofiarowując przywieszkę. Triskelion błyszczał na delikatnej powierzchni jej dłoni.

- Co oznacza „V”? - zapytała ją Jenny.

- Podarował mi go twój dziadek w dniu, w którym poprosił mnie o rękę. To amulet, który zawiera naszą historię. Twoją historię.

- Dlaczego moją?

Babcia ograniczyła się do uśmiechu, ściskając ją w ramionach. Jenny potrząsnęła głową, jakby chciała oddalić to przyjemne wspomnienie. Nie było już jej dziadków, ale nie była sama. Pozostał ten symbol, który opowiadał o celtyckim pochodzeniu jej rodziny, od strony ojca, Rogera. Często ściskała go w dłoniach, gdy bała się lub potrzebowała siły i odwagi, aby stawić czoło takim przedsięwzięciom jak zawody pływackie czy egzaminy. Jenny szybko powróciła myślami do Alexa. Atak nie zdarzył się podczas snu, bez względu na porę. Jenny była przytomna, leżała w łóżku, czując pustkę, chociaż jej myśli kierowały się ku zawodom, które czekały ją w przyszłą sobotę. Przygotowywała się do nich zbyt krótko z powodu nauki. Kiedy poczuła dreszcz, miała wrażenie, że oblało ją ciepło, jakiego nigdy przedtem nie zaznała. Czowała się bezpiecznie. Rozumiała, że jej ciało nie mogło odpowiadać na polecenia płynące z mózgu, ale miała bardzo przyjemne wrażenie, że unosi się w otchłani, bezpieczna i spokojna. Poddała się spotkaniu z zamkniętymi oczami. To jakby sen, ale zarówno ona, jak i Alex dobrze już wiedzieli, że tak nie jest.

Po raz pierwszy Jenny była pewna. Zawsze miała wątpliwości, czy wszystkie te głosy i obrazy nie były spowodowane zaburzeniami psychicznymi, jakąś dziwną formą schizofrenii. Poszukiwania w Internecie, na forach i blogach, polowanie na podobny przypadek okazały się daremne. W końcu z tego zrezygnowała. Przez długie cztery lata podejrzewała, że i Alex był tylko projekcją jej umysłu, i obawiała się, że *po drugiej stronie* nie ma nikogo. Teraz, chociaż nie miała dowodów naukowych na istnienie tego chłopca, rozmowa, która dopiero co miała miejsce, nie pozostawiała wątpliwości. Alex zadał jej konkretne pytanie, wyraźnie chcąc sprawdzić, czy istnieje naprawdę. A ona mu odpowiedziała.

- jesteś - wyszeptał. - Wiem, że jesteś.

Jenny nie zasnęła jeszcze długo, myśląc o tym, że dotrzymywał jej towarzystwa. Cokolwiek by się stało, tam na zewnątrz, w świecie, nie było ważne wobec nadnaturalnego wydarzenia, w którym ona i Alex byli głównymi bohaterami.

Pogrążona w ciszy końca październikowej nocy, Jenny nie mogła nawet mgliście podejrzewać, że planeta podążała ku straszliwemu przeznaczeniu i że klucz do tego wszystkiego był strzeżony w ich głowach.

Listopad obfitował w tak wiele spotkań, że ani Alex, ani Jenny nie mogliby sobie nigdy tego wyobrazić. Co trzy lub cztery dni, przez przynajmniej trzydzieści sekund, dochodziło do kontaktu. Był on poprzedzony tym samym dreszczem przebiegającym wzdłuż pleców, po czym następował stan psychofizycznej błogości, uczucie harmonii i spokoju. Tej ciszy nie mącił żaden hałas czy szloch. Ani żadne cierpienie, oprócz lekkiego bólu głowy pod koniec rozmowy.

Rozmowy, która - jak już wiadomo - odbywała się tylko poprzez myśli. Aby udowodnić tę teorię, Alex pożyczył od ojca małą kamerę cyfrową i zamknął się w pokoju na cały weekend.

Aparat zamontowany na stojaku obok biurka ustawiony był na ujęcie obszaru łóżka. Wystarczyło kilka sekund, aby go uruchomić i rozpocząć nagrywanie. Udało się podczas kolejnych dreszczów, które poprzedzały połączenie z Jenny.

- *Alex, to ty...*

Chłopiec poczuł, że ogarnia go ciepło. Coś otwierało się w jego umyśle.

- *Alex* - powtórzył żeński głos w jego głowie.

Westchnienie wstrząsnęło jego klatką piersiową, właśnie w chwili, w której wszystkie doznania fizyczne opuszczały jego ciało.

- *Jenny, musimy się zobaczyć.*

Alexowi wydawało się, że dostrzegł lekki uśmiech.

- *To niemożliwe, jak możemy się spotkać, ty... Posłuchaj, wiem, że jesteś, zawsze to wiedziałam, ale to wszystko jest bardzo dziwne... boję się.*

- *Ja też się boję, ale to nieważne. Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć, twój głos stał się czymś, bez czego nie mogę się obejść, twój uśmiech istnieje w mojej głowie i wiem, że może jest inny, może ty jesteś inna, ale nie mogę tego wieczoru myśleć o spaniu. Nie zasną już nigdy w życiu zakładając, że może już cię nie zobaczę, że jesteś tylko snem.*

Przez chwilę słowa Alexa zawisły w pustce.

- *Może i jestem. Jestem tylko snem.*

- *Tak, najpiękniejszym snem, jaki kiedykolwiek miałem. - Ale sny znikają.*

- *Więc nie chcę się przebudzić.*

Jenny nic już nie dodała, ale oprócz jej uśmiechu w umyśle Alexa pojawiło się dwoje wielkich, błyszczących oczu i wyraz twarzy kogoś, kto próbuje ukryć wzruszenie, przygryzając wargi.

Nigdy czegoś takiego nie doświadczyłem - kontynuował Alex.

Słowa te w umyśle Alexa oświetliły twarz Jenny. Jej zarys pojawił się wokół błyszczących oczu, drżących warg, lekko zmarszczonego czoła.

- *Wydaje mi się, że cię widzę* - stwierdziła Jenny. - *Twoja twarz pojawiła się w moim umyśle.*

To było dokładnie to, co zdarzyło się Alexowi.

- *A jeśli jesteś inny?*

- *A jeśli ja jestem inna?*

Dwa pytania prześladowały przez chwilę umysły młodych ludzi.

- *Jenny, ty nie jesteś snem, jesteś już częścią mojego życia. Chcę cię spotkać, mógłbym przejechać dla ciebie cały świat.*

Ostatnie słowa Alexa chyba pokonały opór dziewczyny, w której sercu walczyły dwie sprzeczne emocje: z jednej strony było uczucie, którego zawsze doświadczała i które rozgrzewało jej serce,

sprawiając, że czuła się samotna wśród swoich przyjaciół, samotna w świecie rzeczywistym. Z drugiej strony - lęk, że zakocha się w marze sennej, obawa, iż po nagłym przebudzeniu przekona się, że to było tylko złudzenie - skłaniały ją do wycofania się.

Myśli ciągle biegly, a tych dwoje młodych nie mogło ich powstrzymać. Dialog mentalny wymykał się spod ich kontroli, oddając głos głębszym uczuciom.

Kiedy później Alex otworzył oczy, niewyraźny obraz sufitu w jego pokoju przeniósł go powoli do rzeczywistości. W jego głowie zgasło światło, a głos Jenny był teraz tylko odległym echem. Jednak obok znajdowała się kamera. Czerwona świecąca dioda sygnalizowała, że była nadal włączona.

Powoli podniósł z łóżka zdrętwiałe kończyny i podłączył kamerę do komputera.

Nagranie video rozpoczęło się i pokazało, jak szybko osuwa się na łóżko. Alex zauważył, że wargi drżały mu na kilka sekund przed kontaktem. Potem nastąpiło wyraźne popadnięcie w stan transu z rozluźnionymi mięśniami i zamkniętymi oczami. Nie rozumiał dobrze, co mruczał w sekundach poprzedzających przebudzenie. Rozróżniał tylko słowa „sen” i „świat”.

W rzeczywistości, pod koniec rozmowy 23 listopada 2014 roku, Alex przyrzekł Jenny, że ją odnajdzie, że zmieni sen w rzeczywistość kosztem swojego życia.

Nie miał wyboru. Musiał to zrobić. To było to, co dyktowało mu serce. Ale nie tylko.

Poprzedniego ranka Valeria wysłała go do piwnicy. Od lat nie schodził już do tego pomieszczenia wielkości dwa na trzy metry, wydrążonego w ciasnym i zakurczonym podziemnym tunelu, do którego wchodziło się z wewnętrznego korytarza willi.

Tradycja w domu rodzinnym Loriów nakazywała, aby choinkę na Boże Narodzenie ubierać dokładnie na miesiąc przed wigilią.

Dlatego Alex został wysłany na dół po pudełka z bombkami i girlandami, długi karton ze sztucznym drzewkiem oraz worek z poplątanym oświetleniem.

W piwnicy przywitało go skrzypienie drewnianych, rozpadających się drzwi. Na szczęście wyłącznik jeszcze działał. W środku był bałagan. Spiętrzone pudełka, stara deska do prasowania, dwie kule, części roweru górskiego, którego nawet nie pamiętał z dzieciństwa, i wiele innych gratów.

Alex znalazł wciśnięty w kąt karton. Wystawał do połowy, a na jego górnej części była narysowana choinka. Potem skupił się na pudłach ułożonych jedne na drugich. To na samym dole miało ukośny czerwony napis - RAMKI. Inne, leżące wyżej, było opasane białą taśmą z niestarannym, niebieskim napisem, najwyraźniej wykonanym ręką ojca. Alex zbliżył się i rozszyfrował słowo - PŁYTKI.

Znowu podniósł wzrok, zauważył, że trzecie pudło nie miało napisu. Pochylił głowę w poszukiwaniu drugiej strony papierowego pojemnika. - O, jest - krzyknął usatysfakcjonowany, kiedy na innym boku przeczytał napis OZDOBY BOŻONARODZENIOWE.

Próbując bez zbytej nadziei wygrzebać cokolwiek z worka z oświetleniem, natknął się na coś cennego. Była to gra uwielbiana przez niego w dzieciństwie - robot o wysokości trzydziestu centymetrów, z niebieskimi rękami i czerwonymi stopami oraz z emblematem na piersi, który przenosił chłopca dziesięć lat wstecz. Nie pamiętał szczegółów z tamtego okresu, ale przypomniał sobie tego robota. Wystarczyło nacisnąć klawisz z tyłu szyi, a jego klatka piersiowa się otwierała.

Kiedy Alex to wykonał, był zaskoczony.

- A to co? - zapytał, gdy w środku robota zobaczył wideokasetę. Wyjął ją i przeczytał napis umieszczony na boku taśmy:

OBEJRZEĆ 22 LISTOPADA 2014 ROKU

Bez sensu - pomyślał Alex, zanim włożył kasetę za pasek, przykrywając ją pluszowym polarem. - To dzisiaj...".

Kiedy wrócił do domu, pudełka choinkowe zostawił w jadalni, zamknął się w pokoju i wyjął kasetę VHS. Trzęsły mu się ręce.

Nie mógł czekać. Jak tylko rodzice wyszli na zakupy, Alex pobiegł do jadalni poszukać starego magnetowidu, który w ostatnich latach został zastąpiony przez odtwarzacz Blu ray. Znalazł go w skrzyni, za kanapą. Z tego, co pamiętał, działał doskonale. Jednakże gdy podłączył go do telewizora i włożył wideokasetę, na jego twarzy pojawił się wyraz rozczarowania. Podniósł brwi, kiedy na ekranie DeLorean Marty McFlya pognał osiemdziesiąt osiem tysięcy mil w stronę roku 1955.

- *Powrót do przyszłości*. Okej... no więc? - powiedział, szukając klawisza STOP na magnetowidzie.

Właśnie go naciskał, gdy film się zerwał. Ekran zrobił się szary, pojawiły się zakłócenia, jakby taśma została nacięta. Potem obraz powrócił. Dziecko stojące naprzeciw jego oczu - to był on. Miał może pięć lub sześć lat. Za jego plecami stary, wiklinowy kosz z zabawkami. Obok ogromny pluszowy miś, leżący głową w dół na starym fotelu Bordeaux. Wszystkie przedmioty nie były już częścią umeblowania jego pokoju, kto wie, od jak dawna. Na ścianach wisiały postery kilku sportowców, od Ayrtona Senny do Michela Jordana. Mały Alex siedział na ziemi ze skrzyżowanymi nogami. Miał na sobie koszulkę z wizerunkiem Sknerusa McKwacza w niebieskich spodenkach, skaczącego z trampoliny, aby wylądować na górze złotych pieniędzy. Jasny kask tworzył na jego głowie kopułkę wraz z grzywką schodzącą prawie do samych oczu. Podniósł wzrok i skierował go bezpośrednio w obiektyw kamery. Przesłanie, które wypowiedział swoim infantylnym głosem, było tyleż oczywiste, co mrożące krew w żyłach.

- Ta wiadomość jest dla mnie, kiedy będę duży. W listopadzie 2014 roku muszę wyjechać. Jechać do niej. Zanim będzie za późno.

Po czym dziecko wstało i zniknęło za kamerą. Ekran zrobił się znowu czarny. Po paru sekundach pojawił się na nim Michael J.Fox w stodole Hill Valley z lat pięćdziesiątych.

„To niemożliwe” - pomyślał Alex, przewijając ostatnią minutę taśmy. Wysłuchał jej ponownie i utwierdził się w przekonaniu, że dobrze słyszał. Jeszcze raz wszystko uporządkował i włożył kasetę do starego robota, aby zdążyć, zanim rodzice dotrą do domu.

Kaseta VHS nosiła datę jej znalezienia, a wiadomość, którą on sam wysłał wcale nie była dwuznaczna. Była nawet zbyt konkretna. Niewytłumaczalnie konkretna.

Było coś absurdalnego w tej całej historii i należało to rozszyfrować. Nawet jeśli oznaczało to przemierzenie połowy świata.

Alex dobrze wiedział, że tylko jedna osoba mogła mu pomóc zrealizować takie przedsięwzięcie.

- Nie jestem pewna, czy to jest dobry pomysł - powiedziała Valeria Loria, układając talerze na stole. Zapach smażonego czosnku wypełniał kuchnię. Mama Alexa skierowała pilota w stronę telewizora i ustawiła MILCZENIE. Wlała wodę do karafki i postawiła ją na środku stołu.

- Na jak długo chciałbyś wyjechać? - głos Georgia, ojca Alexa, był kategoryczny. - Na długi weekend?

Alex ograniczył się do potaknięcia głową.

- Nie rozumiem, co to za potrzeba. Jakbyście się nie dość widzieli.

Syn otworzył usta, aby zaprotestować, ale matka dała mu znak ręką.

Powstrzymał się i usiadł na swoim miejscu. Szeroka kuchnia w domu Loriów była wyposażona w stare, drewniane, ciemne meble z mosiężnymi gałkami i kwiatowymi dekoracjami. Dominował długi, drewniany, nieheblowany stół. Nad stołem zwisał z sufitu kryształowy żyrandol. Na ścianie, naprzeciw kuchenki stał dębowy kredens z lat pięćdziesiątych ze szklanymi drzwiczkami, przez które można było dostrzec srebrny serwis zarezerwowany na wielkie okazje.

Alex nienawidził tego pomieszczenia. Czuł wstręt. Jak do całej reszty domu. Dla niego nie było to nic innego jak wyszukana złota klatka.

- W piątek w szkole jest zebranie - powiedział niezdecydowanie. - Ale nie jest obowiązkowe. Mógłbym pójść do Marco w czwartek wieczorem... i zostać do niedzieli.

Ojciec przyglądał mu się przez moment, ale nic nie powiedział, więc chłopak rozłożył serwetę i umieścił ją na kolanach.

Valeria najpierw popatrzyła na męża, a następnie na syna. Dobrze wiedziała, że to ona będzie musiała znaleźć rozwiązanie, aby obu zadowolić.

- Nie masz meczu w niedzielę? - zapytała.

- Nie, niedziela odpada.

- Nie musisz trenować? - włączył się Giorgio. - Niewiele czasu pozostało do rozgrywek.

Alex nie odpowiadał. Wiedział, że ojciec miał rację.

- Nadal jesteś kapitanem drużyny, czy się mylę? Może należałoby oczekiwać, że nie spędzisz weekendu, grając na Play Station z twoim lekko zbzikowanym przyjacielem.

- Marco nie jest zbzikowany. To geniusz.

- Tak, tak, oczywiście.

Powstrzymał się po raz drugi. Nie mógł ryzykować kłótni w takim momencie.

- Więc mogę pójść czy nie?

Valeria wymieniła spojrzenie z Giorgiem, który wcześniej włączył głos w telewizorze, jakby jej powierzał zadanie dania synowi - bądź nie - zezwolenia.

- Idź, idź - odpowiedziała, widząc rozpoczynający się dziennik telewizyjny - chwila, która w ich domu oznaczała „koniec dyskusji”. Pierwsza przeszkoda została pokonana.

7

W czwartkowy wieczór, o dziewiątej trzydzieści, w mieszkaniu przy alei Gran Sasso zadzwonił domofon. To nie był normalny, natrętny dźwięk tylko dzwonek przypominający telefon komórkowy, który odtwarza temat przewodni ze ścieżki dźwiękowej do *Rocky'ego IV*. Marco nacisnął przycisk na małym, zielonym pilocie i drzwi wejściowe otworzyły się. Z przewieszoną przez ramię torbą do koszykówki, Alex wbiegł po schodach, po czym wszedł do domu.

- Dostałem twoją wiadomość - krzyknął z łazienki przyjaciel. - Możesz mi powiedzieć, co się dzieje?

Marco znowu nacisnął przycisk pilota i drzwi się zamknęły. Alex był przyzwyczajony do podobnych trików. Genialne sztuczki.

W domu Marco prawie wszystko działało na przyciski, piloty, nawet na polecenia wydawane ustnie. Drzwi, ogrzewanie, sprzęt gospodarstwa domowego w kuchni, stereo i światło. Jak to bywa w niektórych nowoczesnych apartamentach projektowanych zgodnie z prawem automatyki domowej, odpowiadało za to zdalne sterowanie. Z tym, że w przypadku tych urządzeń każdy pojedynczy mikrochip był opatentowany i skonstruowany przez samego Marco.

W lutym 2004 roku, ponad dziesięć lat temu, jego rodzice zdecydowali się odpocząć kilka dni w górskiej miejscowości. Mieli zamiar kupić dom na wakacje i w ten sposób spędzić rodzinny weekend. Ojciec Marco, były zawodowy narciarz, zaraził swoją pasją zarówno żonę, jak i syna. Koniec tygodnia zapowiadał się wspaniale - swobodne zjazdy i obfite kolacje na górskim szczycie w schronisku.

Wyjazdowi z Mediolanu towarzyszył lekki deszcz. Po dotarciu do Piemontu znaleźli się w środku prawdziwie wielkiej ulewy. Kiedy zjechali z autostrady na drogę krajową, która miała ich zaprowadzić w góry, mieli już burzę za sobą. Wydawało się, że najgorsze minęło. Jednak przy wjeździe, na pewnej wysokości, pogoda znowu się pogorszyła. Gwałtowna burza śnieżna przetaczała się nad górskimi zakrętami. Silny wiatr zaczął przechylać dżipa. Drzewo złamało się i runęło całym ciężarem na przednią szybę, zmuszając terenowy samochód do gwałtownej zmiany kierunku jazdy, co spowodowało, że spadł ze skarpy. Chłopiec, podrzucany na tylnych siedzeniach, nawet nie zorientował się, kiedy ojciec stracił kontrolę nad pojazdem. Usłyszał tylko huk kontruderzenia. Potem zapadła cisza.

Życie Marco było już na zawsze przesądzone. Jego rodzice zginęli na miejscu. On ocalał cudem i został oddany pod opiekę dziadkom ze strony matki, z którymi mieszkał aż do dziewiętnastego roku życia. Potem zdecydował się rozpocząć życie na własny rachunek i znalazł dom przy alei Gran Sasso.

Swoje pierwsze dwadzieścia lat życia poświęcił bez reszty studiom informatycznym i elektronicznym. Uwielbiał rozmontowywać urządzenia, badać części, wypełniać dom systemami uruchamiającymi się mechanicznie. Sam potrafił zarządzać pracą kilku napędów elektronicznych rozrzuconych po całym domu. Zielony uruchamiał drzwi i okna. Klawisze niebieskiego były od piecyka elektrycznego, mikrofalówek i kuchenki. Żółty ustawiał temperaturę w domu. Natomiast czerwony był zaprojektowany do obsługi instalacji świetlnej: panel zmieniających się kolorów w sypialni, zestaw niebieskich neonów w pokoju nadający futurystyczny aspekt jego „królestwu”, jak lubił je określać. I cała seria małych lampek porozrzucanych po mieszkaniu, które przeobrażały je w gigantyczny flipper. Marco był z tego dumny.

Od dziesięciu lat jego umysł pracował na poziomie znacznie wyższym od średniego i pozwalał mu na studiowanie i projektowanie coraz bardziej wyszukanych urządzeń - od sterowania wszystkimi sprzętami w domu, po software. W informatyce był swego rodzaju tytanem. Marco rozwiązywał większość problemów swoich przyjaciół. Alex zawsze mówił o nim, że „wyprzedzał wszystkich o lata świetlne”.

Różnica między chłopcami polegała nie tylko na tym, że Alex był młodszy o pięć lat od przyjaciela. Dotyczyła nóg. Nogi Marka zostały w głębi skarpy.

Marco wyjechał z łazienki na wózku elektrycznym i skierował się bezpośrednio w stronę tego, co sam określał jako „sala maszyn”.

-Dobrze wyglądasz - skomentował, odwracając się plecami do przyjaciela.

Alex robił wrażenie rozpromienionego.

- W pewnym sensie to najpiękniejszy okres w moim życiu.

- Chcesz się czegoś napić? - Marco odwrócił głowę w stronę Alexa, który rozglądał się wokół. Za każdym razem, gdy chodził do tej sali, pierwsze spojrzenie zatrzymywało się zawsze na fotografii rodziców przyjaciela - uśmiechniętych i szczęśliwych, w dniu ich ślubu.

- Tak, dzięki.

Mała, czerwona lodówka w kształcie puszkii Coca-Coli stała obok jednego z trzech komputerów, które zajmowały stół pośrodku pokoju. Marco wyjął dwa napoje i jeden podał przyjacielowi.

- Potrzebuję twojej pomocy - powiedział Alex, pomijając wszelkie niepotrzebne wstępy.

Kumpel uśmiechnął się i palcem przesunął okulary na nos. Zmierzwiona broda, czarne włosy w nieładzie, z długimi nieuczesanymi strąkami - takim zawsze widział go Alex, od czasu ich pierwszego spotkania w finale turnieju Play Station.

„Przestań skupiać się na moim wózku - powiedział mu tego dnia. - Nie chce wygrać z litości. Moje nogi są sztuczne, ale ręce pracują wspaniale”.

Alex uderzyła pewność siebie tego chłopca, choć na początku było mu tylko żal. Zanim zaczęli grać, uścisnęli sobie ręce. Pierwszy podał je Marco, zgodnie z regułami. Od tego czasu połączył ich pewien rodzaj braterstwa.

Alex usiłował wrócić do rzeczywistości. Wspomnienie to nadal było żywe. Nie mógł wiedzieć, że ta chwila stanie się jedną z ważniejszych w jego życiu. Że ze zwykłego skrzyżowania losów zrodzi się wielka przyjaźń. Często rozmyślał o tym, że gdyby przypadkiem nie zobaczył wtedy, dzień przed turniejem, w codziennej gazecie reklamy zawodów, to nigdy nie poznałby Marco.

- Posłuchajmy, czego potrzebujesz?

Alex utkwiał wzrok w niebieskim neonie na murze naprzeciw, po sekundzie zmuszony był przetrzeć oczy.

- Masz je zawsze włączone? - zapytał, wskazując głową na światła.

- Tylko wtedy, gdy pracuję na komputerze.

- Aha. Więc zawsze.

- Dokładnie.

Alex uśmiechnął się i małymi łykami zaczął popijać coca-colę. Na otaczających go półkach mógł podziwiać nieskończoną liczbę rozpraw na temat kosmosu, książek naukowych, czasopism astronomicznych i fantastyczno-naukowych komiksów. Jego uwagę przykuł esej Stephena Hawkinga. Wziął go z biblioteczki i przejrzał z roztargnieniem, aż doszedł do fotografii naukowca. Przez chwilę zatrzymał się i pomyślał o smutnym zaniku sił fizycznych wielkiego umysłu, jakim był brytyjski kosmolog. Potem odstawił książkę na miejsce.

- Znasz moje bóle głowy - powiedział Alex. - Moje... halucynacje.

Marco zaczął uważnie słuchać i popatrzył na przyjaciela ze zdziwieniem.

- Nigdy mi o nich nie mówiłeś... - powiedział, wahając się. - ...Tak dogłębnie. - Wiedział, jak delikatny jest to temat dla Alexa.

- No więc dobrze, chyba przyszedł moment, abym powiedział ci więcej.

- Słucham.

- Nastąpiła pewna ewolucja.

Marco ustawił na stand-by trzy komputery - PC, Mac stacjonarny i MacBook przenośny, które zawsze pracowały jednocześnie.

- Otóż... - zaczął Alex, mając świadomość, że zwierza się jedynej osobie na świecie, w której ręce powierzyłby swoje życie - teraz już mam pewność, że Jenny istnieje.

Opowiedział o wszystkim.

O kontaktach dziewczyną, o omdleniach, o ich rozmowach telepatycznych i o pewności, że i ona pragnęłyby go poznać za wszelką cenę.

Opowiedział, jak odkrył, gdzie mieszka, i w jaki sposób sprawdził, że wiadomość, którą Jenny mu przekazała, była prawdziwa.

Opowiedział o wideokasie.

O dziecku w białym kasku i jego zapiskach dotyczących przyszłości.

W końcu zamilkł wyczerpany. Wstał i podszedł do okna pod czujnym wzrokiem przyjaciela. Wyjrzał na zewnątrz i zauważył, że zrobiło się ciemno. Latarnie oświetlały ulice miasta, ruch ustąpił miejsca pustce. Jakiś bezdomny z trudem pchał wózek. „Kto wie, jakie życie miał ten człowiek - pomyślał. - Może kiedyś był bogaty, a teraz żebrze. Czasem wystarczy jedno przypadkowe zdarzenie...”

- Alex - odpowiedział Marco - wierzę ci, zawsze ci wierzyłem, ale problem w tym, że nie wiem, jak miałbym ci pomóc.

Muszę jechać do Australii. Musisz mi pomóc dostać się do Australii.

- Żartujesz. Chcesz jechać do Australii, ot tak? Teraz?

- Dokładnie, nie mogę już dłużej czekać. Oszaleję, jeśli się z tym nie zmierzę. Wydaje mi się, że mam dwa życia, ja... muszę ją odnaleźć.

Marco westchnął i przygryzł wargi. Jednym przyciśnięciem spacji uruchomił ponownie Maca i rozpoczął poszukiwania w Internecie.

- Masz ważny paszport? - zapytał. Alex nie od razu zrozumiał sens pytania.

- No więc? - naciskał Marco - ważny masz ten paszport czy nie?

- To znaczy, że mi pomożesz?

- No jasne, że ci pomogę, co za pytanie.

- Mam paszport. Korzystałem z niego w styczniu podczas wycieczki z moją klasą. Doskonale. Zobaczmy, co mogę zrobić.

Alex przysunął swoje krzesło do przyjaciela.

- Ale... - stwierdził Marco bez odrywania oczu od ekranu - nie za bardzo opłaca się lecieć aż do Melbourne.

- Widzę.

Lista lotów zaczynała się od tysiąca trzystu pięćdziesięciu euro za bilet w obie strony. Z dużym wyprzedzeniem, co najmniej trzymiesięcznym, cena schodziła do około trzystu euro, ale Alex nie miał najmniejszego zamiaru czekać.

- Co masz zamiar zrobić? - Marco potraktował sprawę poważnie. Każdy inny nazwałby go wariatem. Gdyby zwierzył się swoim rodzicom lub jakiemukolwiek innemu przyjacielowi, poradziliby mu dobrego psychoanalityka. Ale Marco - o czym Alex już wiedział - był wyjątkową osobą. Traktował go serio od samego początku, gdy zrelacjonował mu wszystko, co wydarzyło się po pierwszym omdleniu. Od tego czasu minęły już cztery lata.

- Nie wiem. Nie mam takiej sumy pieniędzy.

- To nie jest problem.

- Jak to?

Marco uśmiechnął się. Alex prawie przewidział odpowiedź.

- Powiedzmy, że mam swoje możliwości...

- Posłuchaj, nie chcę, żebyś pożyczał mi pieniądze.

- Nie mam zamiaru ci ich pożyczać. I tak nie byłyby moje...

Marco zamruczał pod nosem i zaczął szukać czegoś między papierami rozrzuconymi z tyłu Maca. Znalazł jakąś przesyłkę pocztową i włożył ją do rąk Alexa, który zaczął ją przeglądać, podczas gdy przyjaciel objaśniał:

- To są karty techniczne, jakie zdołałem ściągnąć podczas mojej pracy hakerskiej. Chodzi o właścicieli kont, na których mogę dokonywać operacji względnie spokojnie.

- Nigdy nie przestaniesz mnie zaskakiwać.

Alex dokonał przeglądu stron, nie rozumiejąc wykazu cyfr i nazwisk.

- Z takich źródeł mogę pobrać niewielkie sumy, działając tak, jakby to zrobiła jakakolwiek firma, przez którą możesz dokonać zakupu on-line kartą kredytową.

- Ale czy to bezpieczne? - zapytał Alex.

- Oczywiście, że nie, ale mam moje sposoby, nie martw się. Przede wszystkim muszą to być kwoty niewzbudzające niczyich podejrzeń. Wcale nie mam zamiaru stać się dzięki temu miliarderm, byłoby to niemożliwe i wcześniej czy później znaleźliby mnie. Poza tym nie przelewam tej kasy na moje konto. Wysyłam ją do szeregu kart opłaconych z góry. Właścicielami są fikcyjne firmy...

- Myślisz, że coś z tego rozumiem? - Alex zmarszczył czoło i pohamował uśmiech.

- Krótko mówiąc, jestem w stanie wejść w posiadanie tych oszczędności bez mieszania do tego mojego konta bankowego i mogę pobrać dowolną kwotę kartami opłaconymi wcześniej. Mam je tam na dole, w sejfie. - Marco wskazał na mały metalowy sześcian stojący na konsoli, tej samej, na której ustawił zdjęcie ślubne rodziców.

Jutro pójdziesz załatwić sobie opłaconą kartę. A ja pomyślę o trzech tysiącach euro do przelania po południu.

Alex oniemiał.

- Nic nie mów. - Spojrzenie Marco zatrzymało się na fotografii zawieszonyj na ścianie za komputerem. Przedstawiała starszą kobietę robiącą na drutach. - Pamiętasz rok 2011?

- Tak - Alex uśmiechnął się smutno. Pamiętam go dobrze.

- Gdyby nie to, że byłeś ze mną w czasie, gdy miałem depresję, nie dałbym rady. Załamałem się po śmierci mojej babci. Była dla mnie jak matka.

- Wiem.

- Nigdy nie zapomnę tego roku. Trzy tysiące euro nie są warte nawet setnej części tego, ile wtedy dla mnie zrobiłeś.

8

Jennifer Graver spędziła połowę ranka zamknięta w pokoju, przeszukując sieć. Na biurku leżał iPod, a wielkie słuchawki firmy Sennheiser przyciskały jej długie kasztanowe włosy do uszu.

Próbowała wczuć się w stan Alexa, zrozumieć, z jakimi przeciwnościami losu się boryka, aby do niej dotrzeć.

Będzie musiał wsiąść do samolotu, przelecieć pół świata, znaleźć nocleg i mieć nadzieję, że po przebudzeniu jego marzenie stanie się rzeczywistością. Jenny była zadowolona, że zdecydował się na tę podróż. Jej rodzice nigdy by się na to nie zgodzili. Przez chwilę próbowała wyobrazić sobie rodzinę Alexa, jego świat, życie, wszystko to, co go otaczało, nawet rysy, jakie malowały się na jego twarzy, podczas tych rozmów. Zamknęła oczy i jeszcze raz pomyślała o ostatnich zdaniach, które wypowiedział.

Jesteś najpiękniejszym snem, jaki kiedykolwiek miałem.

Nigdy nie doświadczyłem czegoś podobnego.

Chcę cię spotkać, nawet gdybym musiał przejechać cały świat.

Te słowa teraz rozgrzały jej serce. Były pocieszeniem w czasie oczekiwania na moment, który - miała nadzieję - zmieni jej życie na zawsze.

Nie usłyszała Klary, nawołującej ją z dołu willi. W tym momencie refren zespołu Smashing Pumpkins („Powalające dynie”) z 1979 izolował ją od reszty świata. Z nieprzytomnym i zagubionym wzrokiem na stronach własnego pamiętnika Jenny śledziła tekst, śpiewając półgłosem. Często snuła refleksje, myśląc o smutku słów, którymi Billy Corgan opowiadał o swojej buntowniczej młodości. *Mam w nosie zdejmowanie jeansów z zamkiem; nie wiemy, gdzie będą pochowane nasze kości. Sądzę, że zamienią się w pył, zapomniane skończą pod ziemią.*

Matka weszła po schodach, wkładając wiatrówkę i w pośpiechu wpadła do pokoju.

- Skarbie, ciągle z tymi słuchawkami... - powiedziała, zasuwając zamek błyskawiczny.

- Mów.

- Zakupy. Prosiłam cię, żebyś ze mną poszła.

Jenny skinęła głową, zdejmując słuchawki i poprawiając włosy.

- Ach, popatrz, jak pada - krzyknęła Klara, wychodząc z pokoju.

Jenny odnotowała w pamiętniku datę ostatniego *spotkania* z Alexem, po czym zamknęła go i wstała.

Pamiętnik Jenny był świadkiem relacji między nią a Alexem od roku 2010. Było w nim zapisane każde wydarzenie, co w rzeczywistości czyniło go zbiorem ogniów łańcucha zespalającym wszystkie myśli dziewczyny. Tłoczyły się zakłopotane na tych stronach w poszukiwaniu jakiegoś porządku. Był uosobieniem tajemnic, do których dostęp miała tylko ona.

Nikt nie wiedział o Alexie.

Jenny zawsze chroniła tę tajemnicę jak wyjątkowy dar. Czuła, że należy tylko do niej. Była o nią zazdrosna i dobrze jej pilnowała. Poza tym, w ostatnim czasie omdlenia ustąpiły, a komunikacja stała się spokojniejsza i mniej bolesna. Wszystko to jeszcze bardziej nakazywało jej, by to rodzące się uczucie ukryć przed całym światem.

W pamiętniku zapisywała tysiące pytań. Kim był ten chłopiec? Halucynacją? Wyimaginowanym przyjacielem? Czy można się zakochać w odczuciu? Na początku nie wierzyła w tak absurdalną historię na odległość, ale w miarę upływu czasu coraz mocniej odczuwała fizyczną potrzebę znalezienia się blisko tego przyjaznego głosu, rozbrzmiewającego w jej głowie. Marzenie *powinno* przekształcić się w rzeczywistość. Zapragnęła znaleźć się naprzeciw niego i spojrzeć w oczy, które do tej pory jawiły się tylko jako senny obraz. Być może nadszedł już czas, aby to zmienić.

Na stronie z datą 18 sierpnia 2014 roku pierwszy paragraf pamiętnika wiernie przytaczał definicję znaną w Wikipedii:

Telepatia, zwana również przekazywaniem myśli, jest to hipotetyczna zdolność porozumiewania się

przy pomocy umysłu, to znaczy bez posługiwania się innymi zmysłami lub narzędziami. Termin telepatia został wprowadzony w roku 1882 przez Frederica Williama Henriego Myersa i pochodzi z greckiego $\mu\chi\epsilon$ tele (daleko) i $\nu\omicron\varsigma\omicron\epsilon\tau\alpha$, $\rho\theta\eta\epsilon\iota\alpha$ (uczucie). Jako przecucie przyszłych faktów i zdolność przewidywania, telepatia jest częścią tak zwanej percepcji pozazmysłowej (ESP), a bardziej ogólnie, przypuszczalnych zdolności paranormalnych. Jest przedmiotem badań parapsychologii.

Czy ich łączyła ta moc? Czy to był ich dar?

W filmach i w powieściach Jenny natknęła się już na termin telepatia, ale zawsze chodziło o zdolność wykorzystywaną w danym momencie i miejscu, z osobą obecną w tym samym polu działania podmiotu telepatycznego. W jej przypadku najtrudniejszą tajemnicą do wyjaśnienia była ogromna odległość dzieląca ją od Alexa.

Jenny założyła kombinezon, schowała pamiętnik do szuflady, ostatni raz pomyślała o Alexie i przyszykowała się do zejścia na dół, gdzie czekała na nią matka.

„Kto wie, kiedy przyjedzie...”

Czwartkową i piątkową noc Alex spał u Marco, a na sobotni rano zarezerwował lot do Melbourne. Tydzień, nie licząc dni podróży. Pomyślał, że jak na pierwsze „spotkanie” to powinno wystarczyć.

W niedzielę rano miał następne telepatyczne spotkanie z dziewczyną i stało się jasne, że w ich komunikacji coś uległo zmianie.

Zanim nastąpił kontakt, Alex miał niezwykle uczucie, że ją *zawołał*, że uchwycił jej wibracje, częstotliwość myśli, jakby jej umysł albo dusza stały się rodzajem anteny.

- *Poczułaś to także?* - zapytał Alex, pewny, że Jenny zrozumiała, do czego się odnosił.

- *Rozpoznaję twój dźwięk... Nie, to nie dźwięk, to jakby światło, coś, co pojawia się w mojej głowie. Nawet nie wiem, jak to wytłumaczyć.*

- *Jestem pewien, że cię zawołałem.*

- *Tak, wiem.*

- *Za dwa dni będę w Australii, Jenny. Ląduję o dziesiątej rano.*

W tym momencie Alex poczuł nową wibrację i odgłos zbliżającej się burzy. Huk eksplodował między ścianami mózgu, ale nie wywołał bólu. A nawet dał mu dziwne poczucie mocy, jakby poszerzył jaźń, jakby zburzył granice jego czaszki.

- *Powiedz mi, gdzie cię mogę znaleźć* - dodał Alex, kiedy nowe dudnienie nałożyło się na ich połączenie.

- *Me wiem.*

- *Podaj mi miejsce, jakiegokolwiek, gdzie możemy się spotkać.* Dziewczyna zawahała się przez kilka sekund przed odpowiedzią.

- *Altona Beach Pier.*

- *Co to jest?* - zapytał Alex, ale w tym momencie kontakt się urwał.

Alex otworzył szeroko oczy. Był wyciągnięty na kanapie w salonie Marco. Przyjaciel stał w odległości jednego metra od niego i przyglądał mu się z zaciekawieniem.

- *Byłeś z nią?* - zapytał go.

Alex rozejrzał się wokół, aby odzyskać kontakt z rzeczywistością.

- *Muszę coś sprawdzić* - powiedział, siadając. - *Muszę sprawdzić, czy istnieje miejsce o nazwie Altona Beach Pier. I gdzie się znajduje.*

- *Zobaczmy.* - Marco doszedł do komputera i szybko wstukał nazwę, którą podał mu

przyjaciel.

Z tego, co zobaczył szybkim rzutem oka na mapie Google, chodziło o molo na oceanie, w spokojnej, południowo-wschodniej dzielnicy Melbourne.

Następnego ranka, gdy rodzice byli w pracy, Alex zabrał kilka ubrań, jedną książkę, swojego niezawodnego iPod'a i wszystko włożył do plecaka, z którym chodził do szkoły. Przed wyjściem napisał krótki list i zostawił go na kuchennym stole.

Droży mamó i tato,

Wyjechałem w podróż. Nie na długo, nie martwcie się o mnie. Wszystko dobrze, ale nie mogę wam powiedzieć, o co chodzi. Nie zrozumielibyście. Nie mogę już dłużej czekać i nie byłoby sensu prosić was o pozwolenie.

Kocham was, przepraszam.

ALEX

Z plecakiem na ramionach Alex wrócił do Marco, aby spędzić u niego ostatnią noc przed wyjazdem. Lot był przewidziany następnego ranka o siódmej.

- Wiesz, zazdroszczę ci - powiedział Marco. Układał szynkę na kromce chleba tostowego.
- Dlaczego? - zapytał Alex i usiadł przy stole.

Chłopak przycisnął niebieski klawisz na oparciu krzesła. Po kilku sekundach otworzyła się w stole szpara naprzeciw miejsca zajmowanego przez gościa. Stamtąd wyłoniła się drewniana półka, na której znajdował się kieliszek, sztućce i serweta.

- Proste. Ktoś tam daleko potrzebuje cię i nie może się doczekać spotkania z tobą.
- Tak, ktoś, kto przez cztery lata rozmawiał ze mną tylko poprzez ataki epileptyczne...
- Przestań. Wiesz, że ona istnieje - stwierdził Marco zdecydowanym tonem. Potem opuścił wzrok na swoje bezwładne nogi. - Mnie coś podobnego nigdy się nie zdarzy.
- Nie bądź głupi. Wcześniej czy później przyjdzie kolej i na ciebie. Musisz tylko czekać na właściwy moment.

Marco ugryzł kanapkę i powiedział z pełnymi ustami:

- Jestem niepełnosprawny.

Alex wlał mu wodę do szklanki, potrząsając głową.

- Jesteś geniuszem, Marco. Masz nieprzeciętny intelekt. Nie masz nóg, to prawda, są ludzie, którzy mają nogi, ale nie mają żadnych celów, są martwi, wegetują.

- Może masz rację... wcześniej czy później znajdę jakąś biedną nieszczęśnicę gotową spędzić resztę swojego życia z chłopakiem na dwóch kółkach.

Marco roześmiał się. Zawsze był autoironiczny. Alex już się do tego przyzwyczył.

- Jesteś gotowy? Na jutro rano nastawimy trzy budziki.

- Tak. - Alex zamknął oczy i wyobraził sobie, że przelatuje łukiem nad planetą do Australii. - Jestem gotowy. Prawdę mówiąc jestem już poza ciałem.

Po kolacji, przed pójściem spać jeszcze dwie godziny gadali przed telewizorem. Jak można było przewidzieć, matka Alexa zadzwoniła do domu Marco bardzo zdenerwowana. On doskonale zagrał swoją rolę. Odpowiedział, że i on próbował szukać Alexa przez komórkę i że właśnie miał do niego dzwonić do domu. Przedstawienie powiodło się. Przez jakiś czas nie przyjdą go szukać.

Przynajmniej taką mieli nadzieję.

Następnego ranka budzik zadzwonił o czwartej.

Rozpocząła się podróż.

9

Alex wystartował z lotniska Malpensa 28 listopada 2014 roku o godzinie siódmej dwadzieścia. Po upływie mniej niż półtorej godziny przewidziane było lądowanie na pierwszym z dwóch zaplanowanych międzylądowań - na lotnisku Charles a de Gaulle'a w Paryżu.

Dzięki Marco mógł wszystko opłacić kartą. Ponad jedna trzecia budżetu poszła na rezerwację lotu. Z tego, co zostało, kolejna część była przeznaczona na nocleg w Australii, o ile Jenny nie znalazłaby jakiegoś sposobu na goszczenie go. Ale pomyśl, że ona, która do niedawna była tylko wytworem jego halucynacji, teraz mogłaby ulokować go w swoim domu, wydawał mu się niewyobrażalny.

Czas oczekiwania na drugi lot wynosił trzy i pół godziny. Przez pierwszą godzinę Alex włóczył się po lotnisku bez celu. Zatrzymał się tylko w sklepie, aby kupić nowe słuchawki do czytnika mp3, potem usiadł w barze i z plecaka wyjął książkę Andrew Klavana „*Przed północą*”. Od czasu do czasu rozglądał się wokół. W pomieszczeniach panował ciągły ruch przechodzących tam i z powrotem ludzi, którzy wzruszeni obejmowali się, żegnając się przed rozstaniem lub cieszyli po długim czasie niewidzenia.

„To są wszystkie linie” - pomyślał i każdą z tych osób widział jako linię biegnącą po hipotetycznej mapie. Gigantyczna płatanina krzyżujących się, zbliżających, czy łączących dróg, podążała dalej i dalej. Tam, na zewnątrz, na ścieżkach świata, miliardy linii, życiowych torów. Miliardy obranych kierunków, porzuconych przypadkiem, czasami przecinających się gwałtownie. Przez moment pomyślał, że dwoje zakochanych ludzi to nic innego jak tylko dwie przypadkowe wektory biegnące od kołyski. Mogli odbyć na mapie świata najbardziej absurdalne podróże w różnych kierunkach i nigdy się nie spotkać. Albo spotkać się wiele razy i nigdy się *nie rozpoznać*. Mogli wsiadać każdego ranka do tego samego autobusu, nie wiedząc nic jedno o drugim. I tak do końca ich dni, bez jakiegokolwiek wpływu na siebie. A wystarczyło tak niewiele - przypadkowa wymiana zdań, i drogi magicznie by się złączyły. Z szarych linii biegnących samotnie przekształciłyby się w jedną.

Lot Paryż - Kuala Lumpur rozpoczął się zgodnie z rozkładem w samo południe.

Lądowanie było przewidziane na godzinę szóstą trzydzieści pięć czasu lokalnego. W samolocie Malezyjskich Linii Lotniczych Alexowi udało się trochę przespać. Kiedy się obudził, pozostały jeszcze dwie godziny do przylotu. „Nawet po środku nasennym nie spałbym tyle” - pomyślał, gdy zza rzędów doszedł do niego krzyk dziecka na rękach matki.

Przerwa przed ostatnim lotem była dość długa. Musiał spędzić prawie cały dzień w stolicy Malezji. Dobrych piętnaście godzin między lądowaniem a następnym startem, tym razem już do Melbourne.

Lotnisko zadziwiło Alexa swoją wielkością. Aby przejść do wyjścia, potrzebował prawie dwudziestu minut. Uderzył go porządek i czystość. Mimo milionów osób przewijających się tu

każdego dnia, nie było śladu śmieci na posadzce, a szerokie okna wychodzące na pas startowy były tak nieskazitelnie czyste, że aż prawie niewidoczne.

Alex dotarł do automatycznych drzwi i opuścił lotnisko. Zaskoczyła go niespodziewana fala ciepła. Wilgotność była tyleż nie do zniesienia, co nieoczekiwana.

Nie miał pomysłu, jak zagospodarować sobie czas. Szedł wzdłuż szerokiej, niezbyt ruchliwej drogi. Pierwszą rzeczą, jaką zauważył, były wskazówki, jak dojść do toru samochodowego w Sepang, znajdującego się prawie przy samym lotnisku. Widział różne zawody prowadzone na tym torze. Jako miłośnik gier video dobrze znał wytyczoną trasę. Analizował ją przy licznych okazjach w domu Marco podczas rozgrywek na Play Station. Zdecydował, że pójdzie w tym kierunku.

Tor był niedostępny z powodu prowadzonych na nim prac, ale Alex, znając jako tako angielski, zapytał robotnika o miejsce, w którym mógłby coś zjeść i trochę się zrelaksować przez kilka godzin. Potem wsiadł do autobusu, który zawiózł go w kierunku wybrzeża. Wysiadł, kiedy zobaczył w głębi ulicy wylaniającą się plażę. Znajdował się na Bagan Lalang Beach - fascynującym obszarze piaskowym, oddzielającym dzielnicę Sepang od Oceanu Indyjskiego. Przeszedł przez ulicę, przed nim przejechał sznur rowerów śmigających po wyścigowym torze rowerowym, który biegł wzdłuż jezdni. Następnie dotarł do muru. Tuż za nim rozpościerał się wspaniały, piaszczysty teren, zmoczony przez łagodne fale. Na oceanie jawiły się sylwetki trenujących surferów.

„Gdzie jestem... to niesamowite!” - pomyślał i zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy w swoim życiu znajduje się po innej stronie świata - sam.

Atmosfera Balan Lalang Beach była magiczna. Cisza i spokój tego miejsca wydawały się idealną ścieżką dźwiękową dla jego wszystkich myśli. Czuł, że jego życie właśnie zmienia kierunek, mimo że nie był w stanie wyobrazić sobie, dokąd go zaprowadzi.

Po przejściu stu metrów znalazł się naprzeciw baru ze stolikami pod gołym niebem z napisem: CHUCK BERRY'S. Na zewnętrznej kolumnie był powieszony plakat przedstawiający jednego z najślawniejszych piosenkarzy amerykańskich - *Johnna B. Gooda*.

Alex usiadł przy stoliku na zewnątrz, położył plecak na krześle i czekał. Kiedy kelnerka przyniosła mu menu z licznymi zdjęciami dań, od razu zdecydował się na danie o nazwie *ikan baka* i zamówił je bez wahania. To była grillowana ryba - lokalna specjalność - którą Alex zamówił z frytkami.

Młoda kelnerka chyba poczuła do niego sympatię, bo ni z tego, ni z owego wyjaśniła, że hotel i mały domek w okolicy plaży i w ogóle Sepang Gold Coast przez cały rok były obleżone przez turystów pochodzących z najbardziej odległych krańców świata.

Po obiedzie Alex zaczął spacerować i odkrył charakterystyczną kafejkę przy brzegu, gdzie zatrzymał się na dwie godziny, czytając aż do momentu, gdy sympatyczny szef-krępy mężczyzna o oliwkowej skórze i z czarnymi wąsami - nie zaczął go zamięczać rozmową. Słońce świeciło mocno, a wilgotność stała się jeszcze bardziej intensywna i dokuczliwa.

- You are looking for a girl, aren't you? Thats the reason why you left Italy! - zażartował mężczyzna po tym, jak usłyszał nieporadny angielski chłopaka. Szef kafejki zgadywał w ciemno i całkowicie trafnie, zaskakiwało Alexa. Nie odpowiedział i ograniczył się do uśmiechu, odwracając głowę i wzrok w stronę linii horyzontu.

Przy ulicy, na drewnianym krześle przed stolikiem siedział jakiś mężczyzna. Alex właśnie go

mijał, próbując znaleźć właściwą drogę do lotniska, gdy ten do niego zagadnął:

- Włoch? Powrózę ci z ręki.
- Nie, dziękuję - odpowiedział chłopak i zaczął iść w przeciwnym kierunku.
- Tylko pięć minut.
- Nie mam czasu, muszę zdążyć na samolot - próbował blefować Alex, nie zatrzymując się.
- Masz dużo czasu. Twój lot jest dzisiaj wieczorem.

Alex zatrzymał się i przez kilka chwil wbił wzrok przed siebie. Potem powoli odwrócił głowę, nie mówiąc ani słowa.

- Ty inteligentny - powiedział mężczyzna, próbując mu schlebiać. Siwe, potargane włosy, na grzbiecie nakrapiane ubranie, noga założona na nogę pod stołem i karty w ręku gotowe do tasowania.

- Jestem inteligentny? - zapytał Alex sarkastycznie. - Więc wiesz już wszystko.
- Wiem wszystko. Wybierz kartę.

Alex zawahał się przez moment, jednak potem ciekawość wzięła górę.

- Ta - powiedział, wskazując przypadkową kartę.
- Trzymaj ją, nie mów.

Przed jego oczami pojawił się kwietny król. Plastikowa karta była większa od kart, które znał Alex, ale zafascynował go rysunek. Bardziej wyglądała na kartę tarota niż na zwyczajną kartę do gry.

Wydawało mu się, że król patrzy mu prosto w oczy.

- Widzę ciebie robić wielki skok.
- Tak? - zapytał Alex sceptycznie.
- Ty wielki skok w czarny ocean.
- A ty może chcesz pieniądze za te nadzwyczajne rewelacje - zażartował Alex, myśląc, że tylko traci swój czas.

Wróżbita przyjrzał mu się zagadkowo, uśmiechnął się, następnie wyjął kartę i pokazał mu. Przedstawiała biało-czarny prostokąt przecięty żółtą błyskawicą.

- My wszyscy w dużym niebezpieczeństwie - podjął. - Zwłaszcza ty.

„A ty pijany” - pomyślał Alex, ale nic nie odpowiedział. Następnie wstał, złapał pasek od plecaka, zarzucił go sobie na prawe ramię i poszedł swoją drogą.

Wróżbita stał, patrząc przed siebie, z tym samym co wcześniej uśmiechem malującym się na twarzy i uniesioną prawą brwią. Nie śledził chłopca wzrokiem. Ograniczył się do szeptu:

- Dobrej drogi, Włochu, pozdrów ode mnie dziewczynę z Melbourne.

Alex odwrócił się nagle. Tego nie mógł wiedzieć. To niemożliwe. Szybko rzucił oczami w poszukiwaniu wróżbity. Już go nie było.

- Co za diabeł... - Alex rozejrzał się dookoła, ale mężczyzna już zniknął.

„Absurd. Jak mógł zniknąć tak szybko?” - potrząsnął głową, potem doprowadził do porządku włosy i poszedł dalej.

Kiedy wrócił na lotnisko, była szósta po południu.

Start, tym razem do Melbourne, przewidziany był na dwudziestą pierwszą trzydzieści pięć. Jenny była coraz bliżej i Alex drżał w oczekiwaniu. Próbował zapomnieć o epizodzie z wróżbitą, aby nie popaść w paranoję. Bardzo chciał zasnąć podczas lotu i obudzić się następnego dnia na lotnisku w Tullamarine. Stan podniecenia narastał z każdą chwilą.

Wydawało się, że lot nigdy się nie skończy. Alex obejrzał cztery filmy, jeden po drugim, każdy nudniejszy od poprzedniego. Wcześniej naturalnie musiał kupić słuchawki od malezyjskich linii lotniczych, które okazały się niewygodne i kosztowały aż pięć dolarów, Próbował także kontynuować lekturę powieści Klavana. Mimo że była fascynująca i wciągająca, odczytywał wciąż te same linijki. Za żadne skarby świata nie mógł się skoncentrować.

O godzinie dziewiątej pięćdziesiąt, 30 listopada 2014 roku, dwa dni po wyjeździe z Mediolanu, wylądował w Melbourne.

Po przejściu przez kontrolę graniczną włączył komórkę. To było do przewidzenia. Na ekranie wyświetliło się piętnaście połączeń z numeru telefonu jego mamy. Przez chwilę poczuł żal, że zmartwił rodziców, ale potem wyłączył telefon i schował go do wewnętrznej kieszeni plecaka. „Nareszcie jestem tutaj” - pomyślał, jak tylko automatyczne drzwi lotniska otworzyły się do wyjścia.

Przyleciał. Był w Melbourne.

O krok od Jenny.

10

Jenny ciągle przyglądała się sobie w lustrze. Po poprzedniej, źle i krótko przespanej nocy, około ósmej trzydzieści rano, oddała się ciepłej, relaksującej kąpieli. Miodowy aromat musujących kulek koił jej zmysły. Następnie poświęciła pół godziny układaniu kasztanowych, zawsze splątanych włosów. Rodzice wyszli z domu o ósmej i byli już w pracy. Jenny powiedziała im, że idzie do szkoły trochę później z powodu nieobecności nauczyciela od angielskiego. W rzeczywistości, kiedy rodzice myśleli, że jest w szkole, ona borykała się z wyborem najbardziej stosownych ubrań na spotkanie.

Nigdy nie była tak rozemocjonowana i starała się nie myśleć o tym, jak bardzo to wszystko było absurdalne.

Włożyła jedną ze swoich ulubionych spódnic w kolorze śmietankowym, długą do kolan, z brylancikami, które po jednej stronie tworzyły kształt komety. Następnie nałożyła jasny żakiet na niebieską koszulkę z krótkimi rękawami a na koniec brązowe kozaki. Kątem oka spoglądała na zegar ścienny znajdujący się w jej pokoju. Byk prawie dziesiąta. Alex powinien już wylądować, prawdopodobnie w tym momencie szedł na miejsce spotkania. Lotnisko oddalone było od plaży o ponad trzydzieści kilometrów, a Jenny mieszkała pięć minut od molo, ale zdecydowała, że przyjdzie dużo wcześniej. Była bardzo rozgorączkowana. Nie mogła już dłużej usiedzieć w domu.

Musiała wyjść.

Willa Graverów znajdowała się przy ulicy Blyth Street, drugiej równoległej do Esplanady drogi, która ciągnęła się wzdłuż Pacyfiku. Parę kroków stąd Pier Street prowadziła bezpośrednio w stronę mola w Altonie. Za skrzyżowaniem z Queen Street Jenny poczuła narastające - bardziej intensywne i częstsze - kołatania serca.

Przestraszona odskoczyła do tyłu, gdy obok niej ktoś śmignął na rowerze i gwałtownie skręcił w ulicę Esplanada. Była napięta jak struna skrzypiec. Zanim przeszła przez ulicę, zrobiła głęboki wdech.

Naprzeciwko niej - molo.

Była za wcześnie, wiedziała o tym.

Pokonała cztery schody i znalazła się na Altona Beach Pier. Zrobiła krok do przodu, z rozłożonymi rękami, wspierając się o balustradę. Czuła, jak rzeński wiatr unosi piasek i ciągnie go za sobą. Przebiegła całą drewnianą konstrukcję mola, przy końcu zdecydowała się wrócić i usiąść na schodkach prowadzących na plażę. Zaczeka tutaj. Alex powinien zaraz przyjść. Próbowała się zrelaksować, poddała się kołysaniu fal Pacyfiku. Robiła to często, kiedy odczuwała potrzebę refleksji. Schodziła na plażę, kładła się blisko brzegu i pozwalała się ponieść temu magicznemu dźwiękowi, który ją hipnotyzował i porwał jej umysł.

Serce Jenny uderzało gwałtownie. Czas spotkania nadchodził wielkimi krokami.

Taksówkę, która zawiozła Alexa do Altony, prowadził trzydziestoletni chłopak. Buzia nie zamykała mu się przez cały czas trwania kursu. Naszpikował go informacjami turystycznymi, podczas gdy on nie robił nic innego, jak tylko wyglądał przez szybę, ograniczając się do kiwnięcia, od czasu do czasu, głową na znak zgody. Taksówkarz zadał mu także kilka pytań, ale Alex oświadczył, że nie zna dobrze angielskiego. Tak naprawdę w szkole miał średnią sześć i radził sobie także z konwersacją, ale nie miał najmniejszej ochoty tracić czasu na próżne gadanie.

Około dziesiątej czterdzieści taksówka skręciła w prawo, wjeżdżając z Millers Road na Esplanadę i przejechała wzdłuż oceanu od strony mola. Widok tej bezkresnej, błękitnej przestrzeni oczarował Alexa.

Teraz była to już kwestia tylko kilku minut.

Samochód się zatrzymał, chłopiec zapłacił za kurs i pożegnał się. Mężczyzna ruchem głowy wskazał molo, ale on już wcześniej zauważył je przez szybę taksówki.

„To tutaj”. Alex przeszedł przez ulicę, gdy taksówka odjeżdżała. Molo było blisko. Wystarczyło przejść koło kiosku z lodami z napisem LODOWY RAJ. Kiedy kilku chłopców ścigało się rowerami, mknąc wzdłuż nadbrzeża, Alex minął kiosk i doszedł do promenady. Skierował pierwsze kroki w stronę Altony Beach Pier.

Zobaczył tylko męską postać, która szła naprzeciwko. Żadnej dziewczyny w jego wieku. Może Jenny jeszcze nie przyszła.

Alex, niezdecydowany, podszedł kilka metrów do przodu.

Po prawej stronie, koło ulicznej latarni, zauważył schodki biegnące na plażę. Przybliżył się. Na jednym ze stopni siedziała postać odwrócona plecami, o długich kasztanowych włosach ze wzrokiem skierowanym w stronę morza. Lękliwy, z gwałtownie bijącym sercem, zszedł krok niżej.

W końcu odważył się i zawołał.

- Jen... Jenny? - głos dławiał go w gardle.

Osoba odwróciła się nagle.

- What do you want? - zapytał młodzieniec o bujnych, długich do pasa włosach, spoglądając na niego nieprzychylnie.

- I'm sorry... - przeprosił Alex.

Chłopiec wstał i zszedł schodkami w stronę plaży. Alex przez chwilę odprowadzał go wzrokiem.

- *Jenny, gdzie jesteś?*

Kwadrans po jedenastej Jenny pomyślała, że być może miała płonne nadzieje. W istocie rzeczy

jak mogło być to możliwe?

Może naprawdę była schizofreniczką. Może głosy, które słyszała, obrazy, które widziała, były tylko skutkiem choroby psychicznej.

Z trudem powstrzymała skurcz żołądka. Na molo nie było śladu Alexa. Kiedy na niego czekała, spotkała pana, który wyszedł na spacer ze swoim labradorem, parę trzydziestolatków trzymających się za ręce, starszkę wraz z towarzyszącą opiekunką i kilku chłopców, którzy z pewnością byli na wagarach. Ani cienia Alexa.

Jenny zaczęła do jedenastej trzydzieści, następnie przypomniała sobie słowa z ich ostatniej rozmowy. Udało mu się ją przywołać, połączyć się z nią tylko dzięki sile woli. Żadnego ataku, jak w pierwszych latach. Bez nagłych i obojętnych przerw, jak w ostatnich miesiącach. Prawdziwe *wezwanie* nakazane przez mózg.

- *Jenny, gdzie jesteś?* - jakiś głos w tym momencie zapytał wewnątrz jej głowy. To był głos Alexa.

Nagle molo zniknęło a Jenny znowu poczuła silną wibrację, moc, która ją ogarniała i ciągnęła dalej jak łódkę pośrodku burzy.

Zamknęła oczy i skupiła się na jednym punkcie swojego umysłu. Wszelkie inne myśli rozpierzchły się.

- *Alex* - pomyślała nieśmiało Jenny.

Ich słowa ponownie brzmiały jak uderzenie dzwonu. Nagle zmieniły się w odgłos grzmotu i piorunu przypominającego wyładowanie elektryczne.

Uczucie zlodowacenia wzdłuż całego ciała. Jenny spróbowała zamknąć oczy, ale nie była w stanie. Stała nieruchomo wpatrzona w ocean. W jej mózgu rozbrzmiewał szum tych samych fal z naprzeciwnika.

- *Alex...*

- *Słyszę cię, Jenny.*

- *Alex, gdzie jesteś? Nie mów mi, że nie istniejesz, proszę cię.*

- *Ja jestem* - powiedział Alex. - *Istnieję. Przyjechałem aż tutaj, przyjechałem do ciebie.*

- *Gdzie jesteś?*

- *Jestem tu, na molo.*

- *To niemożliwe, Alex. Jestem na molo od ponad godziny, nie ma żadnej żywej duszy na tej przystani. Jesteś pewien, że jesteś w Altonie, naprzeciw Pier Street?*

- *Tak, Jenny jestem jakieś dziesięć metrów od drogi, na pierwszym odcinku mola. Naprzeciwko mnie znajduje się latarnia, a parę kroków dalej schodki, które prowadzą na plażę.*

Alex zamilkł, ale w jego głowie pojawił się nowy lęk.

- *Jenny?*

Odetchnął głęboko. Bał się, że nagle stracił kontakt.

- *Słyszysz mnie jeszcze?*

- *Alex, jestem naprzeciw tej samej latarni, koło schodków. Dokładnie tam, gdzie ty.*

11

Alex powoli osunął się na ziemię. Ostatnie słowa Jenny krążyły w jego głowie przez kilka niekończących się sekund.

- *Dokładnie tam, gdzie ty mówisz, że jesteś...*

Chłopiec oparł dłoń o prawą skroń, gdzie czuł ostry i przejmujący ból. Następnie zmieszany rozejrzał się wokół, ciągle mrużąc oczy z powodu migreny.

W tej właśnie chwili molo było puste. Wiatr był coraz bardziej gwałtowny i zimny, zaczął marszczyć fale.

- Bez sensu - skomentował na głos. Powtórzył to trzy razy. - Wariuję. To jedyne wyjaśnienie. Tracę rozum i nie chcę tego zaakceptować.

Popatrzył na swój plecak porzucony na ziemi, obok poręczy.

Wyciągnął rękę, żeby go chwycić, przyciągnął do siebie i otworzył. Poszperał i z wewnętrznej kieszeni wyjął telefon komórkowy, włączył go i wybrał numer MARCO.

Przyjaciel jeszcze nie spał, jak zwykle, choć była trzecia trzydzieści w nocy.

- Alex! - zaczął, zdziwiony nieoczekiwanym dzwonieniem komórki. Naprzeciw niego znajdowały się trzy włączone komputery, na które padało słabe światło lampy zamontowanej na stole do pracy. Niebieskie neony zawieszane na ścianie w tym momencie były wyłączone, żeby się nie przegrzały.

- Przepraszam cię, Marco. Spałeś? - monotony ton głosu powiedział przyjacielowi już wszystko.

- Ależ skąd, właśnie łamię pewien system. Zdołałem wejść do danych bankowych gier video i jeśli będziemy mieć szczęście, będę w stanie przesłać sobie do domu kopię nowego *Cali of Duty* do jutra rana. Gratis, natural...

- Jenny nie ma - przerwał mu Alex. - Jestem w miejscu, w którym się umówiliśmy, ale jej nie ma.

- Może miała jakieś problemy. Może właśnie dojeżdża.

- Nie, to inna sprawa. Rozmawialiśmy przed chwilą.

Marco skierował do tyłu wózek elektryczny i wyjechał ze strefy komputerowej. Zatrzymał się przy stolyczku, na którym zostawił butelkę naturalnej wody mineralnej. Wypił kilka łyków i próbował zrozumieć, co Alex miał na myśli, używając tego terminu.

- Rozmawialiście... w myśli? ----- Tak.

- I co ci powiedziała? Wyjaśniła ci, dlaczego jej nie ma?

- Wręcz przeciwnie.

- Nie rozumiem.

Alex rozejrzał się wokół, jakby się obawiał, że ktoś może go usłyszeć, ale to tylko fale rozbijały się o konstrukcję mola.

-Ona mówi, że jest tutaj. Dokładnie tu, gdzie i ja teraz jestem.

Przyjacielowi odjęło mowę. Od pierwszej chwili, kiedy Alex opowiadał mu o Jenny i o dziwnych spotkaniach, nie miał żadnych wątpliwości, nawet przez pół sekundy, co do jego wiarygodności, a zwłaszcza zdrowia umysłowego swojego przyjaciela. Był przekonany, że wszystkie kłopoty Alex miał na miejscu. Co więc się kryło za tym niedoszłym spotkaniem?

Ona tam była lub przynajmniej mówiła Alexowi, że jest dokładnie w miejscu, w którym wyznaczyła spotkanie. Ale nikogo nie było, z tego, co mówił Alex. Tylko puste molo.

-Alex, zdajesz sobie sprawę, że to, co powiedziałeś, nie ma sensu?

- Ciągłe sobie to powtarzam. Wszystko to nie ma najmniejszego sensu. Wariuję! - Alex uderzył pięścią o ziemię.

- Posłuchaj mnie. Spróbuj się uspokoić. Musi być jakieś wyjaśnienie. Daj mi dziesięć minut. Muszę coś sprawdzić. Oddzwonię do ciebie.

- Dobrze - powiedział Alex przygnębionym tonem.

- Nie oddalaj się, zostań tam, zjedz kanapkę, skocz na plażę, idź na spacer, ale nie podejmuj żadnych działań, dopóki do ciebie nie zadzwonię.

Alex włożył komórkę do kieszeni, następnie wziął plecak i poszedł w kierunku schodków, które wiodły na plażę. W oddali kilku chłopców grało w piłkę. Jakiś mężczyzna szedł z psem szybkim krokiem wzdłuż brzegu. W tym momencie Alex zrozumiał znaczenie zdania przeczytanego w Internecie, kiedy wstukał nazwę dzielnicy i wyskoczyła mu strona turystyczna z tekstem: „Najbardziej relaksacyjny obszar Melbourne, oaza spokoju”.

Westchnął i rozłożył się na piasku, ze wzrokiem zatopionym w błękitnym i jasnym niebie. Migrena ustępowała.

W tym czasie Marco wprowadził kilka słów-kluczy do Seekera -wymyślonego przez niego programu - i czekał na wyniki.

Miał stać się oprogramem do najbardziej nadzwyczajnych poszukiwań na świecie - powtarzał zawsze. Mógłby go sprzedać jakiemuś dużemu przedsiębiorstwu i zarobić worek pieniędzy.

Szkoda, że na razie był całkowicie nielegalny.

Algorytm, na którym opierał się Seeker, działał tak, żeby przeszukiwanie przebiegało na różnych poziomach. Wydobywał korespondencje na forach, na Facebooku, wiadomości na Twitterze, zawartość MySpace i wszystkie główne platformy, które posługiwały się oprogramem do działań między użytkownikami. Wszystko było porównywane z wynikami głównych wyszukiwarek i najbardziej wiarygodnymi encyklopediami oraz z archiwum i bazą danych online. Podstawowym zadaniem software'u było przeplatanie zawartości informacyjnej online i offline, informacji niesprawdzonych z pewnymi. Według Marco tylko tak można było wykorzystać nieskończone możliwości, dotrzeć do nowych hipotez. Celem było formułowanie hipotez, a nie szukanie przewidywalnych odpowiedzi. Ale oczywiście była też „strefa” poszukiwań najbardziej interesujących, która mogła dostarczyć przydatnych informacji, ale działała ona z pominięciem prawa. Marco zdołał wejść do banku danych głównych osób zarządzających telefonią państwową i stworzył algorytm, który przesiewał wszystkie esemesy wymieniane przez użytkowników, szukając zgodności. Twarzą w twarz z privacy - tak zawsze mawiał.

Procesor rozpoczął obróbkę danych.

Nie upłynęło dziesięć minut, gdy fioletowe pasmo, które dominowało na środku video osiągnęło sto procent i zaczęły pojawiać się pierwsze wyniki. Ekran zaczął wypełniać się linkami, wykazami bibliograficznymi, nazwiskami autorów. Marco zrozumiał, że aby przesiać i przeanalizować te informacje, będzie potrzebował więcej czasu. Potem dołączył się input i eliminował połączenia mniej ważne.

Chwycił palmtop i wysłał do przyjaciela esemesa:

MAM MATERIAŁ. MUSZĘ POMYŚLEĆ. IDŹ NA KRÓTKI SPACER, ZJEDZ COŚ. ZDZWONIMY SIĘ PÓŹNIEJ.

Alex odczytał wiadomość i zrozumiał, że nie ma wyboru. Teraz, kiedy napięcie trochę osłabło poczuł, że jest głodny. W pierwszej chwili, na skutek biegu wydarzeń, skurczył mu się żołądek. Ale teraz minęło już prawie południe i rada przyjaciela wydała mu się rozsądna. Poszedł na Esplanadę, w kierunku przeciwnym niż droga, którą przyjechał taksówką.

Minął dwa bary i zauważył szyld restauracji o nazwie STEAK MEX! Robiła wrażenie miejsca, w którym można było bardzo dobrze zjeść mięsne danie w bardzo wysokiej cenie. Poszedł dalej. Po

kilku krokach budka z pizzą sprzedawaną na kawałki wydawała się w jego przypadku bardziej stosowna.

Usiadł przy stoliku w cieniu i położył plecak obok na krześle. Zamówił kawałek pizzy i porcję krokiecików ziemniaczanych. Kiedy czekał na obsługę, oparł się łokciami o stół i opuścił głowę między rękami, pogrążając się w ciemności i szukając ukojenia w samotności, aż do przyjścia kelnera.

Po drugiej stronie świata, Marco drukował stronę za stroną, zakreślał paragrafy, przetwarzał kolejne dane na komputerze, robił notatki w kratkowanym notesie formatu A4. Czuł, że wyjaśnienie tego, co zdarzyło się Alexowi, jest tyleż bliskie, co niewiarygodne. Miał już pewien pomysł, zostało mu tylko sprawdzenie niektórych informacji. Wszystko to nie miało podstaw, mogło się wydawać nierealne, żeby nie powiedzieć paranormalne, ale droga prowadziła tylko w jednym kierunku. Zakładając, że przyjaciel nie ma problemów umysłowych, była to jedyna odpowiedź na to wszystko, co się działo. Odpowiedź, która zrodziła się z pytania, które Marco zadał sobie wiele lat temu, w dniu wypadku, w którym stracili życie jego rodzice.

Alex popijał właśnie kawę rozpuszczalną z dużego, papierowego kubka, gdy wyświetlacz jego komórki nagle się rozjaśnił.

- Mam ścieżkę. Założę się, że wyda ci się to absurdalne. Wiedz, że przyjmę cały szereg zniewag z twojej strony. Ale jeśli założymy, że ty nie cierpisz na zaburzenia psychiczne, jest tylko jedno wyjaśnienie tej zagadki. Jedyne, na którym warto się skupić, aby iść do przodu.

- Słucham cię.

- Mówimy o czymś, czego istota ludzka jeszcze nie poznała dogłębnie.

- Przejechałem pół świata, żeby porozmawiać z dziewczyną, z którą komunikuję się tylko mentalnie... jestem gotów na wszystko.

- Więc powiedz mi: kiedy zaczęły się ataki?

- Wiesz, że cztery lata temu.

- Dobrze. Zaczęłeś słyszeć głosy, widzieć obrazy. Wszystko było chaotyczne, komunikacja z *drugą stroną* była skomplikowana i często niezrozumiała. Czy tak?

- Tak.

- W miarę upływu czasu zarówno ty, jak i Jenny udoskonaliście technikę, dzięki której się komunikowaliście, wymienialiście informacje, dowiadywaliście się czegoś jedno o drugim.

- Po co mi mówisz coś, o czym wiem?

- Posłuchaj mnie! W ostatnich miesiącach rzecz ewoluowała. Byliście w stanie komunikować się bez bólu, omdleń, bez nakładania się głosów czy obrazów, które nie mają nic wspólnego z waszym życiem. Jednym słowem - krótkie, coraz bardziej przejrzyste rozmowy.

Alex pomyślał o pierwszym razie, gdy udało mu się nie zemdleć, kiedy słyszał głos Jenny w Bibliotece Uniwersyteckiej i wydawało mu się, że unosi się w otchłani, podczas gdy jego ciało było sztywne i wbite w drewniane krzesło.

- Dokąd zmierzasz?

- Jenny potwierdziła, że istnieje, wyznaczając ci spotkanie w miejscu na ziemi, którego nie znałeś. Ponadto z tego, co mi opowiadałeś, podała ci dane, których nie mogłeś znać...

- Nazwisko burmistrza australijskiego.

- Dokładnie. Dlatego też Jenny istnieje. I mieszka tam, gdzie mówi, że mieszka.

- Ale nie było jej na tym moło! Mówiła, że tam jest, ale nie było nikogo!

- Alex... Jenny *była* na tym moło.

Mały chłopiec skręcił na deskorolce obok budki, przeskakując zręcznie krawężnik chodnika z niebywałą prędkością. Alex założył plecak i podszedł do lady, następnie wyciągnął kartę kredytową i wręczył ją barmanowi, nie patrząc nawet na cenę na ekranie kasy.

- Jesteś tam jeszcze? - zapytał Marco.

Alex pożegnał się skinieniem głowy i oddalił od budki. Wyszedł i oparł się łokciami o murek biegnący wzdłuż oceanu, obserwując pomarszczone fale odbijające się w morzu, pozłacane przez słońce.

- Marco, co ty do diabła mówisz?

- Dokładnie to, co powiedziałem. Że od teraz musimy inaczej patrzeć na rzeczy, mój przyjacielu.

- Wybacz mi moją ignorancję, ale z tego, co wiem, jeśli jakaś osoba jest na moło naprzeciw latarni i ja jestem na tym samym moło naprzeciw tej samej cholernej latarni, to ją widzę!

Marco uśmiechnął się, wertując notatki na stole. Gromadziło się coraz więcej szpargałów i klawiatura Maca była schowana pod stertą kartek. Później to wszystko uporządkuje.

- Dobrze, podam ci drobny przykład, abyś zrozumiał, co mam na myśli.

- Dawaj.

- Dziesięć lat temu nie sparaliżowało mnie od pasa w dół na skutek tamtego wypadku. Samochód stacza się ze skarpy, ale zatrzymuje się na drzewie, włączając blokadę centralną i pozostawiając moich rodziców przy życiu, a twojego przyjaciela zdrowego jak ryba.

- Co ty bredzisz?

- Snuję hipotetyczny scenariusz. Jesteś w stanie go sobie wyobrazić?

- Hm, tak... wyobrażam sobie. Bardzo chciałbym, żeby tak było, ale to niestety fantazja.

- Zgadzasz się ze mną, że w życiu każdego z nas są wyraźne zdarzenia, które na zawsze zmieniają bieg naszej egzystencji?

- Jasne.

- Są też cięższe, jak mój wypadek i inne, które wydają się bez znaczenia, ale tak nie jest. Wszystko ma swoje znaczenie. Pojęcie znaczenia jest względne. W moim życiu, od tamtego dnia, zmieniło się wszystko, ponieważ straciłem rodzinę i możliwość posługiwania się połową mojego ciała. Dla prezydenta Stanów Zjednoczonych ma znaczenie, jeśli wybuchy skandal, którego skutkiem jest brak jego reelekcji. Każdy z nas ma setki różnych momentów krytycznych.

Alex słuchał uważnie słów przyjaciela. Przyszła mu do głowy „teoria strun”, którą zakładał, obserwując ludzi na lotnisku Charles a de Gaulle’a. Każda osoba to jakaś przebyta droga. Zgodnie z tym, co mówił przyjaciel, droga Marco nagle skręciła dziesięć lat temu, na skutek wypadku. Wszystko to, co mogłoby się wydarzyć w jego życiu, zostało skierowane na zupełnie inną trasę na skutek tamtej tragedii.

- Spróbuj teraz pomyśleć - kontynuował Marco - że w rzeczywistości hipotetycznej nie zostałem sparaliżowany podczas tamtego wypadku, moja rodzina nie straciła życia przygnięcioną blachą. W którym miejscu byłbym dzisiaj?

- Nie wiem. Byłbyś w domu ze swoją rodziną, chodziłbyś... Dlaczego mnie o to pytasz?

- A gdyby taki scenariusz istniał?

- Co chcesz powiedzieć?

- Częściowo jestem z rodziną, chodzę, a ty prawdopodobnie mnie nie znasz.

- Częściowo, *gdzie?*

Marco westchnął głęboko przed ujawnieniem głównego tematu swoich poszukiwań.

- W czasoprzestrzeni alternatywnej.

Alex nie odezwał się przez kilka sekund. Na linii horyzontu oddalał się statek i w końcu zniknął, jakby został połknięty przez ocean. Alex oddał się kontemplacji do chwili, kiedy ostatni, odległy, czarny punkt nie zniknął całkowicie.

- Marco, co ma do tego ta historia? Czym do cholery jest czasoprzestrzeń alternatywna?

- Rzeczywistością równoległą. Dokładnie takim samym światem, w którym żyjemy, z nieskończoną ilością rzeczy wspólnych z tym, ale w którym moglibyśmy obrać inne drogi.

Alex podniósł głowę, popatrzył w niebo i zatrzymał się na chwilę, patrząc na kształt jednej chmury. Przypominała profil starego mędrca, z długą brodą i cygarem w ustach.

- Zarówno tobie, jak i Jenny - podjął Marco - mogło się przydarzyć coś podobnego, w przeszłości. Ale również coś dokładnie przeciwnego... we wszechświecie równoległym. W wymiarze, w którym istniejesz i ty, i ona, ale jej życie poszło w innym kierunku, podobnie jak twoje.

- Marco, nie mam pojęcia, jak coś takiego mogło ci przyjść do głowy! I nie wiem, jak tak absurdalna teoria może mi pomóc w tej chwili. Rozmawiam z Jenny w mojej przeklętej głowie, i to jest problem! Powodem jest to, że jestem obłąkany.

- Alex, posłuchaj mnie! Dwa dni temu wyruszyłeś w podróż, która miała cię do niej zaprowadzić. To ona podała ci wskazówki, miejsce spotkania. Ona dzisiaj rano była na moło, tak jak byłeś i ty. Stałeś naprzeciw tej latarni. Ona stała naprzeciw tej samej latarni. Ale w wymiarze równoległym.

- W wymiarze równoległym... daj spokój, Marco, rozumiem. Naprawdę piękna historia, ale tym razem dałeś się za bardzo ponieść fantazji. - Ton Alexa był sarkastyczny i równocześnie zrezygnowany.

- Nic nie wymyślam, przyjacielu! - Marco krzyczał coraz bardziej poirytowany. - Istnieje cała dokumentacja naukowa, jest mnóstwo książek i badań na ten temat. Śledzę to wszystko od lat, od dnia wypadku, kiedy po raz pierwszy zadałem sobie to pytanie.

- O jakim pytaniu mówisz?

Marco zamilkł na kilka sekund, zanim udzielił odpowiedzi. Do jego głowy cisnęły się tysiące danych szukających uporządkowania.

- Czy istnieje świat, w którym tamtego dnia zostaliśmy w domu, a ja dzisiaj mogę chodzić jak normalna osoba? Świat, w którym żyją moi rodzice?

- Odpowiedziałeś sobie na to?

- Tak, odpowiedziałem sobie.

Głos Marco drżał. Emocje były zbyt silne. Do tej pory nikomu nie wyjawiał tej myśli. Nikomu, nawet Alexowi, nie opowiedział, że to właśnie wypadek po raz pierwszy popchnął go do prowadzenia tego rodzaju badań.

- Alex, to jest Wieloświat.

Po krótkiej i absurdalnej rozmowie prowadzonej w myśli z Alexem Jenny wróciła do domu. Zwlekła jeszcze dziesięć minut, potem zdała sobie sprawę, że dalsze oczekiwanie byłoby daremne.

Kiedy weszła do domu, willa Graverów była pogrążona w ciszy. Zdjęła zakiet, prawą ręką dotknęła ściany i obok wejściowych drzwi znalazła wyłącznik. Lampy w holu oświetliły dwa obrazy impresjonistów, pojemnik na parasole z kutego żelaza, antyczny mebel, dywan, po którym stąpała, przedstawiający dwa przytulone owczarki szkockie, dalej schody prowadzące na górę.

- Dlaczego? - Pytała siebie, wchodząc do pokoju. Kiedy znalazła się w środku, zatrzasnęła za sobą drzwi i zdjęła kozaki. Usiadła na brzegu łóżka.

Po policzkach spływały jej łzy. Jenny wtuliła twarz w poduszkę, a następnie rzuciła nią gwałtownie o szafę.

- Nie ma nic! Jestem głupia! Nic, poza moją głupotą!

Krzyczała i patrzyła na swoje szkolne książki rozłożone na biurku. W następnych dniach miała wiele zapowiedzianych sprawdzianów, ale oczekiwanie na przyjazd Alexa spowodowało, że zlekceważyła całą resztę. Miała więc teraz zaległości, była przekonana, że straciła zbyt dużo czasu na wariactwa i że wróci nieprzygotowana do szkoły.

„Nie chcę już więcej słyszeć tego głosu”.

Jenny wstała nagle, chwyciła swój pamiętnik i wyszła z pokoju. Kilka zdecydowanych kroków i już była na schodach. Kiedy zeszła na dół, wtargnęła do kuchni i ze złością wrzuciła pamiętnik do pojemnika do segregacji śmieci.

- Dostyc! - krzyknęła. Jej oczy były czerwone i spuchnięte od łez.

W szkole w ostatnich dniach była zbyt roztargniona. Profesorka matematyki przywołała ją do porządku dzień przed tym, jak podczas objaśnień przyłapała ją z zagubionym wzrokiem za oknem. Dostała także C za odpowiedź z historii - ona, która miała zawsze A.

„Lepiej będzie zagłębić się w nauce - pomyślała, zanim usiadła przy biurku. - W ten sposób mogę uniknąć myślenia, że jestem chora umysłowo. Słyszę głosy i wierzę, że istnieją naprawdę”.

Zanim otworzyła książkę do matematyki, rzuciła ostatnie spojrzenie za okno, do góry, w stronę nieba.

- Jak mogłam myśleć, że to może być realne... - powiedziała donośnym głosem. Płynące po niebie chmury zagęszczały się i stawały coraz groźniejsze.

Nie mogła wiedzieć, że za oknem wychodzącym na ulicę, świeże powietrze Melbourne było tym samym, którym oddychał Alex.

Wieloświat. Kiedy Marco wymówił to słowo, Alex odłożył telefon, pchnięty jakimś spontanicznym odruchem. Jego ręce drżały, płatanina informacji z trudem układała się w jego głowie. Jediną rzeczą pewną było to, że przemierzył pół planety, żeby stawić się na spotkanie.

Szedł wzdłuż Esplanady, podczas gdy wiatr nasilał się i kołysał gałęziami drzew rosnących wzdłuż wybrzeża. Z rękami w kieszeni poruszał się szybkim krokiem, bez celu. Przeszedł

całą tę drogę, aby udowodnić sobie istnienie Jenny, a teraz ma zaakceptować fakt, że dziewczyna żyje w wymiarze równoległym.

- Dajmy spokój - krzyknął głośno, zanim się zatrzymał i złapał oddech. Jakiś przechodzień przyglądał mu się z zaciekawieniem. W tym momencie jego twarz była odbiciem wewnętrznego zamętu.

Potem w jednej chwili oczy gwałtownie zaszyły mu mgłą.

- *Moja mama denerwuje się, jak mówię jej o nas...*

- *Dlaczego?*

- *Nie wiem, aleja cię kocham.*

- *Ja też.*

- *Nie mogę się doczekać, kiedy będę dorosły.*

- *Zabierzesz mnie ze sobą?*

- *Oczywiście, Jenny*

Alex otworzył szeroko oczy i znalazł się naprzeciw zdziwionego starca, którego droga krzyżowała się z jego marszem. Coś pamiętał. Z jakich to zakamarków wyciągnął wymianę tych kwestii? Zarówno on, jak i Jenny byli dziećmi. To było niejasne wspomnienie głosów z dzieciństwa czy może tylko fantazja? Ale byli razem.

Alex wyjął komórkę z kieszeni i nacisnął zielony klawisz, aby ponownie wybrać numer Marco.

- Powiedz mi, co to jest? - oznajmił tonem zdecydowanym.

- Więc wierzysz mi - Marco zaśmiał się usatysfakcjonowany.

- Nie powiedziałem, że ci wierzę.

- Nazywają ją „Teorią Wieloświatów” - oznajmił Marco. - Jest to ogół wszechświatów alternatywnych poza naszą czasoprzestrzeń.

Alex zawahał się przez chwilę, zanim dał odpowiedź.

- Nie oczekujesz chyba, że połknę całą tę hipotezę?

- Połkniesz ją, połkniesz... ale małymi łykami.

- Pomóż mi zrozumieć... byłem tam, ona tam była, rozmawialiśmy w myślach, ale znajdowaliśmy się w dwóch różnych światach?

- Mniej więcej... Jeśli wolisz, w dwóch różnych rzeczywistościach tego samego świata.

- A jak sądzisz, ile ich istnieje? Ile byłoby moli i latarni w Melbourne?

- Z tego, co wiem, wymiary mogą być nieskończone. Ale obracamy się w polu hipotez.

- Obracamy się w polu *twoich* hipotez, Marco. Ta historia jest szaleństwem. Myślałem, że to ja zwariowałem, ale teraz widzę, że to ty jesteś obłąkany.

- Bardziej czy mniej obłąkany niż ty, który jeździsz po świecie i szukasz urojonych dziewczyn?

- Okej - przyznał Alex, próbując stłumić wzburzenie. - Wstrząśnięty i pogrążony. Idź dalej.

- Ty i Jenny rozmawiacie w dwóch wymiarach równoległych.

Alex przejechał ręką po włosach, przesuając do tyłu jasny kosmyk. Zza drzewa wyszedł pies i podbiegł do niego, nie szczekając. Potem podniósł łeb, przechylił go na jedną stronę i popatrzył na niego czułym wzrokiem, jakby prosił o pogłaskanie. Kilka metrów dalej Alex zobaczył wysokiego, prawie dwumetrowego szaleńca gimnastykującego się w stroju do joggingu. Facet ciągnął na smyczy jakby znudzonego szczeniaka.

- Marco, czy zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz. A ja? Kim ja jestem w wymiarze Jenny? Albo jeszcze lepiej, istnieję?

- Powinieneś istnieć, tak, nawet jeśli nie możemy tego brać za pewnik.

- Więc w *moim* wymiarze ona istnieje! Ona albo inna jej wersja.

- W twoim wymiarze życie Jenny prawdopodobnie poszło w innym kierunku. I to samo tyczy się ciebie w *jej* świecie równoległym. Ona oczekiwała cię na tym moło, ale w jej rzeczywistości, ty prawdopodobnie jesteś w Mediolanie i nie masz pojęcia, kim jest Jenny. Jednakże zarówno w twoim wymiarze, jak i w jej, wiele rzeczy pozostało niezmienionych. Z całą pewnością burmistrz Sidney jest ten sam, tak jak krajobraz z moło w Altonie nie został zmieniony przez człowieka. Dlatego wydawało ci się, że informacje były zbieżne i zaufałeś jej.

Alex rozejrzał się wokół. Moło, plaża, ocean. Czy było naprawdę możliwe, że gdzieś istnieje świat z moło, plażą, oceanem podobnymi do tych, które miał przed oczami? Może tylko z jedną małą różnicą - w tym świecie była Jenny, z którą rozmawiał.

Alex wziął głęboki oddech, wypełnił płuca powietrzem. W tej sytuacji to on musiał podjąć decyzję, co zrobić - uwierzyć w teorię przyjaciela i kontynuować poszukiwania Jenny czy zrezygnować ze wszystkiego i wrócić do Mediolanu, do swojego spokojnego życia ucznia.

Nie miał wątpliwości.

Nadal wierzył w istnienie Jenny i zrobiłby wszystko, żeby ją odnaleźć.

Ona natomiast nie chciała już mieć z tym nic wspólnego.

13

„Powinieneś jej szukać... - Alex szedł bardzo szybkim krokiem. - Jeśli Marco ma rację i życie Jenny w wymiarze równoległym nie jest inne, prawdopodobnie w tej rzeczywistości mieszka w tym samym domu”.

Myśli kłębiły mu się w głowie i nie dawały spokoju.

Był sam, na drugim końcu świata. Nikt nie przyszedł na spotkanie, ale on nie chciał przestać wierzyć. Jenny stanowiła już część jego przeszłości, była obecna w jego dzieciństwie.

„O ile to wspomnienie też nie było halucynacją” - pomyślał i zawiązał sobie but, wspierając go o mur oddzielający chodnik od plaży.

Nie, nie mogło tak być. Jenny musiała istnieć, będzie jej szukać w całym mieście i z jeszcze większą determinacją. O miejscu do spania pomyśli później.

W miarę jak biegł po Esplanadzie, zaczął zatrzymywać ludzi na ulicy, pytając o rodzinę Graverów. Nic lepszego nie przychodziło mu do głowy, a w głębi duszy wierzył, że jeśli będzie ciągle pytał wszystkich przechodniów, aż do wieczora, to z racji prostych obliczeń statystycznych powinien się czegoś dowiedzieć.

Na początku zaczęził wędrownego sprzedawcę hot dogów. Nie otrzymał żadnej informacji o Jenny, ale musiał coś kupić, aby wydobyć od Azjaty jakąś przydatną albo przynajmniej zrozumiałą odpowiedź.

- Bardzo dziękuję... - powiedział do siebie, oddalając się od budki z połówką hot doga w ręce.

Kilka minut później zatrzymał panią spacerującą z niedużym jamnikiem na smyczy.

Spróbował zadać pytania, ale silny miejscowy akcent kobiety powodował, że nie rozumiał jej słów. Po kilku niezdarnych próbach porozumienia się na migi zrezygnował i podążył dalej wzdłuż Esplanady.

Trzy dziewczyny, mniej więcej w jego wieku, trochę z niego zakpiły w im wiadomym tylko slangu. Mężczyzna w marynarce i pod krawatem pozbył się go bardzo szybko. Trzydziestoletnia para przez moment zdawała się rozumieć, o kim Alex mówi, by potem odkryć, że pomylili Graver z Braver. W końcu wytropiła go kobieta roznosząca ulotki z Kościoła Jezusa. Nic nie wiedziała o rodzinie Jenny, a w zamian za to rozwodziła się na temat rozpowszechniania słowa Chrystusa i zaprosiła Alexa na spotkanie w jej parafii.

Około piątej po południu usiadł na ławce wyczerpany.

-Jenny... gdzie jesteś?

Zaraz po wypowiedzeniu tego pytania poczuł dreszcz, który zamknął mu oczy i przeniósł go na głębszy poziom umysłu. Myśli kołysały się w ciszy, uwolnione od otaczającej go rzeczywistości.

-Słyszysz mnie? - pomyślał Alex. Tym razem jego słowa odbiły się echem w próżni.

Cisza.

-Jenny, gdzie jesteś? Jesteś w stanie mnie usłyszeć?

Cisza totalna.

Nagle - krzyk.

Alex przestraszony otworzył szeroko oczy. To była ona. Siedziała za biurkiem z głową wspartą na ręce, z rozłożonymi książkami i z markerem zaciśniętym w zębach, Jenny słyszała głośno i wyraźnie myśl Alexa, ale ją odrzuciła.

Skoncentrowała się na tym, żeby spróbować o niczym nie myśleć. Było to bardzo trudne. Po kilku chwilach pustki nie wytrzymała. Krzyknęła „dość” a potem pobiegła do łazienki, szybko się rozebrała i wskoczyła pod gorący strumień prysznica, próbując skupić się tylko na szumie wody, która lała jej się na głowę.

Alex podskoczył z przerażenia. Krzyk odbijał się w jego czaszce echem jeszcze przez kilka chwil, potem nagle ustał. Po czym most telepatyczny zniknął.

- Ki diabeł... - rzucił, rozglądając się wokół. - Co się dzieje? Dlaczego?

Alex z trudem podniósł się z ławki. Bolały go nogi, a wysiłek włożony w kontaktowanie się z Jenny osłabił go. Udał się do centrum miasta, kierując się ku jednej z przecznic, które dochodziły do samego serca dzielnicy Altona. Za sobą pozostawił ocean.

„Dla ciebie, Jenny, przejechałem całą planetę... znajdę cię”.

- Ten byłby dobry - stwierdził Alex, patrząc na szyld hotelu, który świecił w głębi ulicy. Na szyldzie widać było napis ST. JAMES i trzy gwiazdki. Zbliżył się do automatycznych drzwi i wszedł do holu. Przed nim jakaś niemiecka para próbowała porozumieć się z kolorowym człowiekiem, który stał za kontuarem recepcji. Wydawali się zmieszani. W dali, po prawej stronie dostrzegł telewizor, więc tam podszedł. W półkolu, naprzeciw plazmowego Samsunga, było trochę wolnego miejsca na kanapach. Usiadł, uwalniając się wreszcie od ciężaru plecaka. Właśnie nadawano dziennik telewizyjny.

„Wszyscy w dużym niebezpieczeństwie... Zwłaszcza ty”.

Nagle do jego głowy powróciły słowa malezyjskiego wróżbity i poczuł się tak, jakby był

obok niego, z tajemniczym uśmiechem i kartami w dłoniach.

Alex nagle odwrócił głowę, aby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Obawiał się, że ten człowiek mógł stać za nim, że mógł go śledzić jak milczący cień. Popatrzył na swoją prawą rękę. Drżała.

Kiedy się odwrócił, niemiecka para dopiero co odeszła od recepcji i kierowała się ku wyjściu. Teraz była jego kolej.

- Spokojnie, Alex, spokojnie - powtarzał sobie po cichu, zanim przedstawił się przy kontuarze i zapytał, czy mają wolną jedynekę. Może z powodu młodego wieku, a może dlatego, że był obcokrajowcem, kolorowy człowiek popatrzył na niego nieufnie. Poprosił go o dokumenty i o kartę kredytową. Po potwierdzeniu danych wręczył mu kartę magnetyczną i wskazał windy.

Jenny zamknęła książkę kwadrans po siódmej.

Rodzice wrócili niedawno. Klara nakrywała do stołu, a Roger był w łazience. Dziewczyna wyszła ze swojego pokoju, jeszcze otumaniona godzinami spędzonymi nad logarytmami i zeszła piętro niżej. Zatrzymała się tylko na chwilę naprzeciw obrazka zawieszonoego na ścianie w połowie schodów. Była to fotografia jej dziadków. Obejmowali się i śmiali z całego serca. On trzymał rękę na jej ręce. To była piękna fotografia, uwielbiała ją. Zwykle wołała zwierzać się im przed tym obrazkiem anizeli na cmentarzu w St. Kilda.

- Skarbie, pomożesz mi? Prawie wszystko gotowe - krzyknęła Klara z kuchni.

- Przyjdę za dziesięć minut - odpowiedziała Jenny, weszła do salonu i położyła się na kanapie. Czowała się bardzo zmęczona i dałaby wszystko, żeby móc zjeść w salonie, siedząc wygodnie z talerzem na kolanach.

- Za dziesięć minut zrobię już wszystko sama. Nie możesz przyjść teraz?

- Okej, okej... przyjdę.

Jenny wyciągnęła ramiona, żeby nabrać rozpędu przy wstawaniu z kanapy, ale poczuła, że są ciężkie i obolałe. Potrzebowała snu, choćby pięciu minut. Powieki były ciężkie jak kamień. W jednej chwili zapadła ciemność. Kiedy ponownie otworzyła oczy, nie umiała powiedzieć czy lub jak długo spała.

Podniosła się szybko, gotowa na wysłuchanie reprimendy ze strony matki. Odwróciła głowę w stronę kuchni i zobaczyła, że jest pusta. Czy to możliwe, że pozwoliła jej spać, nie wołając na kolację?

Powoli udała się do kuchni, ale jej uwagę przyciągnął obraz zawieszony na ścianie obok kanapy. Przedstawiał mężczyznę w marynarce i pod krawatem, siedzącego w fotelu z czarnej skóry. Miał pewny wyraz twarzy, przenikliwe spojrzenie, włosy starannie uczesane. Matka musiała go niedawno kupić. Za nic w świecie nie mogła skojarzyć, co tu robił.

- A to co? - zapytała głośno samą siebie. - Mamo, gdzie jesteś?

Hałas dochodzący od drzwi wejściowych wytrącił ją z zamyślenia.

W tym momencie drzwi otworzyły się i matka weszła do domu.

- Wreszcie jestem - powiedziała Klara, kładąc na podłodze trzy grube siatki z zakupami.

- Ma... mama? - Jenny utkwiała na niej wzrok. Kobieta była uczesana inaczej. - Jak długo spałam?

- Nie wiedziałam, spałaś? Przyszłam dopiero teraz. Wszystko w porządku?

- Ale kolacja... wołałaś... - bąkała niewyraźnie, zmieszana Jenny. - Kiedy to powiesiliście?

Jest straszny. - Jenny ruchem głowy wskazała na obraz.

- Portret Connora? Jak cię usłyszy... Co to za pytania? Umieściliśmy go tutaj w zeszłe Boże Narodzenie. Pomagałaś mi nawet. O Boże, czy ty przypadkiem coś piłaś?

Jenny popatrzyła wokół, nie odpowiedziała, gdyż inne szczegóły zwróciły jej uwagę. Lampa wysoka na dwa metry, biały mebel, który zajmował całą ścianę naprzeciw drzwi wejściowych, a następnie kanapa perska i czarny biurowy telefaks, który stał na miejscu jej ukochanego fioletowego telefonu bezprzewodowego. W czasie, w którym spała na kanapie, każda rzecz uległa zmianie. „To bez sensu”

- Gdzie jest tata?

Klara położyła torebkę na kanapie i podeszła do córki. Pogłaskała ją po twarzy, następnie położyła jej ręce na ramionach.

- Skarbie, co ci jest?

- Nic mi nie jest - odpowiedziała Jenny, czuła się coraz bardziej nieswojo. - Gdzie jest tata?

Klara podniosła rękę do ust, jakby chciała ukryć nagłe wzruszenie.

- Wiesz, mój skarbie, że taty już nie ma.

- Jak to?

- Och, Jenny, dlaczego mi to robisz? Dla mnie to też jest trudne, wiesz o tym. Ale musimy się z tym pogodzić. Czasami wydaje się, że to niemożliwe, że się zdarzyło. Ja też od czasu do czasu wszędzie go widzę.

Jenny znieruchomiała na kilka sekund ze ściśniętym gardłem, zablokowana uściskiem mamy. Potem nagle szarpnęła się, odwróciła do Klary plecami i wbiegła na schody. Pokonywała je po dwa, chcąc jak najszybciej znaleźć się w swoim pokoju.

Weszła i zatrzasnęła za sobą drzwi. Zanim rzuciła się na łóżko owładnięta rozpaczą, zobaczyła fotografię Rogera. Stał na najwyższym stopniu podium, po zwycięstwie w zawodach pływackich. Poniżej na czerwono było napisane: *Tato, brakuje mi cię każdego dnia. Jenny.*

Kiedy dziewczyna ponownie otworzyła oczy, była znowu na kanapie.

- Przyjdiesz w końcu do stołu czy nie? - krzyczała Klara z kuchni.

Jenny zerwała się na nogi, oddychając nerwowo. Rozejrzała się wokół. „Mój fioletowy telefon bezprzewodowy...” Obrazy, które przed chwilą śniła, pojawiały się ponownie w jej umyśle jak fotografie porzucane bezładnie na stole.

Jenny wstała i poszukała portretu tajemniczego mężczyzny w marynarce i pod krawatem. Nie było go tam. Na jego miejscu, jak zawsze, był umieszczony plakat filmowy z *Pięknego umysłu*, jednego z ulubionych filmów rodziny Graverów. Poszła więc do kuchni.

- Tato! - krzyknęła Jenny, kiedy zobaczyła Rogera siedzącego na honorowym miejscu przy stole. Podbiegła i objęła go, składając pocałunek na jego policzku.

- O, co się stało? Potrzebujesz pieniędzy? - zażartował ojciec.

- Miałam koszmar - odpowiedziała, opuszczając wzrok i zamyślając się. - Byłeś...

- Kim byłem, Jenny? - zapytał. Wydawał się rozbawiony zachowaniem córki.

- Nic, nic. To był tylko sen.

„A przecież był tak rzeczywisty...”

Alex wyszedł spod prysznic, rozłożył się na łóżku i włączył telewizor. Po raz pierwszy sam wynajął pokój w hotelu i wydawało mu się, że jest panem świata.

Wysuszył się i ubrał w kilka minut, zdecydowany wyjść jak najszybciej, żeby znaleźć miejsce, gdzie można coś szybko przegryźć. Opuścił pokój około ósmej, zszedł na parter i poszukał sali restauracyjnej. Kiedy ją znalazł, zobaczył, że oprócz długiego korytarza wypełnionego obrazami wielkich jazzmanów przeszłości była prawie pusta. Tylko kelner podawał dymiące danie jakiemuś starszemu panu, który siedział przy stoliku w głębi sali.

Alex zajął miejsce i zaczął przeglądać menu. Czekając na kelnera patrzył jak starszy pan popija bulion okropnie przy tym mlaskając.

„Spróbować można, nic mnie to nie kosztuje” - powiedział do siebie Alex, po czym wstał i podszedł do jego stolika.

- I'm sorry, sir - zaczął zakłopotany. - Do you know a family...

- Alex pospieszenie szukał właściwych słów - o nazwisku Graver?

- Starszy pan podniósł wzrok i zmarszczył czoło. Przez moment Alex poczuł się skonsternowany, ale za chwilę mężczyzna odezwał się elegancką, czystą angielszczyzną, wymawiając starannie słowa.

Powiedział mu, że niewiele wie o rodzinie, ale na pewno pamięta wspaniałego Rogera Gravera, mistrza szachów w turnieju miejskim przez trzy lata z rzędu. Uczęszczał do klubu, którego on był członkiem. Z tego, co pamiętał, mieszkali na Blyth Street, pod numerem 21 lub 23 lub coś koło tego. Pamiętał go dobrze, gdyż wiele razy wysyłał do jego domu zaproszenia na różne turnieje krajowe. I przypomniał sobie coś jeszcze - Graverowie mieli małą dziewczynkę.

- Dziękuję! - wykrzyknął Alex rozpromieniony, zapominając, że powinien powiedzieć to po angielsku. Następnie uklonił się i nieporadnie pożegnał mężczyznę, który podarował mu cenne informacje. Przepytał bezowocnie pół dzielnicy, tracąc całe popołudnie, a wystarczyło wejść do tego hotelu, żeby znaleźć właściwą osobę.

Nie miał już najmniejszych wątpliwości. Następnego dnia będzie rozmawiał z Jenny.

14

Tej nocy Alex nie miał żadnych snów. A jeśli je miał, to jego mózg był zbyt zmęczony, żeby je zapamiętać po przebudzeniu.

Następnego dnia o dziesiątej rano wrócił na ulicę, którą przyszedł dzień wcześniej i trochę się powąłęsał, przechodząc od Pier do Blyth Street. Wziął z hotelu mapę - ulica znajdowała się bardzo blisko Esplanady.

Przy numerze 23 serce zaczęło mu bić w piersiach coraz mocniej. Wyciągając głowę, spróbował zajrzeć za bramę, gdy usłyszał dzwonek roweru dochodzący z tyłu willi. Nie zdążył zadzwonić. Nagle pojawiła się dziewczyna o długich i rudawych włosach i zatrzymała naprzeciw wejścia. Dzielili ich tylko alejka za bramą.

- Jest w moim wieku... Boże... to ona - szepnął Alex, kiedy nieśmiało podnosił rękę, żeby go zauważyła.

Dziewczyna odwróciła się i zmarszczyła czoło na jego widok.

Alex odwrócił się gwałtownie w stronę ulicy. Czuł się zakłopotany. Przez kilka sekund stał z zamkniętymi oczami, tyłem do bramy.

„Co mi jest? Przejechałem cały świat dla tej chwili...” Znów rzucił niepewne spojrzenie na bramę. Dziewczyna zsiadała z roweru.

- Jen... - zaczął Alex, ale sylaby utknęły mu w gardle. Wydał z siebie zachrypnięty dźwięk przypominający atak kaszlu.

Dziewczyna odwróciła się jeszcze raz, wyjęła z kieszeni dzinsów kluczyk i włożyła go do kłódki wiszącej na łańcuchu. Jej spojrzenie było lękliwe, jak u kogoś, kto czuje się bezbronny, obserwowany i zagrożony.

„Cholera, zachowuję się jak maniak!” - przyszło mu na myśl.

Alex odwrócił wzrok.

Kątem oka zobaczył, że dziewczyna cofa się i opiera rower o mur.

-Mom? - zawołała nieśmiało, zwrócona w stronę okienka w korytarzu.

Nagle drzwi willi otworzyły się i pojawiła się w nich kobieta w żółtym fartuchu.

-Susan, you are finally here! - krzyknęła. Dziewczyna rzuciła w stronę Alexa ostatnie, nieufne spojrzenie i weszła szybkim krokiem do mieszkania.

Alex, zawiedziony, podszedł do skrzynki pocztowej.

-Weller - przeczytał cicho. Znowu rozczarowanie.

Staruszek w restauracji podał mu właściwą ulicę, ale nie pamiętał dokładnie numeru. Tym razem Alex skierował się w stronę willi o numerze 21. Znajdowała się w tym samym rzędzie, jak zazwyczaj widzi się w amerykańskich dzielnicach willowych, pokazywanych w filmach.

- Thompson - przeczytał głośno, kiedy znalazł się przed skrzynką pocztową. - Dom należy do rodziny Thompsonów. Psiakrew... to też nie ta!

Alex pomyślał przez chwilę, potem uznał, że może warto zasięgnąć informacji u tych Thompsonów. Staruszkowi nie mogło się wszystko przyśnić i jeśli był tu ktoś, kto wiedział cokolwiek o Graverach, to na pewno mieszkał na tej samej ulicy, co oni kiedyś.

Brama była otwarta. Alex postawił kilka niepewnych kroków. Alejkę przecinał mały trawnik, prawie taki sam jak przy willi obok. W końcu podszedł do białych drewnianych drzwi. Wszedł po dwóch schodkach wejściowych i nacisnął dzwonek.

„Rodzina Graverów mogła się przeprowadzić - pomyślał - to było prawdopodobne”. Kiedy w jego myślach echem odbijały się słowa Marco o nieskończonych możliwościach, Alex potrząsnął głową i skupił się na tym, co powiedział mu bardziej pragmatyczny staruszek - na ulicy i numerze domu.

Drzwi otworzyły się i wyjrzała zza nich niska i raczej tęga kobieta, mniej więcej pięćdziesięcioletnia, o rudych, kręconych włosach.

- Who are you, little boy?

- Fm sorry, madam - odpowiedział drżącym ze zdenerwowania głosem. - I guess this is the wrong address.

Alex udał, że właśnie zorientował się, iż pomylił adres. Próbował porozumieć się po angielsku, ale akcent zdradzał wyraźnie jego włoskie korzenie. Kobieta zapytała go, kogo szuka, lecz Alex ominął przeszkodę i wymyślił tłumaczenie.

Przedstawił się jako stary kolega ze szkoły dziewczyny, która nazywała się Jenny Graver. Przechował ten adres i miał nadzieję ją tutaj znaleźć. Przeprowadził się do Włoch, gdy miał osiem lat i od tamtego czasu jej nie widział. To była najprostsza historyjka, jaka przyszła mu do głowy. Oby okazała się przydatna, by wydobyć jakieś informacje.

Kobieta o rudych włosach przerwała mu, a następnie obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem.

- Ja też mówię po włosku - powiedziała z silnym akcentem anglosaskim, wbijając w chłopca dwoje badawczych oczu. – Może wejdiesz na chwilę?

Zaproszenie kobiety onieśmieliło go. Cała pewność siebie, ta sama która doprowadziła go aż tutaj, w jednej chwili uleciała..

- Nie chciałbym przeszkadzać, ja... - powiedział, robiąc krok w tył.

Kobieta przygwoździła go zdecydowanym spojrzeniem.

- Ja natomiast myślę, że będzie lepiej, jak wejdiesz.

Wypowiedziane przez panią Thompson zdanie wydawało się wszystkim, ale nie zaproszeniem. To był rozkaz.

Alex przyjął go niepewnie. Nie był przekonany, czy postępuje słusznie. Kobieta odwróciła się do niego plecami i weszła do domu, biorąc za pewnik to, że on pójdzie za nią.

- Nazywam się Mary Thompson, rozgość się w salonie - powiedziała, zanim Alex przekroczył próg.

Ściany obszernego holu wejściowego były całkowicie pokryte obrazami oprawionymi w grube złote ramy. Zatrzymał wzrok na płótnie, które przedstawiało Ziemię widzianą z Księżyca. Powierzchnia Księżyca wydawała się szeroką, poprzecinaną drogą wychodzącą w próżnię, a w oddali widoczny był zarys Ziemi -ogromnej i okazałej, w trzech czwartych oświetlonej przez Słońce.

- Usiądź, chłopcze - kontynuowała kobieta. Alex przeszedł do salonu, ale zatrzymał się w drzwiach. - Jak masz na imię?

- Alex. Aleksander.

- Kiedy mieszkałeś... tu w Australii? Ton pytania miał charakter śledczy.

- Do ukończenia ósmego roku życia mieszkałem tutaj.

- Przygotuję filiżankę herbaty. Lubisz herbatę?

- Tak. Dziękuję, proszę sobie nie robić kłopotu...

- Żaden kłopot, *little boy*. Od lat chciałam wrócić do mojego włoskiego... *miałam just...* właśnie wrzuciłam woreczek do czajniczka, kiedy zadzwoniłeś do drzwi. Przyszedłeś w samą porę.

- Co za zbieg okoliczności... - powiedział Alex, udając przyjazny ton, mimo że czuł się nieswojo w towarzystwie kobiety, której serdeczne uśmiechy zmieniały się w inkwizytorskie spojrzenia. Przypominała mu profesorkę łaciny podczas egzaminu.

- Zbiegi okoliczności nie istnieją! Istnieją liczby, znaki - powiedziała pani Thompson stanowczym tonem. Alex popatrzył na nią pytającym wzrokiem, a ona odpowiedziała z uśmiechem.

-Jestem astrolożką - dodała. - Niebo jest otwartą księgą przed moimi oczami. Noce spędzam na dachu i patrzę... mam bardzo mocny teleskop, wiesz?

Alex przytaknął zakłopotany. Nie wiedział, co powiedzieć.

-Ale, wróćmy do nas - ton głosu kobiety nagle się zmienił, a spojrzenie stało się poważne.

-Pamiętasz, jak wyglądała twoja przyjaciółka Jenny?

„No właśnie. Jestem skończony”.

- Minęło wiele lat, pamiętam kilka szczegółów. Była dziewczynką bardzo bystrą, sympatyczną... Chciałbym ją znowu spotkać, jako że jestem tu, w Australii, na wakacjach z

rodzicami i zachowałem jej adres z tamtych lat... Z całą pewnością zmieniła dom.

- To prawda, była bystrą dziewczynką. I bardzo sympatyczną.
- Znała ją pani?
- Oczywiście.

Alex nagle zeszywniał. Spojrzenie zaczęło krążyć po pokoju, jakby szukało drogi wyjścia. Kobieta przyglądała mu się chłodno.

- Rozumiem... - wymamrotał.

Mary wytarła sobie usta płócienną haftowaną chusteczką, oczy miała ciągle utkwione w gościu.

- Byłam jej nianią.
- „Pięknie. Teraz naprawdę jestem w kłopotcie”.

- Naprawdę? A więc, może mi pani powie...
- Przestań - przerwała mu oschle Mary Thompson. - Stop! Powiedz mi, dlaczego tu jesteś?

Alex miał nóż na gardle. Było jasne, że jego bajeczka nie chwyciła. Może lepiej byłoby powiedzieć prawdę.

- Ja, proszę pani, jestem tu, aby przywitać się z Jenny... myślałem, że...

- Dam ci ostatnią szansę, żebyś przestał ze mną grać, chłopcze. Chcesz się ulotnić czy wolisz kontynuować ten show?

Alex przez chwilę miał zamiar opowiedzieć jej wszystko. Potem zrozumiał, że to nie był dobry pomysł.

- Przepraszam panią, pani Thompson. Nie chciałem pani zdenerwować, niestety mam mgliste wspomnienia z czasów, kiedy mieliśmy siedem... osiem lat. Może się mylę i...

- Jennifer Graver zmarła, gdy miała sześć lat - powiedziała kobieta. Jej słowa odbiły się jak echo w głowie Alexa. Jenny nie żyła? Jak mogła nie żyć?

Pani Thompson zauważyła zmieszanie chłopca i zinterpretowała je jako potwierdzenie swoich podejrzeń.

- Byłam jej nianią od dnia narodzin. Graverowie wybrali mnie, bo znałam włoski.

Jej oczy zrobiły się czerwone. Kobieta wyciągnęła chusteczkę z kieszeni bluzki i wytarła łzę, która spłynęła jej po policzku.

- Rodzina mieszkała tu jeszcze przez rok - ciągnęła wzruszonym głosem - aż w końcu zostawili dom mnie, a sami przenieśli się do Brisbane. Jenny była bystrym dzieckiem. Bystrym i sympatycznym. Zawsze uśmiechnięta. Pewnego dnia zmarła na moich oczach. Sekundę wcześniej pomagała mi przygotowywać biszkopty, chwilę potem leżała na ziemi z otwartymi oczami. Teraz powiedz mi, jak możesz mieć ten adres, kim jesteś, i przestań mówić, że jak mieliście osiem lat, to chodziliście razem do szkoły. Ona nigdy nie dożyła ośmiu lat.

Alex słuchał słów kobiety sparaliżowany.

Jenny nie żyła. A więc istniała - albo lepiej - była istnieniem. Z kim on w takim razie rozmawiał? Ten głos nie mógł należeć do ducha. Po raz enty, od kiedy zdecydował się wyruszyć w podróż, Alex myślał, że zupełnie zwariował.

Mary wzięła filiżankę i powoli dopiła herbatę, stopniowo odzyskując spokój. Chłopiec nic nie mówił, opuścił głowę i schował twarz w dłoniach.

- Teraz musisz powiedzieć wszystko. Prawdę, this time.
- Ja...

- Jak do cholery dotarłeś do mojego domu?

- Dzięki Jenny - odpowiedział Alex. Słowa same wyszły mu z ust. Jeśli Jenny nie żyła, nic już nie miało sensu i wszystko stało się zbyt absurdalne. - Nigdy jej nie widziałem. Nigdy nie byłem jej przyjacielem. Mieszkałem zawsze w Mediolanie. W Australii jestem pierwszy raz. Nie jestem na wakacjach z rodzicami. Przyjechałem tu sam. Leciałem trzema samolotami, z międzylądowaniem w Paryżu i w Kuala Lumpur. Pojawiłem się w Melbourne, bezpośrednio na molo w Altonie. Wszystko po to, żeby spotkać się z Jenny. Mieliśmy umówione spotkanie...

- To, co mówisz, jest bez sensu! - krzyknęła kobieta. Teraz była naprawdę wściekła.

- Wiem.

- A więc spróbuj mi powiedzieć coś, co ma sens! Od kiedy otworzyłam drzwi, kpisz sobie ze mnie! Nie toleruję żartów, które dotyczą mojego dziecka. Była najukochańszą istotą, jaką miałam na świecie. Graverowie byli moją rodziną, a ja jej częścią. Wszystko się skończyło, kiedy Jenny umarła. Oni wyjechali, a ja mieszkam tu do dzisiaj. Możesz mi wyjaśnić, jak to jest możliwe, że przyjeżdżasz teraz i opowiadasz, że miałeś się spotkać z Jenny na molo, w roku 2014, jeśli ona umarła w 2004?

Alex zdobył się na odwagę i głęboko westchnął. Czuł się jak zwierzę uwięzione w zbyt ciasnej klatce, w której nie można oddychać. Wzrokiem natknął się na okno wychodzące na ulicę i zobaczył pędzący po asfalcie rower. Odzyskując poczucie bezpieczeństwa, wbił wzrok w oczy kobiety.

- Ja z nią rozmawiam - wyznał.

Mary Thompson postawiła filiżankę, którą do tej chwili trzymała w ręce.

- Rozmawiasz... z Jenny?

- Tak.

- Kim jesteś, rodzajem medium? Obdarzonym zdolnościami parapsychicznymi? - Mary podniosła głos.

- Nie jest to dla mnie jasne! - Alex nagle wstał. - Nie wiem, kim jestem i dlaczego przydarza mi się to wszystko. Jestem wstrząśnięty i zagubiony. Nie znam odpowiedzi. Szukam jej. I dlatego zadzwoniłem do pani drzwi.

Mary popatrzyła na niego zaniepokojona. Tymczasem Alexa oczarowały fotografie stojące na konsoli w salonie. Kilka z nich przedstawiało portret młodej kobiety. Niektóre wyglądały na zrobione niedawno, inne, czarno-białe, przypominały fotografie z minionej epoki. Nie było jednak pośród nich zdjęcia sześciolatniej

dziewczynki.

- Muszę już iść - stwierdził w końcu. Brakowało mu powietrza, wydawało mu się, że jest więźniem jakiegoś koszmaru, bez możliwości obudzenia się. Podniósł z ziemi plecak i skierował się do drzwi wyjściowych.

W czasie gdy Alex wychodził z willi Mary Thompson, Jenny po przepytaniu z matematyki została odesłana na miejsce.

Całkowita porażka. Wróciła do ławki zdenerwowana i z załzawionymi oczami po tym, jak ośmieszyła się przed całą klasą. Chciała uciec, płakać. Takie zachowanie przed wszystkimi nie było w jej stylu. Średnia ocen zawalona. Nauczycielka poprosiła do tablicy kolekę, a ona zapytała, czy może wyjść do toalety.

Kiedy znalazła się na korytarzu, podeszła do okna i uderzyła pięścią w parapet. Na dziedzińcu szkolnym grupa chłopców grała w piłkę. Teoretycznie było to zabronione, ale większość uczniów szkoły Św. Katarzyny ignorowała ten przepis.

Jenny skierowała się w stronę toalet. „Całe szczęście, że nikogo tu nie ma”- pomyślała i zmoczyła twarz wodą. W lustrze odbijał się straszny obraz. Przez lata łudziła się, że za tym mostem telepatycznym ktoś jednak istniał naprawdę. Ale tak nie było i teraz za to płaciła.

Cofnęła się o kilka kroków i oparła plecami o ścianę, po czym osunęła się na ziemię, zakrywając twarz rękoma. Rozpłakała się. Nikt jej nie słyszał.

Nagle *jej* głowa zrobiła się ciężka i ogarnęło ją zmęczenie. Zamknęła załzawione oczy, ale zamiast ciemności zobaczyła kolorowy tunel i nieokreślone kształty. Krzyki i skargi przenikały tak szybko, że zupełnie nie można było ich zrozumieć czy uchwycić.

Potem zapadła cisza.

Jenny ponownie otworzyła oczy i potrząsnęła głową, jakby chciała przegnać tamte wynaturzone doznania. Jednocześnie zdawała sobie sprawę, że nie były one jej obce.

Podniosła się, wyszła z toalety i skierowała się do swojej klasy. Otworzyła drzwi sali i z opuszczonym wzrokiem przeszła do swojego miejsca.

Było jednak zajęte.

- Dziewczynko, możesz nam powiedzieć, kim jesteś? - zapytała nauczycielka, szczupła kobieta po sześćdziesiątce. Z trudem stała na nogach, podpierając się laską.

- Co się stało z profesorką od matematyki? - zapytała Jenny, pewna, że może liczyć na odpowiedź któregoś z kolegów. Rozejrzała się wokół. To nie była jej klasa.

- O Boże, przepraszam, pomyliłam sale! - krzyknęła Jenny.

Profesorka popatrzyła na nią, kiwając głową, a Jenny zaczęła się wycofywać. Kiedy ponownie znalazła się na korytarzu, odwróciła się do tabliczki wiszącej na drzwiach.

- Ale to *jest* moja sala - szepnęła i rozejrzała się wokół. Czowała, że rośnie w niej strach.

Jej szkoła. Korytarz, na którym spędziła ostatnie lata swojego życia. Jej klasa. Ale byli w niej inni uczniowie i nauczycielka, której nigdy wcześniej nie widziała.

„Gdzie ja jestem?” - pomyślała. Zbliżyła się do okna wychodzącego na dziedziniec. Nikt nie grał w piłkę. To byłoby nawet niemożliwe - na środku stała fontanna.

Alex, jak tylko znalazł się poza domem pani Thompson, wybrał z książki telefonicznej komórki numer Marco. Na niebie gęstniały czarne chmury. W dali słychać było odgłosy grzmotów. Wiatr zaczął się gwałtownie nasilać, poruszał drzewami na rondzie w głębi ulicy i przewracał skrzynki pocztowe umieszczone na zewnątrz willi.

- Hej, Alex! - wykrzyknął szczęśliwy przyjaciel. - Opowiadaj o wszystkim!

- Jenny nie żyje - zaczął. Z drugiej strony telefonu przez kilka sekund panowała cisza, przerywana szumem wiatru dmuchającego w słuchawkę.

- Chcesz powiedzieć, że...

- Znalazłem dom Jenny - wyjaśnił Alex, podnosząc głos. - Znajduje się na Blyth Street 21, niedaleko moła. Mieszka tam pewna kobieta, astrolożka, która mówi, że była nianią Jenny. Służyła

u Graverów, którzy zostawili jej dom i przeprowadzili się wiele lat temu po... śmierci dziewczynki w roku 2004.

- Wspaniale - krzyknął Marco.

Nie takiej bynajmniej reakcji oczekiwał Alex.

- Wspaniale?

- Oczywiście, Alex, nie rozumiesz? Jeśli Jenny nie żyje, to może to oznaczać tylko jedno. Że rozmawiasz albo z duchem - hipoteza, którą raczej bym wykluczył - albo ty i Jenny...

Marco przerwał, emocje były zbyt silne. Śmierć Jenny była wydarzeniem potwierdzającym to, co od lat analizował. Utkwił wzrok w książkach zgromadzonych na półkach po lewej stronie biurka. Cały szereg esejów, które znał na pamięć. Strony były zaczytane, pełne zakreśleń, notatek i zagiętych rogów podczas intensywnych lat studiów.

- Marco, powiesz mi, jak mam to rozumieć? - przywołał go Alex.

- Ty kontaktujesz się z inną Jenny... - rozpoczął przyjaciel - z Jenny z innego wymiaru Wszechświata. Z wymiaru, w którym ona najwyraźniej żyje i rozwija się.

- To absurd.

- Jeszcze się dziwisz? Alex, *twoja* Jenny istnieje i przynależy do innej rzeczywistości.

Alex poczuł, jak kropla spada na jego prawe ramię. Popatrzył na niebo i zrozumiał, że za chwilę zacznie się ulewa.

- Nie, Marco, to zbyt absurdalne. Może ja... rozmawiam ze zmarłymi.

- Nawet ta hipoteza nie wydaje mi się wiarygodna, wiesz? Biorę ją jednak pod uwagę. Ale zapewniam cię, że... - Marco przerwał na chwilę, zakaszłał i stwierdził zdecydowanie - uważam, iż z punktu widzenia naukowego jest to niemożliwe.

- Ale to, że gadam z innym wymiarem jest normalne!

Alex odwrócił wzrok w stronę willi Mary Thompson i zobaczył kobietę stojącą nieruchomo za oknem. Obserwowała go, jakby próbowała odgadnąć z kim rozmawia przez telefon.

- Marco, ja wariuję. Między nami mówiąc, nawet ta kobieta nie wydaje mi się całkiem normalna.

- Powiedz jej, żeby opowiedziała ci wszystko, co pamięta o dziewczynce. Mogłoby być jakieś wydarzenie szczególne w twojej i jej przeszłości, które uwarunkowało przyszłe zdarzenia i stało się początkiem rozwoju waszego JA równoległego.

Błyskawica przecięła niebo. Burza nadciągała coraz szybciej.

Chłopiec schował komórkę do kieszeni i rozejrzał się wokół. Na Blyth Street nie było żywej duszy; zaczął padać deszcz. Spojrzał na dom. Drzwi były otwarte, a w nich stała pani Thompson. To była ostatnia szansa uzyskania jakiejś informacji o Jenny.

Podszedł powoli. Kobieta robiła wrażenie pewnej jego powrotu.

- Czego chcesz ode mnie, chłopcze? - zapytała.

- Zobaczyć zdjęcie Jenny. Proszę panią tylko o to.

Mary westchnęła. Trudno powiedzieć, jakie myśli przebiegły przez *jej* głowę i Alex przez chwilę obawiał się, że kobieta zatrzśnie mu drzwi przed nosem. Ona natomiast odwróciła się i weszła do środka.

- Chodź za mną - powiedziała, nie odwracając się.

Alexowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać.

Mary przeszła przez salon i skierowała się w stronę antycznego, intarsjowanego, drewnianego mebla. Otworzyła jedno skrzydło drzwiczek, wyjęła kartonowe pudełko i

położyła je na niskim stolyczku, naprzeciw kanapy. Alex usiadł, a kobieta zajęła miejsce obok niego.

Z pudełka zaczęła wyjmować kartki papieru i zdjęcia.

- To Jenny w dniu swoich czwartych urodzin.

Sportretowana dziewczynka była uśmiechnięta, patrzyła prosto w obiektyw aparatu. Znajdowała się na kanapie, na której w tej chwili siedział Alex.

Miała to samo, znane mu spojrzenie.

Głębokie, wymowne oczy, w takim samym kasztanowym kolorze jak włosy, zaczesane do tyłu i przytrzymywane fioletową opaską. Wzrok miała skierowany w obiektyw, ale w tym momencie wydawał się zwrócony wprost na niego.

- To właśnie ona - powiedział szeptem, ale Mary nie darowała sobie komentarza.

- Dzisiaj miałyby szesnaście lat - powiedziała kobieta, przykrywając oczy.

- Dlaczego umarła? - zapytał, mając świadomość, że zapuszcza się w niebezpieczną rozmowę.

- Tego nikt nie wie - Mary powstrzymała nagle wzruszenie. - Nie było symptomów zatrzymania akcji serca, zupełnie nic... to stało się nagle.

- Rozumiem.

- Byłam z moją małą Jenny. Do ostatniego momentu. Tak bardzo chciałam ją przytulić... spójrz, to jeden z jej obrazków.

Alex wziął do ręki kartkę i przyjrzał się malunkowi dziewczynki.

Jego wzrok padł od razu na podpis u dołu prawej strony. Dużymi literami było napisane: JENNIFER, a pod spodem postawiono datę: 2004.

- To jeden z ostatnich, jakie narysowała - dodała Mary.

Obrazek przedstawiał upozowane konie, otoczone zielonymi pasmami trawy. W lewej górnej części kartki świeciło słońce, a dwoje oczu i uśmiech czyniły żółty obszar bardziej ludzkim i szczęśliwym.

Inne zdjęcie przedstawiało Jenny w siodle, na koniku. Wesoła dziewczynka, z zaraźliwym uśmiechem i beztrąską właściwą jej wiekowi.

- Rozmawiasz z nią? - zapytała w pewnym momencie kobieta i trudno było powiedzieć, czy w tonie jej głosu było więcej nieufności czy zaciekawienia.

- Obawiam się, że tak...

- A więc rozmawiasz ze... zmarłymi. Możesz usłyszeć to, co mówią? - dociekała Mary. Jej głos stał się zachrypnięty i niski.

- Nie, nie sądzę, żebym rozmawiał ze zmarłymi, ale... nie jestem już pewien niczego.

Alex przyglądał się rzeczom, które pani Thompson wyciągała z pudełka. Były tam różne bileciki, często adresowane przez dziewczynkę do jej „sweet Mary”.

W pewnym momencie wśród wielu obrazków małej Jenny Alex niespodziewanie trafił na szkic, na widok którego wstrzymał oddech. Przedstawiał dziewczynkę i chłopczyka trzymających się za ręce. Ten miał kosmyk blond włosów, a podpis obok jego twarzy mówił: „Mój tajemniczy przyjaciel”. Dreszcz przeszedł mu po plecach. Alex nic nie powiedział i wsunął kartkę głęboko między pozostałe.

- A to był jej wisiołek - powiedziała kobieta, wyciągając z pudełka naszyjnik. - Mówiła, że był magiczny - dzięki niemu mogła zamknąć oczy i znaleźć się w innym świecie. Triskelion -

to nazwa symbolu, który zwisa z łańcuszka. Widzisz trzy półksiężycy... to znak celtycki.

- Mogę? - Alex wyciągnął rękę po wisiołek, a Mary opuściła biżuterię na jego dłoń. Wydawał mu się znajomy. Trzy kształty podobne do litery „C”. Kobieta określiła je jako „półksiężycy”, gdyż przypominały sierp księżycy. Przeplatały się jeden z drugim, tworząc zawieszki.

- Jest bardzo piękny. Podarowała go jej pani?

- Nigdy nie rozstawała się z wisiorkiem - powiedziała pogrążona w myślach kobieta, ignorując pytanie Alexa. Następnie potrząsnęła głową. Jakby przebudziła się z krótkiego snu, bo kiedy zaczęła mówić swoim głosem, była znowu zdenerwowana i stanowcza. - Nie mam ci więcej nic do powiedzenia, chłopcze. Lepiej więc będzie, jeśli teraz każdy zajmie się sobą. Słyszysz mnie?

Chłopak był niewzruszony: z kłatką piersiową wysuniętą do przodu, wisiorkiem w prawej ręce, a z lewą na kanapie. Wzrok miał całkowicie utkwiony w próżni, nieobecny.

- Alex, słuchasz mnie? - powiedziała Mary, podnosząc głos i machając ręką przed jego twarzą.

Dokładnie w tym momencie Jennifer Graver, sześciolatka dziewczynka zmarła w 2004 roku, stanęła naprzeciw Alexa w salonie.

Niewyraźne zarysy kształtów malej mieszały się z głębią pomieszczenia. Długi szlafroczek opadał aż do ziemi, zakrywając stopy, co powodowało, że Jenny wydawała się jakby zawieszona w powietrzu. Oboje zapatrzyli się w siebie na kilka niekończących się chwil. Nagle wokół nich przestały istnieć meble, ściany, ludzie, miasto... jakby unosili się w jakiejś otchłani poza granicami czasoprzestrzeni. Jakby stali jedno przed drugim w środku nicości. Oczy miała szeroko otwarte i Alex poczuł na sobie jej wzrok. Był zdolny przeniknąć do najbardziej mrocznych zakamarków jej duszy.

- *Nasz umysł jest kluczem* - powiedziała dziewczynka ze wzrokiem utkwionym w Alexie. Miała obojętny wyraz twarzy i nie wyrażał żadnych emocji. Zarysowany kształt jej ciała nadal był przeźroczy i dawał się przeniknąć.

- *Pamiętasz, Alex? Aby móc podróżować, wpatrywaliśmy się w pas.*

Obraz nagle zniknął. Chłopiec wypuścił z ręki wisiołek na podłogę, nagle się podniósł i pobiegł do wyjścia.

Kiedy nad Melbourne szalała burza, a nieustający deszcz dudnił o asfalt Alex Loria trzasnął drzwiami willi Mary Thompson.

Pokonał bramę i zaczął biec środkiem drogi, możliwie najdalej od puszek wspomnień o Jenny, która otworzyła się, żeby uwolnić duchy przeszłości.

Jenny otworzyła oczy. Leżała na posadzce w damskiej toalecie, koło umywalk, otoczona białymi, zimnymi ścianami, sprawiającymi wrażenie milczących i nijakich. Idealna sceneria do utraty tożsamości z zatarciem granicy między majakami a rzeczywistością. Przyłożyła dłoń do czoła, pewna, że ma gorączkę. Podniosła wzrok i stanęła naprzeciw pochylonej nad nią koleżanki z klasy - Oliwii Stamford, ze sportową przepaską na gęstych, kręconych włosach i skrzywionych oprawkach okularów.

- Psorka pyta, czy wyskoczyłaś przez okno z powodu jej pytania - zażartowała przyjaciółka.

Jenny czuła się wyczerpana i z trudem próbowała znaleźć jakąkolwiek odpowiedź. Pomysł,

żeby zbyć lekkim uśmiechem sarkazm Oliwii nawet nie przyszedł jej do głowy. Opuściła wzrok.

- Ej, co ci jest? - przyjaciółka pomogła jej wstać, podpierając jej plecy. - Wszystko dobrze? Jesteś blada.

- Tak... tak, nie martw się. Chodźmy do klasy.

Kiedy weszła do klasy, koledzy siedzieli na swoich miejscach. Te same twarze co zawsze. Profesorka rzuciła jej zza katedry pytające spojrzenie.

Oszołomiona Jenny usiadła w swojej ławce. Przez całą lekcję myślała o burzy emocji, form i dźwięków. Wydawało jej się, że coś przekroczyła.

Kilka minut przed dźwiękiem dzwonka Jenny ponownie pomyślała o portrecie w salonie. O swoim zmarłym ojcu. O klasie z nieznanymi kolegami. O fontannie, której nigdy wcześniej nie widziała. „Co się ze mną dzieje?”

Jak tylko znalazła się w domu, położyła plecak przy wejściu i bezsilna rzuciła się na kanapę. Trwała tak przez kilka sekund, jakby obawiając się ponownego zaśnięcia. Weszła do łazienki na piętrze, zatrzymując się na kilka chwil przed lustrem.

- Ciepłej kąpieli - powiedziała do swojego odbicia. - Tego mi potrzeba. Ciepłej i pachnącej.

Odkręciła kurek w kierunku oznaczonym na czerwono i zaczęła się powoli rozbierać, składając ubranie na koszu znajdującym się obok pralki. Wyjęła dwie kulki ze szklanego słoika stojącego na konsoli. Zbliżyła je do nosa, żeby poczuć zapach lawendy, i wrzuciła je do wody. Zapaliła także dwie małe świece i zgasiła światło, wtedy poczuła zimny dreszcz.

Po chwili zamknęła oczy, zanurzona aż po szyję. Delikatny zapach otaczał ją i pieścił, jak przytulenie matki. Jedną z najbardziej skutecznych terapii antystresowych, jaką знаła.

Ciepła kąpiel trochę ją uspokoiła. Kiedy wyszła z wody, odetchnęła głęboko i wydawało jej się, że ciężar, który wcześniej czuła na piersiach ustąpił, przynajmniej częściowo.

Owinięta białym szlafrokiem skierowała się do swojej sypialni. Zdjęcia z jej pierwszych zwycięstw w zawodach pływackich były zawieszane na ścianie wzdłuż całego korytarza pierwszego piętra. Bogaty łup złota - mawiała żartobliwie. Jej ojciec, Roger, był z niej dumny i to bez wątpienia było największą satysfakcją. Weszła do sypialni. Ułożyła dwie poduszki po przeciwnej stronie podglówka, wyciągnęła się i opadła na łóżko. Czuła, że robi się ciężka.

Z pierwszej szuflady komody wzięła małego pilota i włączyła stereo. Muzyka wypełniła pokój. Był to fragment utworu Sary McLachlan, którą uwielbiała - *In the arms of the Angel* Deszcz uderzał o szybę, a delikatny głos kanadyjskiej piosenkarki towarzyszył jej w to ponure popołudnie.

Jenny wstała i powoli wyslizgnęła się ze szlafroka. Przez chwilę stała nago przed lustrem szafy i patrzyła na swoje atletyczne, opalone ciało. Rozejrzała się wokół. Drzwi były uchylone, była w domu sama. Z jakiegoś powodu, którego nie umiała wyjaśnić, czuła, że ktoś ją obserwuje.

Wir.

Kłębowisko lamentów, słów, nieokreślonych i gigantycznych kształtów. Miliony galopujących głosów, przemieszanych z nieuchwytnymi obrazami, które krążą w głowie, jakby w wirówce uczuć i obrazów.

Kilka chwil.

Potem - cisza.

Wzrok Alexa zogniskował się na otaczającej go rzeczywistości. Wille na Blyth Street, jedna obok drugiej, wszystkie do siebie podobne i tak przewidywalne. Deszcz nieustannie uderzał o

dachy i podtapiał rośliny na dziedzińcach domów. Alex nie widział nic, nawet wtedy, gdy próbował spojrzeć w dół, pod nogi. Tylko ulica. Znak w odległości pięćdziesięciu metrów od skrzyżowania informował - Blyth St. Jednak na końcu nie było ronda z drzewami chyłącymi się od wiatru, które zauważył wcześniej. Był tylko semafor regulujący ruch na skrzyżowaniu.

„Co to znaczy?”

Podszedł do bramy willi Mary Thompson. Zobaczył skrzynkę na listy. Na tabliczce było napisane: GRAVER.

Poczuł strach, jakby jakieś ostrze musnęło jego szyję. Jednocześnie był zdziwiony i podekscytowany. Zrobił krok do przodu, chociaż fizycznie nie odczuwał żadnego ruchu. Kiedy znalazł się naprzeciw bramy, pokonał ją. Nie było potrzeby jej otwierania. To samo zdarzyło się z drzwiami wejściowymi. W kilka chwil znalazł się wewnątrz domu.

„Przeszedłem ponad...”

Umeblowanie różniło się od tego, które pamiętał. Ściana, na której wisiał obraz przedstawiający Ziemię widzianą z Księżyca świeciła pustką. Alex przesunął się dalej i natrafił na poręcz schodów. Na górnym piętrze dostrzegł uchylone drzwi. Cały korytarz wytapetowany był zdjęciami: dziewczyny o kasztanowych włosach z pucharem w ręce, dziewczyny w kostiumie na najwyższym stopniu podium, dziewczyny w kapeluszu z mężczyzną przybijającym piątkę, rozpromienione twarze i dwie kolorowe wstęgi w ręce połączone złotym medalem.

Alex poszedł w kierunku uchylonych drzwi. Napięcie sięgało szczytu, ale nie czuł, żeby rozrywało mu klatkę piersiową z emocji. Nie miał żadnych odczuć cielesnych. Lęk był tylko *ideą*, której nie odpowiadał żaden objaw fizyczny.

Kiedy doszedł do drzwi, natychmiast przekroczył próg wzrokiem.

Jenny stała naga, naprzeciw szafy. Rozglądała się, wydawała się przestraszona. To była ona. Wiedział to. Biały szlafrok leżał na ziemi u jej stóp. Ciało dziewczyny było odurzające i jednocześnie zachwycające. Smukła sylwetka, umięśnione nogi, złota skóra i jędrne piersi oczarowały go. Kasztanowe, jeszcze mokre, włosy opadały na szerokie ramiona pływaczki. Oczy nie mogły go mylić. Widział je wcześniej. Śnił o nich.

- *Jestem...*

Nie zdążył pomyśleć o niczym innym.

Wir wciągnął go.

Kiedy ponownie otworzył oczy, był na ziemi, przy krawężniku drogi. Deszcz ciągle padał, a jego ubranie było przemoczone do suchej nitki. Niebo było czarne, jakby był wieczór. Kilka samochodów pędziło po asfalcie. Alex przykucnął na chodniku pod murem jakiejś kamienicy a potem wstał. Woda zalewała mu oczy, trudno było odróżnić, co wokół niego jest rzeczywiste. W ustach czuł zapach krwi.

Szybkim rzutem oka zauważył plecak. Złapał go, następnie sięgnął do wewnętrznej kieszeni w poszukiwaniu telefonu komórkowego. Znalazł go i spróbował włączyć. Musiał bezwzględnie porozmawiać z Marco, ale wyświetlacz nie chciał się aktywować.

-Rusz się, do licha! - krzyknął. Na próżno. Może rozładowała się bateria albo, co bardziej prawdopodobne, do obwodu dostała się woda i uszkodziła go ostatecznie. Rozejrzał się wokół niepokieszony. W głębi ulicy zobaczył niebieski i czerwony neon. Wydawał się rozmazany z powodu nieprzerwanej ściany deszczu, ale Alex i tak zdołał odczytać napis: INTERNET POINT.

Bez działającej komórki pozostawał tylko jeden sposób komunikowania się z Marco -

spotkanie na Skypie. Alex zajął stanowisko w kącie Sali, obok tęgiego chłopca i dziewczyny o orientalnych rysach. Kilka chwil później rozmawiał ze swoim przyjacielem. Przystarzałe słuchawki, mały, zniszczony mikrofon, który musiał trzymać w ręce. Zarządzający kafejką internetową, mniej więcej trzydziestoletni Hindus łypał na niego raz po raz.

- Alex, wiesz, co to znaczy?

Marco wychodził zawsze z założenia, że dla Alexa - tak jak dla niego - jasne jest to, co się wydarzyło.

- To może oznaczać tylko jedno - ciągnął Marco.

Jego głos brzmiał mocno i wyraźnie.

We Włoszech było około dziesiątej rano, gdy okienko programu otworzyło się na laptopie. Marco czytał pierwsze strony codziennych gazet. Przez okno sączyło się jasne światło, które odbijało się od gorącej filiżanki herbaty stojącej na biurku.

W kafejce internetowej nie było możliwości aktywowania połączenia z kamerą, ale jakość głosu była doskonała. Chłopiec zauważył spojrzenia osób siedzących obok. Może przyglądali mu się, bo był całkowicie przemoknięty od stóp do głów. Z jasnego kosmyka włosów opadającego na czoło sączyły się krople deszczu, a ubranie zrobiło się ciężkie i zimne.

- Byłeś w jej świecie, wyszedłeś poza twój wymiar, dzięki umysłowi.

Alex znieruchomiał, myśląc przez chwilę o słowach przyjaciela.

- Dokładnie takiego uczucia doświadczyłem. Oderwania się od ciała, istniałem tylko w moim umyśle.

- Możesz przekraczać granice między dwoma światami... - powiedział Marco prawie do siebie. Czuł potrzebę powtórzenia na głos tego, co jeszcze trochę wcześniej było tylko przypuszczeniem. - Nie wiemy, jak to zrobiłeś, wiemy tylko, że po tamtej stronie nie było twojego ciała.

- Co jednak nie ma nic wspólnego ze zdarzeniami w tym świecie, w domu Mary Thompson. Marco... widziałem Jenny, sześcioletnią dziewczynkę, rozmawiała ze mną.

- Jak to?

Alex opowiedział Marco o widzeniu, jakie miał w salonie domu Mary i jak uciekał, a potem znalazł się w środku burzy, zanim zemdlął. Przytoczył mu zdanie, które wypowiedziała Jenny: „Pamiętasz, Alex? Aby podróżować, wpatrywaliśmy się w pas”.

Marco milczał przez kilka sekund, a połączenie zakłócały szumy i brak ciągłości.

- Niezbyt dobrze cię słyszę - to były ostatnie słowa, jakie Alex uchwycił, zanim rozmowa została całkowicie przerwana. Spróbował skontaktować się jeszcze raz, ale zobaczył, że komputer się rozłączył, a patrząc na inne osoby obecne na sali, zrozumiał, że problem nie dotyczył tylko jego.

Wstał, zapłacił i opuścił kafejkę internetową. W ten czy inny sposób zadzwoni do Marco później. Na ulicy, uderzył go zimny, gwałtowny podmuch wiatru. Wyjął empetrójkę i założył słuchawki. W uszach usłyszał wstępne dźwięki *Getting Better* zespołu Tesla. Pierwsze słowa Jaffa Keitha poświęcone deszczowi, jakby opisywały coś bardzo podobnego do jego sytuacji. Deszcz padał bez przerwy, Alex był przemoczony i głodny.

Jenny ubrała się pospiesznie i zeszła na dół. Zdenerwowana weszła do kuchni i usiadła, żeby pomyśleć o tym, co się wydarzyło. Ktoś stał w *jej* pokoju. Była tego pewna. To nie była halucynacja. To była obecność.

Jestem... Słowa dudniły w jej głowie. Słyszała je wyraźnie. To był głos Alexa.

Jenny znowu wstała, podeszła do kuchenki i otworzyła drzwiczki kredensu. Wzięła torebkę rumianku i włączyła czajnik z wodą.

- Muszę się uspokoić - powiedziała do siebie. - Nie istnieje nic, absolutnie nic. To jest tylko w mojej głowie.

17

Po zamknięciu okna Skype'a Marco wyjął pióro z puszki, w której pierwotnie był sprite, i chwycił plik kartek z biurka. Były to wyniki wydruków otrzymanych dzięki poszukiwaniom wykonanym przez program jego autorstwa. Wolał je przewertować po kolei na papierze, niż męczyć oczy przed monitorem.

Zaczął skreślać te, które wydawały mu się mniej interesujące: wpisy na niektórych blogach, odpowiedzi na Facebooku, wiadomości z Twittera ze wszystkich stron świata. Program zrobił listę, skatalogował i przetłumaczył na włoski korespondencję zagraniczną na temat wymiarów równoległych i teorii, którą Marco wyjaśniał Alexowi.

„Rzeczy bezwartościowe, godne Google, zobaczymy esemesy” -pomyślał i z zakrętką między zębami odhaczał długopisem różne wpisy. Odchudzanie wyników mogło zająć cały dzień, ale Marco wymyślił ten program do znajdowania treści prywatnych, których zwykle przeszukiwanie online by nie wytropiło.

Nie było wielu esemesów na temat Wszechświatów równoległych. Większość z nich dotyczyła teorii naukowych wyczytanych w czasopiśmie z tej dziedziny. Nic interesującego.

Nagle uderzyła go pewna wiadomość:

TAK, WIEM. SĘK W TYM, ŻE NIE MOŻNA ZNALEŻĆ TEGO E-BOOKA. ŚCIAĞNĄŁEM GO ROK TEMU, PRZECZYTAŁEM, ALE PO TYGODNIU NIE BYŁEM W STANIE GO JUŻ OTWORZYĆ. PLIK BYŁ USZKODZONY. JUŻ NIGDY NIE ZNALAZŁEM GO W SIECI.

Oczy Marco rozjaśniły się.

„Muszę znaleźć esemes poprzedzający tę odpowiedź”. Położył plik kartek na stole i szybkim kliknięciem myszy wrócił do programu.

Po znalezieniu wiadomości prawym klawiszem otworzył okno i wybrał pozycję „szczegóły”. Numer odbiorcy miał przed oczami. Marco zaznaczył go i skopiował, potem wkleił w pole wyszukiwarki swojego programu, żeby zobaczyć, czy przyszła jakaś korespondencja, czy software wytropił wiadomość z poprzedniej rozmowy.

- Tak! To jest to! - ucieszył się, gdy przeczytał zawartość. Nadawca był odpowiedni. Także i temat dyskusji.

NAZYWA SIĘ *THOMAS BECKERS MULTIVERSUM (DIE RE-ALTAT, DIE UNS UMGIBT, ISTNUR EINE DER UNENDLICHEN PARALLELEN DIMENSIONEN)*.

Poniżej znajdowało się automatyczne tłumaczenie: *Otoczająca nas rzeczywistość jest tylko jednym z nieskończonych wymiarów równoległych.*

- Dobrze, dobrze... - szeptał Marco, chwycił długopis i zaznaczył na papierze dwa numery komórkowe.

Wybrał pierwszy z klawiatury Skypea. Wydawało się, że nie istnieje. Skreślił go i przeszedł do następnego. Ten sam wynik. Potem rzucił się na klawiaturę laptopa i otworzył trzy okna z odpowiednimi stronami sklepów z książkami online.

- Do licha, nic się nie znajdzie. Jest poza katalogiem - powiedział, otwierając ponownie swój program.

Wprowadził tytuł i podtytuł książki w polu wyszukiwania, gdzie widniały przeanalizowane wyniki przechwyconych esemesów, blogów, postów na portalach społecznościowych i stronach internetowych.

Pojawiła się korespondencja.

Chodziło o blog zatytułowany *The_great_web_robbery*. „Wielka kradzież strony internetowej, interesujące” - pomyślał Marco, podnosząc brwi. Z wyszukiwania wyglądało, że blog cytował książkę Thomasa Beckera. Ale jak tylko wpisał adres do Internetu, zobaczył komunikat: „Ten blog został usunięty z powodu naruszenia prawa autorskiego”.

- Cholera! - wykrzyknął, rwąc sobie włosy z głowy. Zdjął okulary, położył je na biurku i przetarł czoło. Zamknął oczy, żeby odpocząły.

„Esesmes mówił o e-booku, który zniknął z sieci. Muszę znaleźć tę książkę”.

Kiedy ponownie otworzył oczy, ekran monitora był czarny.

Kilka kliknięć myszą. Żadnych zmian. Ekran pozostał czarny. Nacisnął spację na klawiaturze, ale nic się nie zmieniło. Sprawdził, czy działa listwa, do której były podłączone wtyczki. Dioda pomarańczowa świeciła się, a więc nie był to problem elektryczny.

Nagle na monitorze po prawej stronie u dołu otworzyło się jedno okno. Niebieska ramka z białym prostokąciem, który migotał w rogu.

„Co za diabeł...? Dlaczego przeszedł w tryb DOS?”

Marco patrzył osłupiały. W porywie chwycił za mysz, ale szybko stwierdził, że w tej sytuacji jest bezużyteczna. Właśnie zaczął pisać na klawiaturze, gdy prostokąt w oknie poruszył się.

W pewnym momencie zatrzymał się na środku ramki. Przed zdziwionymi i jednocześnie przerażonymi oczami Marco zaczęły się układać litery.

JA NIE ISTNIEJE

Zdanie zmieniło położenie w oknie, a następnie uległo zwielokrotnieniu, wdzierając się w każdy róg ramki aż do momentu, zgasło światło procesora pod biurkiem.

Komputer przerwał pracę krótkim gwizdem.

- Psiakrew, wirus! - zaklął Marco.

„Ktoś przejął mój komputer” - pomyślał. Nigdy mu się coś podobnego nie zdarzyło. Czy rzeczywiście do systemu dostał się wirus? Raczej nie, biorąc pod uwagę grę aktualizowanych zabezpieczeń, którymi dysponował. Ale hakerzy na całym świecie każdego dnia tworzyli nowe. Nawet on mógł się spodziewać małego ataku.

Marco próbował ponownie uruchomić procesor. Bez skutku. Odłączył wtyczkę od prądu, aby ją ponownie podłączyć. Komputer był całkowicie nie do użytku.

Po prawej stronie był jeszcze włączony MAC na maksymalnej jasności, tak jak lubił. Po lewej stronie przenośny notebook zatrzymał się na stronie Amazon, na której kilka minut wcześniej szukał w katalogu tekstu Thomasa Beckera.

Marco położył rękę na gałce sterownika wózka elektrycznego i cofnął się do korytarza. Następnie obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i skierował do kuchni.

Jak tylko znalazł się w środku, klasnął w dłonie i zaświeciło się światło. Na stole panował bałagan. Dwa brudne talerze, jeden położony na drugim. Niezakręcona butelka wody. Porozrzucone sztućce, kieliszek, zużyte serwetki i rozsiane wszędzie okruchy.

Marco otworzył drzwiczki szafki i wyjął puszkę kawy. Podjechał do kuchenki, wziął ekspres do

kawy, odkręcił go i wyrzucił zawartość do worka zawieszzonego na klamce okna.

- To musi być haker. Lepszy ode mnie. To żart albo wyzwanie.

Wrócił do monitorów z filiżanką ściśniętą w prawej dłoni i podjechał prosto do klawiatury Maca. Otworzył nową stronę, następnie w polu wyszukiwarki wpisał „Thomas Becker”.

- Muzyk... mistrz kanoe... nie o to chodzi - powiedział i pokręcił głową.

Koncert klaksonów przerwał ciszę. Marco podniósł wzrok, jakby chciał wyśledzić źródło dźwięku. Za oknem mógł tylko dostrzec fasadę kamienicy z naprzeciwka, z opuszczonymi żaluzjami we wszystkich mieszkaniach, jakieś ubranie leżące na balkonie i dużo anten satelitarnych.

- Nie! Ten też! - krzyknął przed dwudziestoczerocalowym całkowicie czarnym monitorem Applea.

Znieruchomiał. Czuł się bezsilny. On, który mógł napisać podręcznik instrukcji dla każdego komputera, jaki się przed nim znalazł.

Prawie zadrzał na myśl, że za chwilę ponownie pojawi się niebieska ramka.

Nie mylił się.

Kiedy pojawiło się okno zaczął migotać biały prostokąt, Marco szybko chwycił za klawiaturę. „Tym razem zagramy po mojemu, nie dam z siebie tak drwić”.

KIM JESTEŚ? Napisał. Prostokąt przesunął się na początek i migotał przez kilka chwil. ZABAWIŁEŚ SIĘ WYSTARCZAJĄCO Z DOS-EM? - dodał zaraz.

Związała odpowiedź, jaką na żywo otrzymał od wirtualnego interlokutora, była jak spoliczkowanie.

IMBECYLU, DOSTAŁEM SIĘ DO TWOJEGO MACINTOSHA.

Marco zaniemówił. Ręce mu zdrętwiały, oczy wybałuszyły się i wbiły w ekran. Popęnił prosty błąd, godny nowicjusza. Dopiero teraz to zrozumiał - okno otworzone przez hakera było czymś bardziej niewytłumaczalnym aniżeli zwykły tryb DOS-a.

- Ten łajdak kontroluje mój komputer od środka... - szepnął Marco, obgryzając nerwowo paznokcie. Przed jego oczami ułożyło się następane zdanie:

POWIEDZ MI, DLACZEGO SZUKASZ INFORMACJI O MNIE W SIECI. DLA KOGO PRACUJESZ?

A TY, KIM JESTEŚ? CZEGO, DO CHOLERY, ODE MNIE CHCESZ? - wystukał szybko Marco.

JA NIE ISTNIEJĘ. ROZMAWIASZ SAM.

Marco nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Nie mógł naprawdę pojąć, w jak absurdalną sytuację się wpakował.

Szukałem tylko tekstu. Wpisałem nazwisko autora w wyszukiwarce i...

Marco, zakłopotany, pokiwał głową w oczekiwaniu na odpowiedź, a potem przeczytał: AUTOR, KTÓREGO SZUKASZ, NIE ISTNIEJE.

JESTEŚ THOMASEM BECKEREM?

Biały prostokąt zamigotał przez kilka sekund a potem także Mac padł całkowicie.

- Psiakrew! - krzyknął ponownie Marco, odwrócony do dwóch czarnych ekranów.

„Będę je musiał rozebrać - pomyślał, patrząc na PC i Maca, tak rozpaczliwie milczących. - Kim jest, do licha, ten Becker? Jak to możliwe, że jest w stanie to wszystko robić?”

Telefon komórkowy stojący na meblu w korytarzu wysłał dźwięk informujący o przyjściu nowych wiadomości. To był początek utworu „O Fortuna” otwierającego kantatę sceniczną Carla Orffa *Carmina Burana*. Marco nagle odwrócił się, następnie poprowadził wózek inwalidzki aż do korytarza. „To pewnie Alex naładował telefon” - pomyślał, zanim chwycił aparat i przeczytał na wyświetlaczu.

1 NOWA WIADOMOŚĆ

NADAWCA NIEZNANY

Marco westchnął nerwowo. Z numeru zastrzeżonego mogła przyjść jakaś rozmowa, ale jeśli chodzi o wiadomości, to nie było to takie proste. Wybrał esemes i odczytał go na głos:

- Rzuciłem okiem na twoje pliki. Tworzysz interesujące oprogramowanie.

Marco skamieniał, po czym jego uwagę przyciągnął hałas dochodzący z pokoju, gdzie były monitory.

Po kilku chwilach ekran Maca rozjaśnił się ponownie i rozległ się ogłuszający fragment rocka w języku niemieckim. Marco zatkał sobie uszy. Na ekranie pojawiały się jeden po drugim wszystkie foldery systemowe. Pliki same przesuwają się do kosza i tam były usuwane.

- Świnia! - krzyknął Marco. Podjechał wózkiem inwalidzkim w stronę biurka.

Szybko zrozumiał, że jest w szachu. Mysz nie odpowiadała na komendy. Klawiatura także.

Nagle otworzyło się okno Worda.

JEST KTOŚ LEPSZY OD CIEBIE - mówił tekst.

„Usuwa wszystko! Do licha!” - pomyślał Marco przez ułamek sekundy. Schylił się do listwy, do której były podłączone trzy komputery i siłą odłączył wtyczkę Maca. Szybko też zamknął sesję na laptopie, jedynym czynnym komputerze. „Becker myśli, że jestem kimś groźnym - zastanawiał się, kiedy jechał wózkiem inwalidzkim w stronę łazienki. - Albo on jest mitomanem, albo coś naprawdę wie i sprawa jest poważniejsza, niż sędzę”.

- Muszę go zdemaskować - powiedział głośno.

Równocześnie laptop sam się uruchomił.

W tym samym czasie w Melbourne Alex, przemoczony od stóp do głów, wyszedł z kafejki internetowej i skierował się ku drodze równoległej do Esplanady. Na każdym skrzyżowaniu widział ocean za rzędem palm, które oddzielały dwa pasy ruchu. Jego wierny czytnik mp3 rozpraszał go playlistą przypadkowych fragmentów zespołu Tesla. Alex zmrużył powieki, żeby móc widzieć dalej niż na dwadzieścia metrów. W głębi dostrzegł świetlny neon McDonalda. Doszedł do niego, ale na ulicy nie było już żywej duszy. Burza przegoniła wszystkich do domów. Czasami tylko pędził jakiś samochód, rozbryzgując kałuże.

Alex wszedł do fast fooda i skierował się do kasy. Rosły chłopak w czarnych, obcisłych spodniach, wysokich butach, z łańcuchem z metalowymi ostrzami zawieszonym na szyi i włosami ułożonymi kształcie czuba, zapłacił i oddalił się z tacką, zwalniając miejsce. Alex szybko rzucił okiem na menu, następnie zamówił hamburgera oraz napój, mając ciągle słuchawki na uszach. Usiadł za stołem. Lokal był prawie pusty. Poza punkiem dostrzegł pięćdziesięcioletniego mężczyznę w samotności jedzącego puchar lodowy, skulonego koło stołu starego labradora oraz parę zakochanych trzydziestolatków patrzących sobie w oczy i karmiących się nawzajem ziemniakami.

Alex sięgnął ręką po plecak leżący na ziemi. Wyjął z niego książkę Klavana, ale poczuł, że nie ma ochoty na czytanie. Z kieszeni marynarki wyjął empetrójkę i oparł ją o bok tacki. Teraz display nadawał grupę The Wildhearts, *I Wanna Go Where the People Go*. Ugryzł kanapkę. Punk wstał i skierował się w stronę drzwi. Przyjrzał się koszulce chłopaka. Napis gotyckimi literami ORION'S BELT znajdował się nad symbolem plemiennym i kilkoma punktami świetlnymi, które tworzyły konstelację. Trzy z nich były szczególnie duże i blisko położone.

To koszulka jakiegoś zespołu, pomyślał Alex. Napis odblokował mu pewne wspomnienie. Nagłe i wyraźne *deja vu*, jakby to się zdarzyło wczoraj. Chłopiec zamknął oczy, a scena wtargnęła do jego umysłu.

- *Mój tata opowiada mi zawsze wiele historii o gwiazdach.*
- *Co to są historie o gwiazdach?*
- *Wczoraj opowiedział mi tę o bohaterze. Był najprzystojniejszym ze wszystkich mężczyzn. A na niebie jego konstelacja była najbardziej rozświetlona.*
- *Jak się nazywa?*
- *Orion.*

Alex otworzył szeroko oczy.

- Ależ oczywiście! - krzyknął, uderzając pięścią w stół. Sprzedawczyni stojąca za kasą spojrzała na niego krzywo. Labrador trzymany na smyczy przez starszego mężczyznę nagle podniósł głowę i zaszczekał.

„Orion's belt! Pas Oriona! Tak nazywają się te trzy bliskie gwiazdy, które widziałem na koszulce”.

Alex wyjął z zewnętrznej kieszeni plecaka długopis i napisał na opakowaniu po kanapce, które odłożył w rogu tacki.

Pamiętasz, Alex? Aby móc podróżować wpatrywałem się w pas.*

Jeszcze raz przeczytał to zdanie i zaczął sobie uświadamiać, co go czeka.

Nagle wstał, chwycił plecak i wyszedł z McDonalda.

Na zewnątrz szalała jeszcze burza, kałuże w pobliżu chodnika były coraz większe, a słabe światła neonów sklepowych mieszały się ze sobą. Szedł szybko, ze wzrokiem utkwionym przed siebie. Droga, która prowadziła do hotelu, nie miała zadaszeń czy wiat, pod którymi można było się schować. Ale teraz nie miało to znaczenia.

Jego oczy były promienne.

- Przeanalizowałem twój komputer i zrozumiałem, że jesteś zbyt ciekawski. Czego ode mnie chcesz, chłopcze?

Marco doskonale znał ten dźwięk. Był to głos automatycznego lektora, którym posługiwał się na PC-ecie. Kiedy odwrócił się w stronę laptopa, na środku ekranu zobaczył otwarte okno programu. Przybliżył wózek elektryczny, następnie spróbował przesunąć mysz. Nie odpowiadała.

Kobięcy głos, który Marco wybrał dla tego programu, był serdeczny, ale monotony, mimo wyraźnego wysiłku ze strony programistów, aby ustawić odpowiednią intonację i rytm w zdaniach czy pytaniach.

- Niepotrzebnie posługujesz się myszą czy klawiaturą. Kontroluję je. Pozwoliłem sobie

aktywować swoją wmontowaną kamerę video, jeśli nie masz nic przeciwko. Widzę cię. I słyszę.

Pauza, której towarzyszy szum dźwięków. Trzask podobny do trzasków płyty gramofonowej, kiedy igła opiera się o brzeg.

- Czego ode mnie chcesz? - podjął.

Marco osłupiał. Czy to był Becker? Kobięcy głos robota tłumaczył na słowa to, co profesor wstukiwiał, nie wiadomo gdzie.

- Ja... - zaczął lękliwie, nie rozumiejąc, czy ma jakiś sens patrzeć w obiektyw, czy nie - ...potrzebuję tylko informacji o Wszechświatach.

Cisza.

- Chłopcze, nie mów o rzeczach, których nie znasz.

- Mówienie jest jedynym sposobem na to, żeby coś zrozumieć.

- Musisz być jednak pewien, że masz do czynienia z właściwymi osobami.

Marco skinął głową. Czuł trud tej absurdalnej rozmowy. Człowiek go widział, może na całym ekranie, z jakiejś stacji położonej nie wiadomo gdzie, a on był zmuszony do słuchania anonimowego tłumaczenia głosowego.

- Pan napisał tę książkę, może mógłby mi pan pomóc... Myślę, że mój przyjaciel Alex żyje w wielu Wszechświatach.

- To, co mówisz, nie ma sensu! Wszyscy żyjemy w wielu Wszechświatach.

- Tak, wiem, on jest... no właśnie, on komunikuje się z dziewczyną z innego wymiaru... rozmawiają ze sobą. Ale nie żyją w tej samej rzeczywistości. Proszę nie brać mnie za wariata.

Kilka sekund przerwy, spowodowanej tylko sieciowym brzęczeniem monitora. Marco uniósł brwi w oczekiwaniu na odpowiedź.

- Pamięć - powiedział głos, bez intonacji.

- Jak to?

- Pamięć, tak ją nazywamy. Muszą odnaleźć Pamięć.

- Przepraszam, ale nie roz...

- Jeśli twoi przyjaciele mogą naprawdę *podróżować*, to ją znajdą. To jest droga.

- Droga do czego?

- Pamięć jest jedyną drogą ratunku. To, co się już wydarzyło, ciągle się jeszcze dzieje.

- Nic nie rozumiem! Może mi pan powiedzieć, co to wszystko znaczy?!

W tym czasie w komunikacji nastąpiły pewne zakłócenia. Coraz silniejsze brzęczenie pochodzące z obudowy komputera nakładało się na słowa mężczyzny.

- Powiedz twojemu przyjacielowi, żeby znalazł Pamięć. Jeżeli nie wymyśliłeś wszystkiego, to on i dziewczyna mogą to zrobić. Kiedy przekroczą granice wymiarów, odkryją moc, która od zawsze należy do tego, kto tego doświadczył. Mogą się uratować, ale śmierć i tak ich dosięgnie. To wszystko, co mam ci do powiedzenia.

- O czym pan mówi? Bez sensu!

Żadnej odpowiedzi.

Okno się zamknęło, szum zniknął.

Marco zdjął okulary i położył je naprzeciw laptopa, następnie chwycił długopis i napisał post „Memoriał”. W końcu oparty łokciami o stół zaczął rwać włosy z głowy, ostatnie słowa Beckera ponownie zadźwięczały w jego głowie:

„Mogą się uratować, ale śmierć i tak ich dosięgnie”.

Alex dotarł do hotelu. Jego ubranie było już ciężkie i lepkie.

Mężczyzna w recepcji popatrzył na niego spode łba, gdy zostawiał ślady mokrych butów na czerwonych dywanach rozwiniętych przy wejściu.

Bezustannie kaszląc, szybko wszedł do windy. W lustrze ujrzał odbicie swojej sinej twarzy.
„Rozchoruję się, cholera”.

Alex wszedł do pokoju. Położył plecak obok łóżka, zdjął dzinsy oraz kompletnie przemoczoną koszulkę i rzucił na podłogę, pozostając w bokserkach. Z zewnętrznej kieszeni wyjął telefon komórkowy i spróbował go włączyć. Nie mógł nic zrobić - nie działał, i nawet zasilacz nie był w stanie uruchomić go ponownie. To nie był problem baterii. Woda wyraźnie przeniknęła do obwodów. Włożył rękę do wewnętrznej kieszeni plecaka i stwierdził, że była doszczętnie przemoczona.

- Gównu! - krzyknął. Wtem jego wzrok wytopił na komódce telefon stacjonarny. - To będzie mnie bardzo dużo kosztowało. Trudno... - szepnął, podniósł słuchawkę i wybrał zero. Był sygnał linii. Teraz musiał sobie tylko przypomnieć numer do Marco.

„Marco nauczył mnie pewnej sztuczki, aby zapamiętać jego numer, zobaczymy... Kierunkowy to trzy, cztery, osiem... jak mój.

Następnie, więc... ach, tak! Rok zwycięstwa w mistrzostwach świata w Hiszpanii na odwrot: dwa, osiem, dziewięć, jeden. Co dalej?”

Alex rozejrzał się wokół. Wyszukane i eleganckie umeblowanie hotelu było bardzo dalekie od jego gustów. Obraz przedstawiający Madonnę z dzieciątkiem na ręku dominował na środku ściany nad telewizorem o płaskim monitorze. Zasłony były białe, wyszywane. Kołdra na łóżku w kolorze beżowym ozdobiona była stylizowanymi scenami polowania, podobnymi do malowideł naskalnych, które widział w wielu nudnych filmach dokumentalnych wyświetlanych w pracowni szkolnej.

„Mam! Numer policji amerykańskiej: dziewięć, jeden, jeden! Spróbujmy...”

Wybrał numer i czekał, ze wzrokiem przykutym do wcale nietaniego menu zamówień do pokoju.

- Proszę? - rozpoczął Marco podejrzliwym tonem.
- To ja! Alex! Jesteś, na szczęście!
- Alex! Co u ciebie? Gdzie jesteś? Nie masz pojęcia, co mi się przydarzyło!
- Jestem w hotelu. Moja komórka się spieprzyła. Dlatego teraz i potem będę nieosiągalny, ale... zrozumiałem zdanie, które powiedziała Jenny, wiem, co to jest pas. Ale co się stało?
- Przyjacielu, to jest prawdziwy burdel. Sądzę, że zagraża ci niebezpieczeństwo, ale niestety niewiele więcej mogę powiedzieć.
- Co masz na myśli?
- Posłuchaj mnie... Rozmawiałem z pewną osobą, która ma dla nas odpowiedzi.
- Nawet nie wiem, jakie są pytania.
- Posłuchaj, obawiam się, że sprawa jest poważna. Ta osoba powiedziała mi, że musisz znaleźć Pamięć, zanim będzie za późno. Nie pytaj mnie, co to jest, nie mam pojęcia. Może to jakieś miejsce. Powiedziała, że ją znajdziesz, mówiła o tym, jakby to miejsce było dostępne dla takich jak ty i Jenny.

Marco opowiedział, jak udało mu się skontaktować z Thomasem Beckerem i o informacjach, których mu dostarczył. Według mężczyzny podróż między wymiarami wytwarza specjalną moc, zarezerwowaną tylko dla kogoś, kto był w stanie tego doświadczyć.

- To wszystko to jakiś absurd. Dlaczego mamy szukać drogi ratunku, od czego? Coś ci jeszcze powiedział? - zapytał Alex, oszołomiony nowymi informacjami.

Zanim odpowiedział, Marco zawahał się kilka sekund. Tak, Becker powiedział mu, że umrą. „Mogą się uratować, ale śmierć i tak ich osiągnie” Marco nie miał siły przytoczyć tych słów przyjacielowi. Albo nie miał zamiaru w to wierzyć.

- Niczego więcej się nie dowiedziałem... ale powiesz mi, co odkryłeś w zdaniu Jenny?

- Chodzi o pas Oriona, o te trzy gwiazdy blisko siebie, które widać gołym okiem... krótko mówiąc, sądzę, że chciała powiedzieć, żebym zaczekał na nadejście nocy. Kiedy niebo znowu będzie spokojne. Teraz przestaje padać. Może jutro... Oczywiście, nie mam pojęcia, co zrobić.

- „Kluczem jest nasz umysł” powiedziała dziewczynka w czasie widzenia. Może powinieneś się skoncentrować na... „podróżowaniu”, czy nie tak się wyraziła?

- Tak. A więc podróż...

- ...zaprowadzi cię do niej!

- Marco, ale dlaczego mnie zapytała, czy sobie przypominam? Co mam sobie przypomnieć?

- To jasne, że ty i Jenny jesteście powiązani od bardzo dawna.

Alex pożegnał przyjaciela i rzucił się na miękką koldrę. Półnagi, z obolałymi mięśniami i zdrętwiałą szyją, wyciągnął rękę w stronę wyłącznika światła. Zamknął oczy, pograżając się w ciemnościach.

Nie był w stanie się odprężyć.

Pewien obraz ciągle powracał w jego myślach.

To był wisiołek Jenny.

Triskelion. Jej *magiczny wisiołek*.

Zacisnął powieki, jakby chciał się zmusić do przywołania w swojej pamięci celtyckiego symbolu. *Proszę cię, posłuchaj mnie!* - pomyślał intensywnie, powtarzając zdanie wiele razy.

Jenny siedziała za biurkiem, z otwartym podręcznikiem i z ołówkiem w ustach. Głos Alexa przybiegł z szybkością pędzącego pociągu, zaatakował ją całkowicie i rozszerzył źrenice, kiedy trzymała się rękami krawędzi stołu.

- *Znowu... Dosyć! Zostaw mnie w spokoju, błagam cię. Ty nie istniejesz.*

- *Ja istnieję, Jenny!*

- *Przestań! Odejdź, nie chcę więcej rozczarowań. Nie jestem chora...*

- *Żadne z nas dwojga nie jest! Posłuchaj mnie, tym razem to zrób. Widziałem twój wisiołek. Nie wiem, czy go jeszcze nosisz... ale widziałem go! To triskelion ~ symbol celtycki.*

Jenny osłupiała. Wyłączony monitor komputera był jak ciemne lustro, które odbijało jej zaniepokojoną twarz. Na szyi, jak zawsze, wisiał łańcuszek z przywieszką, o której mówił Alex. Amulet przynoszący szczęście.

- *Skąd wiesz?*

- *Przestań myśleć, że zwariowałaś. To nieprawda. Proszę cię, zaufaj mi i poszukaj czegoś. Nazywam się Alessandro Loria, mieszkam w Mediolanie, we Włoszech. Muszę być w jakiejś części twojego świata. Jenny, odzyskaj mnie...*

Głos Alexa przycichł. Ostatnie słowa zagubiły się w dalekim echu.

Jenny ciągle myślała o jednym pytaniu, nie wiedząc, czy Alex je odebrał, czy nie: *Co to znaczy „w jakiejś części twojego świata?”*

Nagle wstała. Pobiegła w stronę drzwi pokoju, trzasnęła nimi i skierowała się do łazienki. Kiedy znalazła się naprzeciw lustra, oparła ręce o brzeg umywalki i wpatrywała się intensywnie w swoje odbicie.

- Nie zwariowałam! - krzyknęła.

Wróciła do pokoju i włączyła MacBooka. Zaczęła szukać w Internecie imienia Alex. „Jest Włochem, jak moja mama” - myślała, klikając jak szalona. Znalazła dziesiątki kontaktów na Facebooku parę odpowiedzi na blogach sportowych, inne linki się nie otwierały. Większość obrazów w ogóle nie odpowiadała obrazom z przeszłości podczas omdleń. Inne awatary przedstawiały piłkarzy, ludzi filmu lub kreskówek. Korespondencjom na blogu nie odpowiadały żadne konta poczty elektronicznej.

Po półtoragodzinnych, bezskutecznych poszukiwaniach, wzrok dziewczyny nagle rozjaśnił się. Wśród wielu linków, na piętnastej stronie wyszukiwarki Google, jeden prowadził na stronę drużyny młodych koszykarzy. Jenny otworzyła go. Serce zaczęło jej bić z niesłychaną siłą - w grupie graczy jedna z kart była podpisana: „Alex Loria, rocznik 1998”. Była też fotografia o niskiej rozdzielczości, przedstawiająca chłopca ubranego na sportowo do treningu, z jasnym kosmykiem włosów, który Jenny - w tych mglistych momentach podczas pierwszych ataków - widziała i mogła rozpoznać.

- Do diabła, wydaje się, że to naprawdę on... - Ten obraz ją zahipnotyzował. Wiek i wygląd zgadzały się. Jenny kliknęła w ramkę z napisem SKONTAKTUJ SIĘ Z NAMI i podniosła telefon, zdenerwowana i niespokojna. W jednej chwili wybrała numer siedziby klubu koszykówki.

- Ośrodek Sportów Senna, dzień dobry... - nagle ze słuchawki wydobył się zachrypnięty głos.

- Dzień dobry pani... - zaczęła Jenny swoim włoskim z silnym, obcym akcentem. - Chciałabym uzyskać informacje.

- Proszę.

- Szukam numeru lub adresu chłopca, który gra w waszej drużynie koszykówki, nazywa się Alex Loria,

- Alex Loria? Kapitan? Przykro mi, ale nie możemy ujawniać danych osobowych przez telefon.

Jenny podniosła wzrok poirytowana.

- Może mi pani przynajmniej powiedzieć, w jakim mieście mieszka?

- Dziewczynko, numer, który wykreśliłaś zaczyna się na 02. Wszyscy gracze są z Mediolanu, oprócz kilku mieszkających na peryferiach. Coś jeszcze?

Jenny przymknęła oczy, pewna, że jest to wystarczająca informacja.

- Bardzo dziękuję - powiedziała przed rozłączeniem się.

Kolejne śledztwo nie było potrzebne. Alex był kapitanem drużyny koszykarzy, która była członkiem Mediolańskiego Ośrodka Sportu. Był w jej wieku. Dane, które jej dostarczył, pasowały doskonale. Nie była wariatką, nie cierpiała na zaburzenia psychiczne, nie wymyśliła sobie tego wszystkiego. Alex istniał. Teraz jej kolej, aby dotrzeć do niego.

Po rozmowie z Jenny Alex wskoczył pod prysznic. Kiedy ciepła woda wreszcie lała się na jego szczupłe, umięśnione ciało, myśli powędrowały do jego równoległego JA, w którą to stronę popchnął Jenny.

„Jakie jest jej życie? - pytał sam siebie, wyciskając na dłoń szampon z tubki. - Jak bardzo różni się od mojego? Jest kapitanem drużyny? Wygrała tytuł atletki roku w zeszłym sezonie?”

Kiedy Alexa ponosiła fantazja w wyobrażaniu sobie alternatywnego świata dziewczyny, w swojej rzeczywistości Jenny była już w taksówce jadącej na lotnisko. Nie tracąc ani chwili, wrzuciła do torby pływackiej parę ubrań, zaopatrzyła się w kartę kredytową matki, szybko przejrzała strony internetowe kilku australijskich linii lotniczych i zarezerwowała lot, który poprowadzi ją do jej bratniej duszy.

To było szaleństwo. Musi to zrobić natychmiast albo już nigdy więcej nie zdobędzie się na taką odwagę. W przeciwnym wypadku byłyby to tylko ucieczka.

„Istnieje, istnieje, istnieje...” - powtarzała sobie, gdy taksówka mknęła po ulicach Melbourne.

Jenny przyjechała na lotnisko dużo wcześniej przed wejściem na pokład samolotu. Cały ten czas spędziła na nerwowym chodzeniu tam i z powrotem po Tullamarine. Po raz pierwszy leciała sama. Wydawało się, że ten czas nigdy nie upłynie. Twarz Alexa ciągle atakowała jej myśli.

Kiedy nadszedł moment wejścia na pokład, Jenny głęboko westchnęła i ustawiła się w kolejce wśród pierwszych pasażerów.

Samolot był pełny. Zajęła swoje miejsce koło skrzydła, przy oknie. Zapięła pas przed startem i wyciągnęła z tyłu siedzenia znajdującego się przed nią gazetkę, jaką linie lotnicze oferowały podróżnym. Obgryzając paznokcie, zdała sobie sprawę, że cała drży. Musiała się zrelaksować.

„Co ja robię?” - pomyślała, kiedy przeglądała okładkę magazynu przedstawiającą widok na Barcelonę z parku Montjuic. „Barcelona...” Słodki uśmiech zarysował się na jej ustach.

Sześć miesięcy temu pojechała z klasą na wycieczkę do Hiszpanii. To była jej pierwsza podróż do Europy - dziesięć niezapomnianych dni.

W jej umyśle nakładał się cały szereg migawkowych obrazów: Ekstrawaganckie formy architektoniczne Gaudiego, które często przypominały sinusoidę morskich fal. Zwiedzanie Miasteczka Hiszpańskiego, miejscowości, w której zrekonstruowano starożytne miasta, gdzie kupiła skórzaną bransoletkę, którą teraz miała na ręce. Biegi nad brzegiem morza z koleżankami, kiedy profesorowie dali im wolne popołudnie. Plaża była blisko linii metra. Trzy przystanki żółtą linią z Passeig de Gracia, gdzie mieścił się hotel, do dzielnicy Barceloneta. Następnie Hard Rock Cafe na Placa de Catalunya, na którym cała klasa zajęła jeden stolik na szesnaście miejsc i tak *hałasowała* - jak stwierdziła profesorka matematyki - że wszyscy kelnerzy powariowali.

Siedzący obok Jenny mężczyzna w mundurze Państwowej Służby Leśnej Stanów Zjednoczonych patrzył na nią dziwnie, gdy ta uśmiechała się z zamkniętymi oczami. Pamiętała także ten wieczór, kiedy jej kolega z klasy, Marty, surfer i zawodnik hokeja na lodzie, zaczął ją podrywać. Siedząc obok Jenny na tarasie hotelu, przysunął się bliżej niż

zwykle i zaczął jej prawie komplementy. Następnie próbował pocałować ją w szyję. Odsunęła się i odepchnęła go. Marty był przystojnym chłopakiem. Śniady, o zielonych oczach, obdarzony atletycznym ciałem i zdolnością uwodzenia koleżanek. Ale może problem polegał na tym, że Jenny, w głębi swego serca, miała miejsce zarezerwowane już tylko dla tego dalekiego głosu. Tajemniczego chłopca, który istniał w jej głowie.

„Gdybym nie pojechała na wycieczkę do Europy, nie miałabym z pewnością ważnego paszportu, aby móc rozpocząć tę podróż” - pomyślała, podczas gdy stewardesy omawiały procedury bezpieczeństwa lotu.

Po dwudziestu minutach od momentu wejścia na pokład samolot wreszcie wystartował z australijskiej ziemi.

„To się naprawdę dzieje” - pomyślała Jenny.

Za oknem domy i drogi stawały się coraz mniejsze.

„Lecę do Włoch. Chyba jestem stuknięta”

Zaraz po starcie rozłożyła przed sobą gazetę, oparła głowę o okno i spróbowała się zdrzemnąć.

Kiedy ponownie otworzyła oczy, z trudem mogła ogarnąć otaczającą ją rzeczywistość. Przeszkadzały jej światła. Nie wiedziała, ile czasu minęło. Ale problem leżał w czym innym. Jak tylko weszła w otaczającą ją rzeczywistość, Jenny zerwała się miejsca.

Nie była w samolocie.

Naprzeciwko niej drewniany antyczny mebel, na którym stały zdjęcia rodzinne. Fotografia jej mamy, Klary, jako dziecka, jej i Rogera w dniu pierwszych zawodów pływackich.

Po prawej stronie - obraz, który dobrze pamiętała. Przedstawiał żaglówkę, opierającą się falom podczas sztormu.

- Jeszcze to nosisz... - powiedziała babcia Linda słabym i delikatnym głosem

- Ja... co? Czyja śnieć? - Zdenerwowała się Jenny.

- Triskelion, Jenny - odezwał się dziadek. - Nadal nosisz triskelion na szyi.

- Nie, zaczekaj... Podarowałaś wisiorek babci, a ona dała go mnie, kiedy... Bez sensu.

- Moje dziecko, coś jest nie tak?

Jenny rozejrzała się wokół, zmieszana.

„Ten kredens...” - pomyślała, przyglądając się antycznemu meblowi. Znała go dobrze. Trafił do ich domu na pierwsze piętro, tam, gdzie spali mama i tata. Podobnie jak inne przedmioty z wiejskiego domu, został przewieziony do willi na Blyth Street, tuż po śmierci babci, w rok po tym, jak zmarł dziadek.

Ale w tym momencie oboje stali przed nią z filiżanką herbaty w ręce.

- Nie czuję się dobrze... Sądzę, że straciłam pamięć - skłamała Jenny. - Co wy tutaj robicie?

- Co ci jest, księżniczko?

Głos dziadka był ciepły i pieszczotliwy. Tak jak wtedy, gdy była mała i czytał jej bajkę za bajką.

Jenny nie była w stanie się powstrzymać. Po usłyszeniu tych słów wybuchła płaczem, wstała z fotela, żeby uściskać dziadków.

- Tak bardzo mi was brakuje...

- Kochanie babcine, jesteśmy tutaj. Możesz nas odwiedzić, kiedy tylko zechcesz!

- Ale wy... nie żyjecie!

Linda popatrzyła na nią z zaniepokojoną miną. Jenny była zmieszana i... tak przekonana. Dziadek, wahając się, opuścił wzrok.

- Przepraszam was, muszę na chwilę wyjść - nagle dziewczyna podniosła się. Dobrze знаła drogę. Po wejściu na schody tawerny doszłaby do wyjścia. Zostawiła za sobą ciężkie, drewniane drzwi i wyszła. Nieśmiało zrobiła kilka kroków po trawie wokół willi. Zapach ziemi zlanej deszczem był odurzający. Po kilku metrach znalazła się naprzeciw drzewa, na którym w swojej rzeczywistości, po śmierci dziadków wyryła zdanie: *DWIE NOWE GWIAZDY NA NIEBIE*.

- Nie ma - głos Jenny załamał się. - Niczego już nie ma. Mojej dedykacji. Zniknęła.

Z zamkniętymi oczyma i z rękoma złączonymi na triskelionie dziewczyna zaczęła drzeć.

Następnie w jednej chwili porwał ją wir. Znowu została wrzucona w ten zamęt uczuć i obrazów, wyrwana z jednej rzeczywistości, żeby obudzić się w innej.

- Proszę pani, herbata czy kawa?

Stewardessa wpatrywała się w nią, trzymając tackę.

- Życzy sobie pani herbatę czy kawę? - powtórzyła dziewczyna w niebieskim mundurze linii lotniczych.

- Nic, dziękuję - wymamrotała osłupiała Jenny.

Znowu była w samolocie, w drodze do Alexa.

21

Marco podgrzewał chleb w kuchence mikrofalowej i rozmyślał nad słowami Alexa. Wyobrażał sobie przyjaciela wyciągniętego na plaży, z głową do góry i wzrokiem utkwionym w pasie Oriona.

Otworzył szeroko oczy, bo dochodzący z jadalni hałas - ciągły i dokuczliwy warkot jak zakłócenia na linii - przyciągnął jego uwagę.

Pospiesznie podjechał wózkiem elektrycznym do jadalni.

- Co jest, do diabła...? - wykrzyknął, jak tylko zobaczył obraz rozciągnięty na całym ekranie przenośnego komputera.

Transmisja była zakłócana, przecinana białymi liniami poziomymi i czarnymi biegnącymi z góry na dół. Nieruchome ujęcie fotela z czarnej skóry. Za nim drewniana deska podtrzymywana przez dwa statywy, wypełniona papierami i książkami.

Jakiś starzec pojawił się przed obiektywem i usiadł. Słabe światło odbijało się na jego łysej głowie, kiedy zapinał koszulę na guziki, aż po szyję.

Oczy w kamerze zaczęły mówić.

- Wszechświaty niszczą. „Ależ to *on*” - pomyślał Marco.

- Istnieje Pamięć.

Becker przerwał na chwilę, rozglądając się wokół. Transmisja była zakłócana. Obraz pojawiał się i nagle ciemniał.

- W chwili, w której zniknie świadomość, to Pamięć będzie jedyną ostatnią alternatywą.

„*Me co to znaczy?*” - zapytał sam siebie Marco.

- Dzień końca jest bliski.

Dreszcz przeszedł po plecach chłopaka, kiedy po krótkiej wiadomości Beckera ekran zrobił się czarny. Okno czytelnika zamknęło się, a na tle pulpitu pojawiło się zdjęcie flagi amerykańskiej, zatkniętej na powierzchni Księżyca.

- Dzień końca... - powtórzył Marco głosem bez emocji, wpatrując się w pustkę wokół siebie. Następnie złapał mysz i ponownie otworzył program, szukając odtwarzanego przed chwilą pliku w historii.

Nie było śladu video.

Szybki rzut oka na notatnik leżący obok klawiatury Maca przywołał w jego umyśle to słowo: Pamięć.

Wziął ołówek i napisał:

W chwili, w której zniknie świadomość...

Pamięć będzie jedyne ostatnią alternatywą.

Marco zdjął okulary, położył je na stole, przestraszony i zmieszany podniósł wzrok. Nie zdawał sobie nawet sprawy, że bardziej niepokoi się o los swojego przyjaciela niż o apokaliptyczne rewelacje mężczyzny.

„Jak ja go do licha uprzedzę?”- pomyślał, zanim ruszył wózkem w stronę kuchni. Chleb kompletnie się spalił. Marco zrezygnował z przekąski i wrzucił kromki do worka na śmieci. Po czym zgasił światło w kuchni i wjechał wózkem do sypialni.

Dzień końca... słowa Beckera ciągle pobrzmiwały w głowie Marco, gdy usiłował się wdrapać i podciągnąć na ramionach do łóżka. Był zmęczony, wyczerpany i przerażony. To, co powiedział Thomas Becker, brzmiało jak prawdziwe proroctwo.

Alex siedział ze skrzyżowanymi nogami na plaży w Altonie, zamknięty w sobie. Zapadł zmierzch, słońce jak pomarańczowa tarcza wisiało na linii horyzontu. Morze było spokojne, niebo czyste. „Dziś wieczorem znowu zobaczą pas Oriona” - pomyślał.

W tym samym momencie Jenny opierała głowę o okno w samolocie i od czasu do czasu rzucała wzrokiem na ekran. Leciła *Truman Show*, ale znała go już na pamięć. Była senna. Bez przerwy ziewała, ale nie była w stanie zasnąć. Bolały ją nogi i nie mogła doczekać się lądowania.

Marco dopiero co się obudził. Dwie godziny snu to maksimum, na jakie mógł sobie pozwolić. Nim ponownie zasiadł na wózku, pomyślał o wiadomości video przekazanej przez Beckera. Należało uprzedzić Alexa. Ale jak?

Wszedł do jadalni z zielonym pilotem w ręce. Nacisnął przycisk i podniósł żaluzje. Niebo było szare - typowy zimowy mediolański dzień. Przysunął wózek do komputerów i w każdym z nich wcisnął klawisz włączający.

Po uruchomieniu systemów zauważył, że gniazdko od wiń wskazywało zero punktów na cztery możliwe. Sygnału nie było.

„Co się dzieje?”- Marco przemieścił się z wózkiem na przeciwną stronę stołu, gdzie była centrala telefoniczna. Pochylił głowę, żeby rzucić okiem. Gniazdka od sygnału wifii były wyłączone.

Zasapany wyjął komórkę z kieszeni polaru i wybrał zielony numer pomocy technicznej. Automatyczny głos odpowiedział:

- Wszyscy nasi operatorzy w tej chwili są zajęci. Prosimy o ponowny kontakt później.
- Psiakrew! - krzyknął, usilnie naciskając czerwony klawisz komórki, żeby zakończyć

rozmowę.

Gwałtowny poryw ciepłego wiatru otulił ciało Alexa. Siedział ze skrzyżowanymi nogami na plaży w Altonie już od dwóch dni.

Izolacja przerywana krótkimi pauzami. Dzień wcześniej kazał sobie przygotować w barze kanapki, kupił kilka butelek wody i zaopatrył swój plecak na tyle, żeby nie musiał się ruszać z plaży. Czuł potrzebę wyeliminowania wszystkich bodźców zewnętrznych, zanurzenia się w stan medytacji, który - według niego - powinien mu przynieść rozwiązanie problemu. Był zdeterminowany, aby cały czas poświęcić na kontemplację, nawet jeśli to nie było wcale łatwe i - szczerze mówiąc - nie miał jasności, co miałby robić i jaki byłby jej rzeczywisty cel. Jednak nowa idea - pewność, że każde zdarzenie, każdy jego ruch nie są przypadkowe, rządziła jego czynami.

Kiedy nad morzem zaczął wschodzić księżyc, zostawiając biegnącą do niego smugę światła na wodzie, Alex zaczął obserwować niebo z większą uwagą.

Na czarnym już niebie nad oceanem, przed jego oczyma zaczęła migotać konstelacja, na którą czekał. Jej kształt podobny był do klepsydry. Na firmamencie zaświecił Orion. Przed nim znajdował się pas składający się z trzech blisko położonych gwiazd.

W czasie gdy Jenny lądowała na lotnisku Malpensa, chłopiec wreszcie odnalazł klucz. Wir przeniósł jego myśl daleko od tamtej wizji. Gwałtownie odciął myśl od ciała i położył się na piasku. To było jak podróż - szybkie sekwencje twarzy i krajobrazów. Uderzyły go chóralne odgłosy krzyków, narzekań, płacz i śmiechy... poczuł, że wyskakuje z prędkością światła w środku tunelu, aż nagle wszystko zniknęło. Zgiełk nagle się skończył. Otuliła go cisza. Wokół niego - czerni. „Gdzie jestem?”

Minęło kilka minut. Nie czuł otaczającej go rzeczywistości. Poczł uderzenie ciepła, coraz mocniejsze i nie do wytrzymania. Wydawało mu się, że wkłada cały możliwy wysiłek, aby dostrzec to, co jest przed nim, ale żadnego koloru, żadnej formy, absolutnie niczego nie był w stanie zobaczyć. Prawdę mówiąc, nie widział nic. Jego pierwszym kontaktem z rzeczywistością był dźwięk dzwonu. Dochodził z daleka. Kilka uderzeń, jedno po drugim. Jego umysł przyzwyczajał się do tego ciepła, podczas gdy z zewnątrz zaczynały docierać pierwsze odgłosy wrzawy.

Nagle Alex otworzył oczy. Zmrużył je. Oślepiające światło przeszkadzało mu w zrozumieniu, gdzie się znajduje. Próbował coś dostrzec, ale bodźce cielesne pojawiały się wszystkie naraz. Alex zaczął czuć kończyny, ruch ramion w otaczającej przestrzeni, a świat wokół niego powoli nabierał pewnych kształtów. Przed jego oczami białe cegielki stawały się coraz wyraźniejsze. Także i zmysł węchu odbierał pierwsze zapachy, a słuch łapał niektóre głosy z oddali.

Jeden z nich ciągle się przybliżał, aż zwrócił jego uwagę.

- Ruszysz się czy nie?

Przesuwając głowę z pełną świadomością w lewą stronę, Alex odwrócił się i zobaczył chłopca o rudych włosach, ubranego w kombinezon. Patrzył na niego pytająco.

- Co to za filozoficzny spokój, może podniesiesz tyłek?

Alex wybałuszył oczy i kiwnął głową na znak zgody, następnie rozejrzał się wokół. „Jestem w przebiegalni!”

Wstał i podążył za kolegą. W miarę jak szedł szkolnym korytarzem, jego umysł otrzymywał ogromną ilość nowych informacji. Jakby się obudził ze śpiączki albo odzyskał pamięć po ciężkim

wypadku.

Przebiegł drogę, aby dojść do swojej klasy. Wydawało mu się, że zna te korytarze *od* bardzo dawna. Z tą samą swobodą zasiadł w ławce w głębi klasy. Wszystko, co robił, było naturalne, ale jednocześnie bardzo go dziwiło.

Kiedy nauczyciel zamykał drzwi i witał się z uczniami, Alex popatrzył na swoje ubranie. Miał na sobie szary kombinezon, buty do gimnastyki i czarną koszulkę z napisem PA RENTA L ADVISORY.

W jego umyśle pojawiła się informacja, że przed chwilą skończyła się lekcja gimnastyki. Grali w siatkówkę na sali gimnastycznej. Drużyna Alexa przegrała, ale chłopiec doskonale pamiętał dwa bloki, dzięki którym odbił ścięcie kolegi z klasy, Stefana, za którym nie przepadał.

Jego wzrok powędrował w stronę rywala, gdy nauczyciel filozofii poprosił koleżankę o przeczytanie fragmentu tekstu z książki. Stefan odwrócił się, żeby wymienić prowokacyjne spojrzenie.

„Ja... *przypominam sobie* tego chłopca! Pobiliśmy się na korytarzu i musiał interweniować woźny, żeby nas rozdzielić...”

Alex wbił wzrok w oczy kolegi z klasy, a jego pamięć odnajdywała elementy pozornie nieznanego świata.

Spróbował go znaleźć, szukając w przeszłości innych detali swojego życia, które najwyraźniej tylko częściowo należało do niego.

Nie było w nim śladu po Marco.

Może nie brał udziału w turnieju gier video i nie spotkali się. A może żadnego turnieju nie było. Natomiast jego rodzice byli obecni we wspomnieniach i wydawało się, że wiodą podobne życie. Mieszkał zawsze na ulicy Lombardia, uprawiał te same sporty - koszykówkę i tenis - i nagle, analizując swoje gusty muzyczne, zdał sobie sprawę, że różnica między jego życiem a *alter ego* nie była zbyt duża.

Pomijając Marco, wiele aspektów tamtego równoległego wymiaru było podobnych do tych wyjściowych, jeśli nie identycznych.

Ale istniała podstawowa różnica. Alex dobrze o tym wiedział.

Jeśli podróż przeniosła go do właściwego miejsca, Jenny żyła i wzrastała w tej rzeczywistości.

W tym czasie, gdy Alex oswajał się ze swoim światem alternatywnym, Jenny przeszła przez kontrolę graniczną na lotnisku Malpensa.

22

- *Alex...*

Chłopiec nagle usłyszał głos przenikający do jego głowy. Zegar wiszący na ścianie klasy wskazywał za cztery pierwszą. Ostatnia lekcja dobiegała końca. Głos Jenny był tak wyraźny i czysty, tak bliski...

- *Słyszę cię. Jenny, jestem. Jestem tutaj!*

- *Drzę...*

- *Gdzie jesteś?*

- *W Mediolanie. Przed chwilę wyszłam z lotniska, wsiadłam do pociągu jadącego do centrum miasta.*

- *Rozumiem. To połączenie z metrem. Dojedziesz do przystanku Cadorna. Tam wysiądź. Będę*

czekał. Za parę minut wyjdę ze szkoły i przyjdę po ciebie.

- *Rozpoznamy się?*

- *jestem pewien.*

Kiedy tak porozumiewali się w myślach, Alex ciągle patrzył na zegarek. Nauczycielka od czasu do czasu odwracała się w jego stronę, marszczyła brwi, widząc jego całkowitą nieobecność. Ale średnia Alexa z filozofii w tym świecie wynosiła osiem. Można mu było więc pozwolić na jeden dzień roztargnienia.

„Pewnie jest zakochany” - pomyślała nauczycielka.

Nie była tak bardzo daleka od prawdy.

Alex zaczął biec, jak tylko znalazł się poza budynkiem. Dotarł do stacji metra Loreto. Wsiadł do pierwszego wagonu zielonej linii. W pociągu jego myśli tłoczyły się bardzo chaotycznie. Jechał na spotkanie z dziewczyną, która żyła w jego głowie, od kiedy sięgał pamięcią.

Podczas jazdy metrem wydarzyło się coś szczególnego.

Oparty o drzwi wagonu chłopak o kręconych włosach, z książką Isaaca Asimova w ręku, podnosząc wzrok, rzucił w stronę Alexa, bez uzasadnionego powodu, złe spojrzenie. „Także i w tym świecie przyzwyczajenia są takie same, ludzie patrzą na siebie źle bez wyraźnej przyczyny” - pomyślał Alex. Po chwili wyobraził sobie, że książka wypada z rąk młodego człowieka. Kilka sekund później chłopak upuścił powieść na ziemię. Zaskoczony, pochylił głowę, podniósł książkę i ze zdziwioną miną powrócił do lektury.

Po wyjściu z pociągu na przystanku Cadorna, Alex wszedł na ruchome schody prowadzące na stację. Oparty o gumową poręcz zauważył, że dwie dziewczyny odwrócone do niego plecami żywo dyskutowały na temat wyboru lokalu na sobotni wieczór. Alex zamknął oczy i wyobraził sobie, że te dwie dziewczyny obejmują się. Chwilę później zatrzymały się, uściśniły i zaraz odskoczyły od siebie.

Alex usłyszał, jak jedna z nich zapytała.

- Dlaczego to zrobiłaś?

Druga odwróciła się plecami, a wyraz jej twarzy dawał przyjaciółce do zrozumienia, że nie ma pojęcia, co się stało.

Czy to stało się naprawdę, czy to tylko moje wyobrażenie? - zapytał sam siebie. Nie był w stanie zrozumieć, czy to, co wokół niego się działo, było realne, czy też wydarzenia zrekonstruował jego umysł, jak wspomnienie czegoś, co nigdy nie miało miejsca.

Kiedy znalazł się przed tablicami świetlnymi, które pokazywały przyjazdy pociągów, serce zaczęło mu bić w rytmie przyspieszonym.

Pociąg z Malpenty miał przyjechać o trzynastej trzydzieści. Brakowało dziesięciu minut.

Alex skierował się w stronę ławki, wszystko wokół niego wydawało się podobne do rzeczywistości, z której pochodził. Stacja była zatłoczona. Przebywały tu dziesiątki osób poddanych szalonemu tempu metropolii.

Mniej więcej pięćdziesięcioletni mężczyzna, chcąc wydostać się z tłumu, potrącił Alexa i nawet nie przeprosił, tylko poszedł dalej. Po chwili chłopak odruchowo zamknął oczy i zobaczył, że ten sam człowiek zaprasza do swojego samochodu prostytutkę, płaci jej i rozpina spodnie. Pragnął natychmiast oddalić ten obraz.

- Co się dzieje?! - wykrzyknął, śledząc mężczyznę wzrokiem. Jego umysł płatał mu brzydkie figle, a

on już nie był w stanie odróżnić wyobrażeń od rzeczywistości.

Szybkie spojrzenie na stacyjny zegar uzmysłowiło mu, że brakuje kilku minut do przyjazdu pociągu.

Siedząc blisko okna, Jenny patrzyła na komórkę, którą z ostrożności wyłączyła. Pomyślała o swojej matce. Musiała się bardzo martwić. Przypominała sobie jej teorie dotyczące duchowej sfery życia, planu przeznaczenia, które nie pozostawiało miejsca na zbiegi okoliczności. „Za każdym spotkaniem stoi jakaś wyższa racja - mówiła - zwłaszcza za tymi, które wydawałyby się zwykłymi łutami szczęścia”. Niemniej Jenny była pewna, że przekonania matki nie usprawiedliwiłyby jej w chwili, w której odkryłyby, że córka uciekła do Włoch.

Jenny odwróciła się w stronę siedzeń po lewej stronie i zobaczyła kobietę policzkującą dziecko. Kobieta była wściekła.

- Nie waż się płakać! - wrzasnęła malcowi w twarz.

Jenny popatrzyła na dziecko, które przechyliło głowę w prawo. Ich spojrzenia się skrzyżowały.

- *Mamo, kto to ta pani, która była z tatą wczoraj?*

- *O kim mówisz?*

- *Kiedy byłaś w pracy... tata odprowadził mnie na boisko, a potem odszedł z taką panią o jasnych włosach. Widziałem, jak się całowali.*

Kto to był?

- *Co ty mówisz? Me wymyślaj historii! A teraz bądź cicho i skończ kolację.*

Jenny potrząsnęła głową i przetarła oczy. Poczowała jak cierpnie jej skóra.

- Co... - zaczęła mówić głośno, a potem nagle zamilkła.

To nie była fantazja czy dziwna myśl. Wiedziała. Ta scena naprawdę miała miejsce, czuła to, była pewna. Jakby to dziecko chciało jej coś pokazać.

„Co się ze mną dzieje, do diabła?”

Metaliczny głos dochodzący z głośnika pociągu obwieścił - najpierw po włosku, a potem po angielsku - wjazd na stację Cadorna.

Emocje rosły błyskawicznie. Bez porównania do odczuć doświadczanych na molo w Altonie, gdy jeszcze tysiąc wątpliwości kłębiło się w jej głowie. Teraz była blisko, jak nigdy. Spotkanie, na które czekała cztery lata.

A może czekała na nie od zawsze.

23

- *Jenny, jestem tutaj* - pomyślał Alex, gdy pociąg wjeżdżał na stację.

- *Dojeżdżam... Boję się, że poczuję się źle, boję się, że nie poradzę sobie z emocjami. Możesz się rozejrzeć wokół?*

- *Tak... widzę ludzi wychodzących z pociągu. Moje serce szaleje.*

- *Moje też za chwilę eksploduje. Właśnie wysiadłam. Jestem w połowie pociągu. Wyjdź mi naprzeciw!*

Alex nieśmiało podszedł kilka metrów. Przyspieszył kroku, badał wzrokiem wszystkie twarze. Jenny robiła to samo. Z trudem odrzucała każdą inną myśl i koncentrowała się na poszukiwaniu tej jednej twarzy. Fotografia na stronie drużyny koszykarskiej była wryta w jej głowie. Rozpoznałaby

go wśród miliona osób.

W wyobraźni Alex przywołał nagie ciało Jenny z pierwszej podróży do innego świata. To był cudowny obraz, ale szybko chciał go odpędzić.

W pewnym momencie Jenny zauważyła wśród tłumu biały kosmyk włosów Alexa. To był on, marzyła o nim i widziała go wiele razy.

Stał tam.

Po raz pierwszy oczy chłopca spotkały się z jej oczami. Rozpoznali się z odległości dziesięciu metrów. Przez kilka chwil stali nieruchomo i przyglądali się sobie.

Był w nich lęk, strach i wątpliwości, które dręczyły umysł przez cztery lata.

Emocje i radość z zakończenia, zdawałoby się, pozornie nieskończonych poszukiwań. Nagle zaczęli biec do siebie, jakby na peronie poza nimi nie było nikogo. Jakby nie istniało nic więcej na tej planecie, dla czego warto żyć. Żadne z nich nie chciało, aby rozplynęło się wyobrażenie o osobie, której od zawsze szukali. Z której powodu wątpili we własne zdrowie psychiczne.

- Alex! - krzyknęła Jenny i wybuchnęła płaczem. Potem rzuciła się w objęcia. W tym momencie po piecach przeszedł ją dreszcz.

- Jenny... - szepnął Alex.

Przycisnął ją do siebie, słowa więzły mu w gardle z emocji. Prąd przeszedł po jego ciele. Oblała go nagła fala gorąca, kiedy głaskał jej gładkie i miękkie włosy. Jenny przyłgnęła do jego ramienia.

Wydawało się, że wszystko wokół nich zamarło.

Szaleńczy ruch na ulicy przy stacji nagle się zatrzymał, jakby wszyscy raptem zapomnieli o celu swojej podróży. Jakaś dziewczyna rzuciła torbę na ziemię i popatrzyła na nich, jak zaczarowana. Ich uściski zdawały się uwalniać nieokreśloną energię, falę, która uderzyła jednakowo przechodzących tamtędy ludzi. Jakaś dziewczynka podeszła uśmiechnięta i pociągnęła Alexa za brzeg marynarki.

- Kim jesteś? - zapytał ją, kiedy matka zbliżała się, aby ją zabrać.

Nikt nie umiał powiedzieć, co się działo, ale dla większości było jasne, że coś zmieniło normalną równowagę rzeczywistości, dokładnie, w tym właśnie momencie.

Oślepiające światło wydobyło się z miejsca połączenia Alexa i Jenny. Odbijało się na triskelionie, wznecając iskry, która oświetlała i potęgowała wibrację otaczającej rzeczywistości. Stali spleceni ze sobą w samym środku eksplodując światłem i porażając nim wszystkich ludzi na stacji.

Wielu zakryło twarze rękoma, jakby chcieli ochronić wzrok. Inni znieruchomieli z zamkniętymi oczami i z zastygłymi w wyrazie zdziwienia ustami. Wszyscy w jednej chwili zapomnieli, w którą stronę szli, lub z jakiego powodu się tutaj znaleźli.

Alex i Jenny obalili granice czasoprzestrzeni i nareszcie byli razem.

Wydawało się, że jest to punkt ostateczny, ale był to tylko początek.

- Powiedz mi, z łaski swojej, czy działa u ciebie Internet.

Głos Marco zdradzał zmartwienie. Siedział na wózku elektrycznym, z coca-colą w ręku, komórką postawioną na biurku i ze słuchawką bluetooth w prawym uchu. Na wyświetlaczu komórki widniało nazwisko rozmówcy. Dwa lata starszy od niego Ricky Horeses, też był obytym hakerem, z którym Marco dzielił swoje doświadczenie informatyczne. Mieli do siebie zaufanie od czasu, gdy razem włamali się do sieci danych, ważnego operatora telefonii komórkowej. Istniał między nimi rodzaj niepisanego paktu - ja nie żartuję z ciebie, ty nie żartuj ze mnie.

- Nie - odpowiedział Ricky. - Od rana próbuję. Wydaje się, że to nie jest odosobniony przypadek.

- Numer pomocy technicznej...

- ...jest zablokowany, wiem.

- Ricky, w jakim sensie nie jest to przypadek odosobniony?

- Byłem wcześniej w banku i nie pracowały terminale. A filia jest po drugiej stronie miasta względem mojego domu. To znaczy tego, gdzie teraz jestem.

- Psiakrew... co się tu do diabła dzieje?

Marco pozostał ze wzrokiem wbitym w pustkę i słowami profesora Beckera, które nadal krążyły mu po głowie. „Wszelkie światy zanikają. Dzień końca jest bliski...”

- Zadzwoń do mnie, jak tylko będziesz miał jakieś wiadomości, okej?

- Dobrze, Marco. Potrzebujesz czegoś? W twojej sytuacji...

- ...nie potrzebuję niczego, dzięki. Tylko tego, żeby wróciła ta przeklęta sieć.

Alex i Jenny wyszli ze stacji szybkim krokiem, trzymając się za ręce, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie. Dla nich obojga taki kontakt fizyczny oznaczał pewność, że to, czego doświadczali, było realne. Że nie jest to wytwór ich wyobraźni.

Ich splecione w dotyku palce były ważniejsze od każdego słowa, ważniejsze od wszelkich możliwych wyjaśnień.

W pewnym momencie Alex odwrócił się do Jenny i przyjrzał się jej z uwagą.

- Ileż czasu czekałem na to, żeby popatrzeć ci w oczy... bez tracenia kontaktu z tobą, bez budzenia się za każdym razem w moim świecie.

Jenny uśmiechnęła się. Jej oczy błyszczały. Dotknęła ręką jego twarzy, szukając zarysów.

- Bałam się, że zwariowałam. Teraz nie ma to nawet znaczenia. Jeżeli będąc wariatem tak się tego doświadczają, to mnie to odpowiada.

Chłopak i dziewczyna zamilkli na kilka sekund. Miasto wokół nich odzyskiwało zwykłe szaleństwo, ale pozostało coś z magicznej chwili pierwszego kontaktu. Atmosfera, drżenie, które trzymało ich razem, jakby byli jednością, jakby byli sercem jakiegoś wymiaru, należącego tylko do nich.

- Nie wiem, jakie będzie teraz nasze życie... - zastanawiał się Alex. - Nie wiem, czego mamy oczekiwać...

- Nie oczekujemy niczego. Jesteśmy razem. To wszystko, czego chciałam. Reszta mnie nie obchodzi.

Alex uśmiechnął się, jakby chciał potwierdzić słowa Jenny. Przecież trzymał ją za rękę i szli razem w tym samym świecie.

Odczucie kroczenia po alternatywnym Mediolanie było bardzo dziwne. Większość ulic wydawała się identyczna, ale przed niektórymi budynkami Alex pytał sam siebie, czy widział je już kiedyś, czy też były wynikiem innego biegu zdarzeń.

- Ale ty... mówisz po włosku. Jak to możliwe? - zapytał Alex, kiedy przechodzili przez skrzyżowanie.

- Moja mama urodziła się i dorastała w Rzymie. Mówi ze mną po włosku od dziecka.

- Byłaś tutaj już kiedyś? - ponaglił.

- Ja... nie wiem. Nie pamiętam. Ale wydaje mi się, że rozmawiam z tobą od zawsze.

- Nie do wiary, ulice są te same... ale tej kamienicy nigdy nie widziałem - powiedział

Alex, kiedy przyglądał się z daleka drapaczowi chmur. Miał kształt wydłużonej litery C i składał się z licznych przeszkleń, które jak gigantyczne lustro odbijały otoczenie. Był wyższy od budynków, jakie Alex znał w *swoim* Mediolanie...

- Co to znaczy? To jest twoje miasto.

- Niezupełnie. Teraz muszę ci wszystko wytłumaczyć. Zabrzmi to absurdalnie, na początku nawet ja w to nie wierzyłem.

- O czym ty mówisz? Dla mnie już i tak to wszystko jest absurdalne. Przejechałam pół świata, żeby...

- Żyję w wymiarze równoległym.

Alex opowiedział Jenny to, co wiedział o Wszechświatach dzięki teoriom jego przyjaciela Marco i profesora Beckera. Zdawał sobie sprawę, że dziewczynie mógł się wydawać wariatem, ale nie miał innego wyjścia. Szczerze mówiąc w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin nie przywiązywał już wagi do tego, co było do niedawna granicą między normalnością a szaleństwem.

- Alex, trudno mi już przyjąć... to wszystko. - Jenny rozłożyła ramiona, żeby wskazać drogę, budynki, rzeczywistość wewnętrzną. - Ale to, co mówisz, dla mnie nie ma żadnego sensu, ja...

- Wiem, że to wydaje ci się absurdalne, dla mnie też. Problem w tym, że ta absurdalność zaczyna nabierać sensu, zwłaszcza że przyprowadziła mnie do ciebie. Jenny, wierzę, że możemy podróżować poprzez wymiary Wszechświatów. Wierzę, że jesteśmy wyjątkowi i że nam jest pisany inny los. Nasz umysł... jest kluczem.

- Przepraszam, co powiedziałaś?

- Nasz umysł jest kluczem.

Jenny słyszała już te słowa. Nie umiała powiedzieć, gdzie i kiedy, ale należały do jej przeszłości. Nagle pomyślała o tym, kiedy obudziła się w czymś, co przypominało salon domu, w którym kobieta, która wydawała się jej matką, powiedziała, że jej ojciec nie żyje. Potem przysła jej do głowy jej klasa z nieznaną profesorką i kolegami, których nigdy wcześniej nie widziała. W końcu jeszcze raz zobaczyła obrazy ze snu, jakie miała w samolocie, kiedy ponownie znalazła się w domu dziadków, którzy jeszcze żyli. Były to doświadczenia tak intensywne, że trudno było odróżnić sen od jawy. Czy *to* miał na myśli Alex?

- Tak - odpowiedział, gdyż odebrał pytanie sformułowane tylko w myślach Jenny. Przez moment wydawała się zdziwiona. Potem jasność myśli Alexa, pewność i przekonanie chłopaka zaczynały wypełniać jej umysł, jak światło, które nagle przenika przez okno. Zauważył to i mówił dalej.

- Myślę, że zostało niewiele czasu - powiedział bez ogródek, idąc w stronę Corso Venezia.

- Nie umiem powiedzieć dlaczego i nie jest mi wcale łatwo wytłumaczyć ci, jak dotarłem do tej informacji. Ale wyraźnie jesteśmy w niebezpieczeństwie.

Jenny popatrzyła na niego zaniepokojona.

- A więc kim jesteśmy? Dlaczego nam się to wszystko przydarza?

- Nie wiem. Wiem tylko, że musimy znaleźć Pamięć, zanim będzie za późno... ale ja nie wiem, co to jest ani gdzie jej szukać.

- Pamięć?

- Nigdy nie słyszałaś o takim miejscu, prawda? - zapytał Alex. Jenny nagle zatrzymała się,

puszczając rękę chłopca. On odwrócił się i spojrzał na nią pełen lęku.

- Alex, zaczynam się denerwować. Boję się. I nie wiem, o czym mówisz. Za późno, *na co?*

Zbliżył się, pogłaskał ją po włosach, wyciągnął ramiona i wziął ją za ręce.

- Jenny, ja też tego nie wiem, ale jest rzeczą oczywistą, że nie możemy udawać, że nic się nie dzieje. Widziałaś to, co się stało wcześniej na stacji?

- Tak - odpowiedziała z błyszczącymi oczami, wbijając wzrok w chłopca, o którym zawsze marzyła. Miała wątpliwości, czy naprawdę istnieje, sądziła, że jest szalona. On mimo to ciągle jej szukał, a teraz ją prosił o następny, bezwarunkowy akt zaufania. - Wydawało się, że czas się zatrzymał. Coś nowego powstawało... jakaś energia,

- Nie jesteśmy szaleńcami, nawet jeśli ktoś mógłby nas za takich uważać, gdyby słuchał tych słów. To wszystko prawda.

- Ale przypuścimy nawet, że ty żyjesz w wymiarze alternatywnym, to jak tutaj przyjechałeś?

- Umysłem. To nie ciało się przemieszcza. Nie jestem w stanie tego wytłumaczyć... To tak, jakby zamknąć oczy w jednym wymiarze, aby przejść między dwoma światami poprzez wir i obudzić się w innej rzeczywistości. Kiedy ponownie otwierasz oczy, jesteś swoim *alter ego*. Tego doświadczyłem. Obudziłem się w szatni w mojej szkole, tu, w twojej rzeczywistości. Może także i tobie się to uda.

Jenny jeszcze raz szybko zobaczyła po kolei: portret Connora, klasę z nieznanymi kolegami i dom dziadków.

- Może już mi się udało.

Brama do ogrodów publicznych Porta Venezia była otwarta. Zdecydowali się wejść. Kobieta w futrze, która trzymała na smyczy pudelka, zmierzyła ich wzrokiem przy wejściu. Jenny oczarowała aleja drzew, wiodąca do serca parku. Po lewej stronie znajdował się rząd ławeczek, z których dwie były wolne. Trzymając się za ręce, podeszli do najbliższej i usiedli.

Każde z nich potrafiło czytać w myślach drugiej osoby, tak jak to zazwyczaj odbywało się przez te wszystkie lata podczas komunikacji telepatycznej. Nie trzeba było otwierać ust, żeby rozmawiać. Ale dla Alexa najwspanialsze było to, że mógł usłyszeć wreszcie na żywo brzmienie jej głosu. Delikatnego i ciepłego.

- Nie wiem, co to znaczy, ale dziś rano przydarzyło mi się coś dziwnego - jakbym czytał ludzkie myśli... - zwierzył się Alex, dzieląc się spostrzeżeniem, które nie dawało mu spokoju.

- Mnie też się to zdarzyło. W pociągu. Dziecko wpatrywało się we mnie tak, jakby mi opowiadało swoje wspomnienie.

- Pojawiły ci się w głowie obrazy, tak?

- Właśnie. Jakby to była scena z mojej przeszłości, a nie z jego.

- To jest niewiarygodne. Marco powiedział mi o tym. Becker miał rację... uwalniamy jakąś moc.

- Ale ta Pamięć, o której mówiłeś, zakładając, że istnieje... Nie wiemy nawet, od czego zacząć poszukiwanie, prawda? Ani dlaczego ten człowiek tak ją nazywa.

„Odkryjemy ją” - pomyślał Alex, ujmując dłonie dziewczyny. Jenny opuściła wzrok i z uśmiechem zarzuciła mu ramiona na szyję.

Chłopiec przybliżył się do niej coraz bardziej, aby móc śledzić jej wzrok. Gdy Jenny podniosła powieki, ich oczy spotkały się.

Niekończąca się chwila... Alex poczuł się nieco zagubiony.

Wokół nich nie istniały już ulice, domy, miasto. Była jedynie pustka z nimi pośrodku. Usta zbliżyły

się, musnęły, palce rąk splotły się. Lodowate powietrze czerwieniło jej policzki i szczypało jego twarz, gdy połączył ich gorący pocałunek.

Zbliżył delikatnie dłoń do szyi Jenny. Palce dotknęły naszyjnika, na którym zawieszony był triskelion. Alex otworzył oczy, utkwiał wzrok w magicznym wisioru i przypomniał sobie, że ten sam symbol należał do małej Jenny - zmarłej w szóstym roku życia, co miało miejsce w jego wymiarze.

- Ten wisiorek... - powiedział, bo pomyślał o wizji, jaką miał w salonie domu Thompson - ...zawsze go nosiłaś, tak? Od dziecka?

- Należał do mojej babci, to był prezent od dziadka. Kiedy któregoś dnia powiedziałaś mi, że wiesz o triskelionie, zrozumiałam, że nie byłeś tylko moją halucynacją.

- Absolutnie nią nie jestem... - Alex uśmiechnął się.

Jenny odczekała chwilę, kokietując go, a następnie poddała się:

- Wspaniale jest cię całować... nie masz pojęcia, ile razy o tym marzyłam. Nie mogę uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Alex uśmiechnął się, pochylił głowę i podniósł wzrok.

- Jenny, szukamy się od zawsze - powiedział przed następnym pocałunkiem.

Jenny oparła głowę o ramię Alexa i otworzyła oczy. W odległości kilku kroków od nich grupa osób wchodziła do konstrukcji w kształcie kopuły.

- Dokąd oni idą? - zapytała. Alex odwrócił się.

- Do Planetarium... Jenny uśmiechnęła się.

- To gwiazdy zawsze mnie prowadziły.

- One zaprowadziły mnie do ciebie - dodał Alex, wstając.

- Co robisz? Dokąd idziemy? - zapytała Jenny.

- Oglądać gwiazdy, co? - odpowiedział z uśmiechem, prowadząc ją w stronę Planetarium.

Tablica w holu przed kasą informowała: KIERUNEK - GWIAZDY - PROJEKT SZKOLNY 2014 - WSTĘP WOLNY. Pod napisem przedstawiono w powiększeniu świetlne, białawe pasmo Drogi Mlecznej, które przecinało na ukos sklepienie niebieskie.

Wewnątrz ludzie rozpięchli się po sali, a Alexa opanowało dziwne poczucie obcości i zagubienia. Nie mógł pojąć, czym było to spowodowane. Jenny szybko dostrzegła rząd czerwonych krzeseł ustawionych w kształcie koła, żeby wszyscy widzieli stojącego pośrodku prowadzącego. Następnie wybrała dwa miejsca, które wydawały się bardziej odosobnione i wzięła Alexa za rękę. Sala mogła pomieścić do trzystu osób, ale tamtego dnia było ich czterdzieści. Jenny usiadła i spojrzała na chłopca o promiennych oczach.

Kiedy zgasły światła, objął ramieniem Jenny. Publiczność mogła kontemplować rozpostarte nad sobą sklepienie niebieskie.

Prowadzący zajął miejsce i poprawił mały mikrofon przypięty do klapy marynarki.

W tym momencie Alex przypomniał sobie wszystko.

-Już tutaj byliśmy... - powiedział szeptem, zamykając oczy i wydobywając z pogrzebanej przeszłości wydarzenie bez precedensu, które od kilku minut układało się w sekwencję *deja vu*.

W tym wspomnieniu obecny był zarówno on, jak i Jenny. Ale kontury były mgliste, ludzie wydawali się bardzo duzi i patrzyli na nich z góry. Gwiazdy były jedynie płataniną nieznanych światła, a niektóre dzieci hałasowały po przeciwnej stronie sali i zagłuszały słowa prowadzącego. Wyjaśnienia mężczyzny trudno było zrozumieć, a temat prelekcji był nudny.

Alex spróbował odnaleźć się w tym wspomnieniu. Nagle stało się ono tak wyraźne, tak dobrze zarysowane, że można je było przeanalizować jak fotografię w starym albumie. Jenny ścisnęła jego rękę. Odwrócił się w jej stronę. Z uniesioną ku górze głową, usłyszał:

-Tę znam, to Andromeda. Mój tato ciągle mi opowiada historie gwiazd...

Alex próbował dostrzec swoje ciało, ale wokół panowała ciemność. Tylko sklepienie niebieskie wysyłało słabe światło i padało na ich głowy. Ale to wystarczyło, żeby zrozumieć, że zarówno ona, jak i on tego dnia nie mieli więcej niż cztery lata.

Byli dwójką dzieci, trzymali się za ręce, siedzieli w tym samym Planetarium, w którym przebywali teraz.

„Ale w innym zakątku Wszechświata... - pomyślał Alex, jak tylko otworzył oczy. - Byliśmy w moim wymiarze pierwotnym. I była w nim Jenny, która potem w szóstym roku życia...”.

Zatrzymał się. Spróbował wszystko wymazać z pamięci. Dziewczyna była obok i mogła słyszeć każdą jego myśl. Nie miał najmniejszego zamiaru ujawnić jej, że w rzeczywistości, z której pochodził, ona zmarła dziesięć lat temu.

„Myśl o czymś innym, dalej, myśl o czymś innym”.

Na szczęście Jenny oglądała gwiazdy pojawiające się na ekranie Planetarium i niczego nie zauważyła, ale ten wysiłek wywołał niespodziewane drżenie, które przeszło przez jego plecy jak zimny dreszcz. Jego głowa opadła, podczas gdy ciało trzymało się sztywno. Wydawało się, jakby zasnął, tymczasem usiłował oddalić ostatnie wspomnienia, aby uniknąć dzielenia ich z Jenny.

Wtem umysł Alexa został wessany przez wir do tunelu emocji, obrazów i nierozróżnialnych dźwięków. Daleko od Jenny, daleko od tego świata. Kiedy opuścił spleciony kalejdoskop, otworzył oczy próbując ponownie odnaleźć się w otaczającej go rzeczywistości. Wystarczyły dwie minuty. W swoim wymiarze opuścił ciało na plaży w Melbourne.

Jednak teraz wokół niego nie było piasku. Nie było oceanu.

„Gdzie ja, do diabła, jestem?”

24

Rozejrzał się wokół.

Znajdował się na ulicy, a właściwie na prawie pustym placu, podobnym do tego, który w jego rzeczywistości od kilku lat był boiskiem koszykówki podlegającym gminie. Od czasu do czasu spotykał się tu z chłopcami z innych klas, mimo ostrzeżeń trenera, który zakazał rozgrywania meczów towarzyskich w mieście. Zawodnicy nie mogli ryzykować kontuzją, a te mogły mieć katastrofalny wpływ na sezon.

Alex schylił głowę i przyjrzał się swojemu ciału.

Miał na sobie dzinsowe spodnie i podartą koszulę. Przejechał ręką po głowie i poczuł, że jest ogolona na zero. Z tylnej kieszeni spodni wyjął portfel. W środku znajdowały się banknoty, których nie był w stanie rozpoznać, oraz kilka dokumentów. Zobaczył swoje zdjęcie w dowodzie osobistym, pod którym widniało nazwisko Karl Weser.

Zagubiony i wykończony instynktownie szukał jakiejś informacji o swoim alternatywnym życiu tak, jak w szatni. Podejmując ten wysiłek, ruszył w drogę. Wszedł na jakąś ulicę i

zorientował się, że prowadzi w kierunku wiaduktu. Hałdy gruzu, zgromadzone wokół, tworzyły scenię jak po wybuchu bomby. Alex zauważył kilka szczelin, z których wydobywał się dym, jakby asfalt pękł w wyniku gwałtownego trzęsienia ziemi. W dali płonęły zaparkowane samochody.

„To jakby moje miasto..., ale w jakim stanie?”

Alex zaczął sobie coś przypominać na temat alternatywnej tożsamości. Nagle dotarły do niego chaotyczne informacje o wojnie domowej, starciach na ulicach, zamachach i masakrach. Oczyma wyobraźni ujrzał Mediolan ogarnięty rewolucją, która wstrząsnęła miastem i obaliła władzę, mordując większość przedstawicieli klasy politycznej. Kiedy przechodził przez most, przywołał pamięć zdarzenia, że w Rzymie spalono Watykan. To, czego dowiedział się o świecie w ciągu tych kilku minut, było - łagodnie mówiąc - szokujące. Miał ochotę uciec, ale nie wiedział dokąd. W oddali usłyszał głosy

Ktoś krzychał. Alex odwrócił się, ale nie było żywej duszy. Całun dymu utrudniał widoczność. Za jego plecami majaczył niejasny zarys mostu - wydawał mu się podobny do tego przy stacji Lambrate.

Spomiędzy kurzu i pyłu wyłoniła się horda ludzka i maszerowała w jego kierunku. Wszyscy byli ubrani na czarno i zakapturzeni. W rękach trzymali strzelby, kije, pistolety - co kto znalazł. Słysząc było trudne do rozróżnienia okrzyki. W jednej sekundzie krew zastygła mu w żyłach.

Bez chwili namysłu zaczął uciekać. Był przed nimi przynajmniej dwieście metrów. Raz po raz odwracał się, żeby sprawdzić, czy armia go nie dogania, ale wydawało się, że odległość pozostawała wciąż taka sama. W pewnym momencie ujrzał schody prowadzące na niższy poziom - jakby wejście do metra, mimo że nie oznaczone. Alex pamiętał, że przejście podziemne przecinało plac i wychodziło na stację Lambrate. Jak tylko znalazł się na dole, zdał sobie sprawę, jak naprawdę wyglądała sytuacja w równoległym wszechświecie - podziemny tunel usłany był dziesiątkami trupów.

Gdziekolwiek spojrzął, widział okaleczone, oszpecone i zmasakrowane zwłoki ludzkie. Leżały w całym pasażu. Tymczasem głosy zbliżały się coraz bardziej. Horda prawie go dogoniła, najszybsi byli już na schodach. Alex zaczął się trząść i pocić. Sparaliżowane nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Był wystraszony. Ukląkł, przygotowany na najgorsze.

Zamknął oczy. Na moment spróbował się odizolować i pomyśleć o Jenny, o tym, jaka była piękna. Wyobraził sobie jej oczy. Spróbował ożywić ich pierwszy pocałunek. Jeszcze raz na krótko ujrzał obrazy z tej niewiarygodnej podróży, która zaprowadziła go na drugi koniec świata, a potem w nieznanym wymiarze, żeby ją spotkać. Nagle poczuł czyjąś rękę na ramieniu.

- Alex, obudź się - szepnęła Jenny.

Głowa chłopca była przechylona. Wykładowca wyjaśniał pochodzenie plam słonecznych, gdy Alex z trudem tworzył oczy. Na sali panowała ciemność. Ręka Jenny wciąż znajdowała się na jego ramieniu.

- Nareszcie... Co ci się stało? - wyszeptwała dziewczyna.

- Kim... kim jesteś? Czego chcesz? - zapytał zamiast odpowiedzieć, rozciągając mięśnie szyi, jak przed treningiem.

Jenny cofnęła się zdziwiona.

- Przepraszam, jak to kim?

- Gdzie jestem?

- Alex... to ja, Jenny. Jesteśmy w Planetarium. Zasnąłeś.

- Och, och, chwileczkę. Była lekcja wychowania fizycznego, graliśmy, potem poszliśmy się przebrać...

- O czym ty mówisz? Żartujesz?

Wstał zdenerwowany. Wykładowca przerwał na chwilę prelekcję, bo chłopiec przemycił między siedzeniami, opuszczając salę. Jenny podążyła za nim. Dogoniła go, gdy był już na zewnątrz kopuły obserwatorium.

-Możesz mi wytłumaczyć, kim jesteś i czego ode mnie chcesz?! - krzyknął Alex, odwracając się.

W wyrazie twarzy Jenny dominowało oszołomienie i przerażenie.

- Czy to możliwe, że... Byliśmy tu razem, nie pamiętasz? Na tej ławce - wskazała ruchem głowy. - Także...

- Nie znam cię. Ostatnia rzecz, jaką pamiętam, to ta, że przebierałem się w szatni przed powrotem do klasy na ostatnią lekcję. Teraz budzę się w Planetarium w towarzystwie dziewczyny, która twierdzi, że mnie zna. Co mi zrobiłaś? Ktoś dał mi narkotyk? Co się stało?

Alex nagle zaczął się szybko oddalać. Przeszedł przez bramę wejściową do ogrodów przy Porta Venezia.

-Alex, proszę cię... nie możesz mi tego zrobić - krzyknęła Jenny.

Nawet się nie odwrócił.

W tym momencie odezwał się dźwięk pierwszej syreny.

Dochodził z Placu San Babila i był jak jęk, który rozchodzi się wokół. Przyciągał zaciekawionych ludzi, którzy z ogrodów zaczęli wylewać się na chodnik. Po trzech donośnych sygnałach rozległ się metaliczny głos, pochodzący prawdopodobnie z głośnika:

-Obywatele proszeni są o powrót do swoich domów, zgodnie z zarządzeniem władz. Proszę zachować spokój i pozostać w swoich mieszkaniach. Od godziny siedemnastej tego wieczoru ogłasza się godzinę policyjną. Powtarzam...

Ludzie patrzyli na siebie zdziwieni. Niektórzy wysłuchali ostrzeżenia dwa, trzy razy, następnie pospiesznie udawali się w stronę metra przy stacji Palestro. Na drodze tworzyły się grupy ciekawskich, którzy usiłowali dowiedzieć się, co się stało.

Jenny, stojąc nieruchomo, obserwowała wypadki.

Nikt nie rozumiał powodu podobnego obwieszczenia, ale twarze wielu osób wyrażały lęk. W ciągu tych kilku minut potrzebnych do opuszczenia ulicy, Jenny słyszała, jak mówiono o wojnie, ataku terrorystycznym, wirusie pandemicznym oraz innych katastroficznych wydarzeniach. Nikt nie znał odpowiedzi, zaś każdy snuł fantastyczne domysły.

Ruch zupełnie zamarł. Jenny poszła w stronę prawie pustej Alei Buenos Aires. Wszyscy skierowali się do domów, jak nakazały władze.

Nie miała pojęcia, co ma robić ani dokąd iść. Wiedziała tylko,

że musi znaleźć miejsce, w którym może się schronić. Poruszała się w nierealnej ciszy, przerywanej tylko przez syrenę, po której następował komunikat. W pobliżu Placu Lima, po drugiej stronie ulicy, zobaczyła grupę wojskowych. Zatrzymała się. Jeden z nich na jej widok machnął karabinem maszynowym.

-Dziewczynko, słyszałaś zarządzenie? Wracaj zaraz do domu!

„Ale ja nie mam tutaj domu” - pomyślała Jenny, nie wiedząc, co ma odpowiedzieć.

-Wyrażam się jasno? Przyjmij moją radę, wracaj do rodziców, bo za chwilę będzie koniec świata.

Jenny skinęła głową, nogi jej drżały.

-Dobrze, dobrze... - odparła, zmieniając drogę. - Idę do domu. Mieszkam tu blisko.

Wojskowi wrócili do rozmowy, dając jej spokój.

„A teraz, do cholery, dokąd mam pójść?” - zapytała samą siebie, gdy weszła w wąską ulicę. W głębi zauważyła świetlny napis na jakimś barze.

-Hej, przyjacielu, chcesz być zmasakrowany? Uciekajmy stąd!

Alex podniósł wzrok i zobaczył ciemnoskórego chłopca. Był podobnie jak on ogolony na łyso, w ciepłym ubraniu i dżinsach. Nieznajomy złapał go za rękę, pomagając mu wstać. Razem rzucili się do ucieczki. Szybko przebyli tunel, biegnąc wśród stosów trupów jak w mrozącym krew w żyłach dreszczowcu czy grze video. Plamy krwi były wszędzie. Biegnąca za nimi zbita masa ludzi wypełniała tunel. Co dziesięć lub piętnaście sekund ludzie intonowali żałobne pieśni i komentowali wydarzenia. Alex próbował podsłuchać ich rozmowy, ale szybko zorientował się, że nie mówili po włosku, tylko w jakimś twardym, północnym języku. Był prawie pewny, że to niemiecki.

Kiedy Alex i ciemnoskóry chłopak, przeskakując po trzy schody, znowu wyszli na wolne powietrze, nieznajomy kiwnął na niego ręką, pokazując kierunek ucieczki. Znaleźli się na stacji benzynowej, pod żółto-czerwoną tablicą świetlną z napisem KRAFT-GAZ. Biegiem wślizgnęli się do małego sklepiku, w którym zastali zniszczone półki, porzucane akcesoria do telefonów komórkowych, dezodoranty do samochodów oraz roztrzaskany komputer. Kasa była otwarta i opróżniona, a to, co zostało z produktów, leżało rozrzucone na ziemi.

- Co się, do diabła, dzieje w tym mieście? - krzyknął nagle Alex. Jego towarzysz, schylony, szukał czegoś pod ladą.

- Nazywam się Jamil. Ty też jesteś z naszych, prawda?

- Z naszych, *których*? Ja...

Jamil wychylił głowę spod mebla, w którym myszkował, i przyjrzał się Alexowi z miną inkwizytora.

- Jesteś Włochem..., czy tak? Alex bał się odpowiedzieć.

- Co za pytania mi zadajesz? Wyglądam na Chińczyka?

-Może sobie ze mnie kpisz? Jesteś *Włochem* czy nie? Udajesz, że nie rozumiesz?

Zakapturzona ludzka horda zatrzymała się blisko pomp paliwowych, człowiek wyglądający na lidera odłączył się od tłumu i wykrzykiwał instrukcje po niemiecku. Odpowiadał mu patetyczny chór wojskowych głosów.

Alex zaczął szperać we własnych wspomnieniach. Musiał znaleźć jakieś wyjaśnienie, jednak napotkał opór. Nie uzyskał odpowiedzi.

Jamil ponownie wsadził głowę pod ladę i mruczał pod nosem:

-Przecież tu był, musi tu być...

- Posłuchaj... ja... Obawiam się, że straciłem pamięć. Mógłbyś mi powiedzieć, gdzie, do diabła, jestem i co się dzieje?

- Ten zaszary kryzys - powiedział do siebie Jamil. - Nie obchodzi mnie twoja pamięć. Chcę tylko uratować tyłek. Zabijają wszystkich, krąży wieść o zamachu na papieża, a teraz chcą wypędzić wszystkich Włochów.

- Ale dlaczego Włochów?

- Włochów! Neutralnych, tak nazywają takich jak ja i ty. Co ci będę mówił? Pozwól się zabić, zresztą to i tak tylko kwestia czasu. - O, jest, znalazłem go! Wiedziałem, że tu był!

Alex znieruchomiał gdy Jamil wyciągał granat i położył go obok dziurawego monitora.

- Dlaczego wszyscy mówią po niemiecku?

- A w jakim języku mają mówić? Jesteśmy w Mediolanie, kochany, tak czy nie?

- I w Mediolanie mówi się po niemiecku?

- Po niemiecku i po włosku. Od ponad sześćdziesięciu lat.

Jamil potrząsnął głową, następnie rzucił wzrokiem na to, co się działo na zewnątrz sklepu. Lider grupy rebeliantów zebrał towarzyszy szykując się do ataku.

Alex rozejrzał się wokół. Nie było nawet ubikacji, w której mogliby się schować. Żadnej drogi ucieczki. A cały ten wywód kolorowego chłopca był bezsensowny. Mógł mieć sens tylko wtedy, gdyby w równoległej rzeczywistości Wszechświata, druga wojna światowa zakończyła się inaczej. Zwycięstwem Niemców. Jamil uśmiechnął się szyderczo, mrużąc prawe oko. Następnie wziął granat i wyszedł ze sklepiku.

Alex widział go przez okno i modlił się, aby nie zrobił tego, co, jak się wydawało, zamierza.

- Macie wy, podle skurwysyny! - krzyknął pełnym głosem, odciągnął zapalnik i rzucił granatem w stronę rozwścieczonego tłumu, zostając tylko z zawleczką w ręce.

Alex skamieniał.

Zaraz po wybuchu rozległy się okrzyki bólu lub złości wśród zbuntowanych żołnierzy, które nakładały się na siebie i zamieniały w ogłuszający wrzask. Alex wyszedł ze sklepiku i natychmiast skierował się na prawo, za dumnym i triumfującym Jamilem. Kolega najwyraźniej był zadowolony ze spektaklu. Rzucił się do ucieczki, lecz mimo chmury dymu powstałej w wyniku eksplozji, nie umknął uwadze żołnierzy.

Kilku z nich go dostrzegło i zaczęli pościg. Przeskoczył rząd krzewów, jakby były przeszkodą na torze atletycznym i jak szalony rzucił się przed siebie. Odwrócił się dopiero wtedy, gdy za plecami usłyszał serię z broni maszynowej. Daleko w tyle, ciało Jamila gwałtownie upadło na jezdnię.

Biegł ze wszystkich sił. Za nim podążało co najmniej sześciu zbuntowanych. Więksi i starsi od niego, może nie tak szybcy, ale uzbrojeni. Rozległy się strzały z pistoletu, a ktoś krzychał:

- *Wir werden dich töten*, Italiańcu! - Zabrzmiało jak groźba.

Nie minęło więcej niż kilkanaście sekund, gdy jeden z pocisków ugodził go w udo, wywołując rozdzierający okrzyk bólu. Czuł, jak coś wdziera się w zwoje nerwowe i pali się w jego ciele niczym rozżarzona żagiew.

Ścigająca go grupka natychmiast rzuciła się na niego; skręcał się z bólu na ziemi, przyciskając ranę zakrwawionymi dłońmi.

- Przeklęci! Zostawcie mnie, nic nie zrobiłem! – wystraszony krzyknął przez łyż.

Sześciu zakapturzonych ludzi przyjrzało mu się z zaciekawieniem. W uszach dudniła mu cisza. Następnie jeden z nich coś szepnął do swojego towarzysza, zasłaniając twarz kapturem.

W końcu wyciągnął długi nóż spod podszewki opasującej talię.

Ostrze weszło powoli i zagłębiło się w piersi Alexa. Leżąc na ziemi, czuł jak oczy wychodzą mu na zewnątrz i że oddech więźnie w gardle. Świat wydawał mu się płaski i szary Ból nogi zupełnie ustąpił. W kilka sekund wszystkie fizyczne doznania zamieniły się w zimny i mroczny uścisk.

Przed jego oczyma pojawiła się twarz Jenny, jak obraz, który zasłania niebo. Krew lała się z jego piersi i ściekała na asfalt. Sześciu napastników oddalało się. Przytłumiony i głuchy wybuch bomby był ostatnim dźwiękiem, jaki Alex zdołał usłyszeć, a odbicie słońca w falach oceanu ostatnim towarzyszącym mu obrazem.

Potem - nicość.

Nagle za plecami Jenny otworzyły się drzwi, podrywając ją z miejsca.

- Hej, ty, nie słyszałaś komunikatu? - zapytał sześćdziesięcioletni mężczyzna w fartuchu. Musiał być barmanem.

- Słyszałam, proszę pana. Właśnie idę do domu.

- Więc zejdź z mojego okna. Muszę je zamknąć. Trzeba pozamykać wszystkie.

Jenny oddaliła się bez słowa. Zaczęła biec, nie wiedząc dokąd się udać ani w jaki sposób mogłaby skontaktować się z Alexem.

Próbowała się skoncentrować, ale nie mogła. Nie słyszała już nawet własnych myśli.

Przebiegała dwie wąskie, kręte i opustoszałe uliczki, które wciskały się w środek dzielnicy. Główne aleje były niewątpliwie bardziej uczęszczane przez wojskowych. Zbyt dużo ryzykowała, wążając się tak bez celu. Szła, rozglądając się wokół. Od czasu do czasu zauważała ludzi, którzy dochodzili do drzwi i znikali za nimi. Właściciele zamykali swoje lokale. Również wszystkie okna kamieniczek były pozamykane na głucho i miały opuszczone rolety.

Kiedy przeszła obok wystawy sklepu ze sprzętem AGD, zobaczyła telewizor z płaskim ekranem, z napisem na górze FULL HD - SUPEROKAZJA. Nadawano wiadomości. Głos był wyłączony, ale napis WYDANIE SPCJALNE i obraz czołgu wystarczyły Jenny, aby zrozumieć, że wydarzyło się coś poważnego. Zaczęła biec zadając sobie ciągle to samo pytanie: „Co się stało Alexowi?”. Dlaczego jej nie rozpoznał i potraktował w taki sposób? Teraz była sama.

25

Piasek, połączony promieniami popołudniowego słońca, wylaniał się powoli. Jego przebudzeniu towarzyszyły szum rozbijających się o molo fal i powiew świeżego wiatru świszczącego w uszach. Powieki drżały mu przez parę sekund, zanim z trudem otworzył oczy. Słońce kryło się za linią horyzontu. Jego pomarańczową tarczę połykała woda, a wszystkie fioletowe, czerwone i żółte cienie, niczym pociągnięcia pędzlem mieszały się ze sobą, tworząc wspaniałą paletę barw zachodu słońca w Australii. Kiedy Alex powoli się podnosił, jakiś pies otrząsnął się z wody, wzniesając przed nim piach.

- Żyję... - wyszeptał i rozejrzał się wokół. - Żyję.

Marco przedstawił mu hipotezę światów alternatywnych, w których sprawy wymknęły się spod kontroli społeczeństwa. Ale w najgorszym ze scenariuszy nie mógł wyobrazić sobie własnego miasta doprowadzonego do takiego stanu. Spróbował odszukać w pamięci uczucie, jakiego doświadczył, gdy ostrze weszło w jego ciało. Przychodziło mu to z trudem. Bał się tego obrazu. Należało go spalić a popiół zakopać w głębinach niepamięci

Był martwy, nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Rebelianci zostawili go na ziemi, aby wydał ostatnie tchnienie, z nabojem w udzie i nożem w piersi. Umarł, ale przeżył. To nie miało sensu.

Jego pierwszą myślą po stwierdzeniu, że żyje, była konieczność odnalezienia Jenny. Wyobraził ją sobie samą w mieście, którego kompletnie nie znała. Jak miałyby wrócić do Melbourne? I co można zrobić, żeby znowu się spotkali? Musiał porozmawiać z Marco. Rozejrzał się wokół w poszukiwaniu plecaka. Leżał nadal obok niego. Z kieszeni marynarki wyjął telefon komórkowy.

- Ciągłe nie działa. Do licha!

Wszedł na schody molo i pomaszerował wzdłuż Esplanady. Zatrzymując się dopiero przy skrzyżowaniu ulic. Oparł się o pobliską palmę. Musiał zebrać myśli. Gdzieś na końcu drogi zauważył taksówkę. Pomachał ręką, aby go zauważono.

Samochód zatrzymał się i Alex wszedł.

- To the airport - powiedział zdecydowany.

Samolot do Abu Dhabi wystartował o jedenastej piętnaście z lotniska Tullamarine w Melbourne i wylądował następnego ranka o szóstej dwadzieścia pięć. Dla Alexa było to siedem godzin nieprzerwanego snu. Po wylądowaniu na lotnisku w Emiratach Arabskich wszedł do pociągu, aby dostać się na terminal, z którego miał połączenie z Heathrow. Pozostała tylko godzina i czterdzieści minut przed drugim etapem podróży.

Przetrwiał oczekiwanie, jedząc porcję pizzy obok strefy checkin i o ósmej piętnaście, zgodnie z rozkładem, wystartował do Zjednoczonego Królestwa.

Podczas lotu nie ściągnął z uszu słuchawek iPod'a. Tylko tak mógł odpocząć. Obudził się raz, kiedy hostessa linii Etihad Airways serwowała obiad złożony z gumowatego kurczaka z dodatkiem zimnego groszku, słabej kawy i torcika czekoladowego.

O dwunastej dwadzieścia samolot wylądował na ziemi angielskiej.

Połączenie z Mediolanem było przewidziane na piątą pięćdziesiąt po południu. Alex podążył wzdłuż galerii sklepów, z plecakiem na ramionach i zmęczonym wyrazem twarzy. Chciał się położyć i wyciągnąć obolałe podczas długiego lotu nogi.

„Kto wie, czy Marco odkrył coś jeszcze...” - pomyślał. Usiadł na ławeczce w strefie wi-fi. Wyciągnął nogi i oparł stopy o stół naprzeciwko. Jakiś pan w mundurze rzucił w jego stronę szybkie spojrzenie. Musiał być ze straży lotniska i chyba nie podobała mu się pozycja przyjęta przez chłopaka. Jednak Alex nie poruszył się. Był wykończony. W oddali zobaczył oświetloną szybę biura podróży. Fotografia szczęśliwej rodziny wisiała pod gigantycznym napisem: GO TO EUROPE! NOW!

Wyglądało to jak wiadomość skierowana do niego.

Przed bramą swojego domu Alex wziął głęboki wdech. Nie wiedział, jak zareagują rodzice, gdy wejdzie do domu, jak gdyby nigdy nic.

Była pora kolacji, Valeria i Giorgio z pewnością byli w środku.

Z bramy wyszła jakaś dziewczyna i zostawiła ją otwartą. Alex podziękował i wszedł po schodach.

Przed wejściem modlił się, żeby rodzice nie byli zbyt zdenerwowani. Potem nacisnął dzwonek.

Czekał, aż ktoś otworzy mu drzwi. Z windy, pomiędzy piętrami wszedł starszy pan. Staruszek wyjął z kieszeni płaszcz przeciwdeszczowego klucze i otworzył drzwi swojego mieszkania. Wcześniej rzucił w jego stronę pytające spojrzenie.

Alex został sam. Drzwi, naprzeciw których stał, otworzyły się.

- Jesteś przyjacielem Paolo? - zapytała ciemnowłosa kobieta w fartuchu.

Alex popatrzył na nią z zakłopotaniem, następnie rzucił okiem na wizytówkę przy dzwonku.

- Mamcini... - powiedział, zanim ponownie odwrócił się w stronę kobiety. - Przepraszam, chyba pomyliłem piętro.

- Gdzie mieszkasz?

- Na drugim.

- Tu jest drugie piętro. Nie pomyliłeś przypadkiem drzwi? Alex opuścił wzrok, ukrywając swoje zmieszanie.

- Przepraszam panią... coś pomyliłem. Odwrócił się i zbiegł po schodach na parter.

Na zewnątrz budynku chłopiec sprawdził numer: 22, Aleja Lombardia. Jego dom. Od szesnastu lat.

„Nie, znowu...”

Alex rozejrzał się wokół.

Wszystko było takie, jak zostawił. To samo miasto, ta sama droga, którą przemierzał tysiące razy. Ale w jego domu mieszkała inna rodzina.

„Wróciłem na plaży do mojego ciała... podniosłem się, leciałem trzema samolotami, by tutaj dotrzeć. Na miejsce, z którego wyruszyłem. Co to wszystko, do cholery, znaczy?”

Wkurzony do granic możliwości pobiegł w stronę Placu Piola.

Mieszkanie Marco było oddalone tylko o kilkaset metrów, tuż przy Alei Gran Sasso.

Po dwóch minutach stał przed domofonem.

- Tak? - odezwał się głos.

- Marco, to ja!

- Alex, cześć! Co za niespodzianka... Wchodź.

Brama się otworzyła i Alex wszedł, przez ułamek sekundy odczuł jakiś niepokój.

Wydawało się, że przyjaciel wcale nie czekał na jego powrót. Na pierwszym piętrze drzwi do domu Draghi były lekko uchylone. Alex pchnął je. Jak tylko przekroczył próg, doznał uczucia obcości. Tam, gdzie zazwyczaj stał stół z trzema komputerami, zobaczył sofę.

Zniknął niebieski neon zawieszony kiedyś na ścianie, a w jego miejsce pojawiła się komoda, na której stały liczne fotografie oprawione w ramki. Przyjaciel dołączył do niego z korytarza.

- Alex!

Widok, który zobaczył, wstrząsnął Alexem.

Uśmiechnięta twarz, ramiona rozpostarte w jego stronę, jakby chciał go objąć, ale przede wszystkim - Marco stał na własnych nogach.

- Wreszcie wpadłeś! - powiedział, ściskając przyjaciela, który niezręcznie tylko mruknął coś na powitanie. - Prawie się już nie pokazujesz. Alex nic nie powiedział, wbijając wzrok w nogi przyjaciela.

- Co ci jest? Dobrze się czujesz?

- Tak, ja...

- Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha!

- Ty... Chodzisz, więc...

- A co mam robić, klęczeć? Jestem szczęśliwy, że cię widzę, ale nie przesadzajmy! - Marco wybuchnął śmiechem i zniknął szybko w kuchni. Po chwili wrócił z dwiema puszkami coca-coli w ręce.

- Chcesz się napić?
- Marco, mam kłopoty.
- To znaczy?
- Nie wiem, jak ci to wyjaśnić - rzekł zmieszany Alex, rozglądając się naokoło. Jego wzrok padł na jedną z fotografii stojących na komodzie.
- Przepraszam, ale... ta tutaj, to twoja mama?
- Jasne, co za pytania zadajesz? Byłeś wtedy, gdy razem zrobiliśmy to zdjęcie zeszłego roku... Dom w Toskanii, pamiętasz? Musisz zobaczyć, jak się zmienił, jest już umeblowany.

Alex zamknął oczy i poczuł, że zaraz zemdleje. Stojący naprzeciw niego chłopiec wiódł życie, które było totalnym zaprzeczeniem życia jego przyjaciela Marco.

- Co ci jest?
- Nie, nic. Posłuchaj... Jak się mają *moi* rodzice? Nie mieszkają już na Alei Lombardia?

Marco ściągnął brwi i uważnie przyjrzał się twarzy Alexa.

- Przyjacielu, zaczynam się o ciebie martwić... Straciłeś pamięć?
- Dobrze pytanie. Nawet nie wiem, jak ci na nie odpowiedzieć.
- Alex, mówisz poważnie?
- Najzupełniej poważnie.
- Twoi rodzice od pięciu lat mieszkają w Szwajcarii. Jak to możliwe, że pytasz mnie o takie rzeczy? Chcesz mi powiedzieć, że nie pamiętasz?

Marco postawił puszkę na stole.

- Miałeś wypadek? Rozbiłeś głowę?
- Nic z tych rzeczy. To jest zbyt skomplikowane, aby wyjaśnić. Chyba muszę już iść.
- Ja natomiast myślę, że potrzebujesz pomocy. Musiało ci się coś stać...
- Zostawmy to. Zapomnij o głupich pytaniach, które ci zadałem. Alex wstał i poszedł w stronę drzwi.

- Ale, jak to... - Marco znieruchomiał z puszką w ręce.
- Przepraszam, ostatnia sprawa - podjął Alex, odwracając się do przyjaciela. - Znasz jakąś Jenny?

Marco popatrzył na niego z zakłopotaniem.

-Kogo?

Alex nie odpowiedział. Szybko opuścił salon rodziny Draghi, trzasnął drzwiami i uciekł. Wpadł na ulicę pełną ludzi, kiedy naraz uświadomił sobie, że znajduje się w podróży między nieskończonymi drogami, w niezliczonej ilości Wieloświatów. Pośród tych wszystkich normalnych osób czuł się obco. Mógł podróżować, mógł jeździć wszędzie, zgłębiać każdy scenariusz.

Teraz jednak musiał odnaleźć drogę do domu.

„Nie jestem w stanie kontrolować tej przeklętej mocy”.

Alex ponownie przeanalizował wszystko to, co robił od momentu gdy był na plaży, i tego, jak został wessany przez wir, aby ponownie obudzić się w szkolnej szatni, w rzeczywistości należącej

do Jenny.

Jeszcze raz zobaczył każdy etap swej niewiarygodnej podróży. Obrazy trupów w przejściu podziemnym alternatywnego Mediolanu nadal były jak żywe i kontrastowały ze wspomnieniami pierwszego pocałunku z Jenny. A te nakładały się na doświadczenie przeżyte w Planetarium, gdzie przypomniał sobie, że w przeszłości spotkał już wcześniej dziewczynę w tym samym miejscu, lecz nie wiadomo przy jakiej okazji.

Jeszcze raz wrócił pamięcią na lotnisko Tullamarine, lot do Emiratów Arabskich i lądowanie w Anglii.

„Mediolan jest taki sam, ale życie mojej rodziny i Marco jest zupełnie inne. Nawet nie wiem, gdzie mieszkam. W moim domu zamieszkała inna rodzina, moi rodzice są w Szwajcarii, Marco chodzi! Muszę zawrócić... ale jak?”

Podniósł się z ziemi. Zegar na słupie wskazywał dziesiątą wieczór. Kilka metrów dalej parę osób spoza Europy rozmawiało głośno przy budce z kebabem.

„To musiało stać się w czasie podróży. Prawdopodobnie, gdy spałem”.

Rozejrzał się wokół i pomyślał o ważnym szczególe. Nie miał plecaka.

„To logiczne. W tym wymiarze moje *alter ego* nie ma plecaka, nie wraca z żadnej podróży. Powiesiłem go, gdy wsiadałem do metra. Plecak... gdzie go widziałem ostatni raz?”

- Oczywiście! - wykrzyknął, przyciągając uwagę tych spoza Europy. - To stało się na Heathrow!

Szedł i zbierał myśli. Musiał zaraz wrócić na Heathrow.

Zmierzał ulicą w stronę Placu Piola i zszedł po schodach do metra. Nie miał ani grosza na zakup biletu - na szczęście kabina kontrolerów była pusta. Dość daleko był tylko jeden mężczyzna w mundurze, odwrócony plecami, więc nie stanowił problemu. Alex przeskoczył bramki i udał się w kierunku peronów.

Na pociąg czekało kilka osób. Ktoś wpatrywał się nieustająco w tablicę świetlną z godzinami odjazdu, ktoś czytał książkę, ktoś niecierpliwie spacerował.

Alex przeszedł peron do końca, usiadł na ławce i zamknął się w sobie. „Wiem, dokąd mam jechać... w jakim miejscu mam się ponownie obudzić. Muszę tylko mieć zdolność kontrolowania podróży”.

Próbował przypomnieć sobie jakikolwiek szczegół, który mógłby go ponownie przenieść w myśli na Heathrow. Skoncentrował się na plecaku, który ostatni raz widział obok siedzenia, w pobliżu wyjścia. Spróbował przywołać jakąś twarz, napisy, reklamy świetlne lotniska.

Przejechały dwa pociągi, a on nadal tkwił w tym samym miejscu.

Potem nagle z meandrów jego myśli wyłoniło się spojrzenie pewnego pana. Gęste wąsy, małe oczy, wyraźna broda. Miał na sobie mundur.

„Ależ oczywiście, to była straż lotniska. Rzucił mi takie spojrzenie, kiedy oparłem stopy na stole w poczekalni”.

Umysł Alexa uchwycił się tego wspomnienia i nie pozwalał mu uciec. Czuł, że prowadzi go instynkt i nakazuje, co powinien robić. Skoncentrował się na szczegółach: czarnych butach policjanta, palce włożonej za pas. Za mężczyzną - tablica sklepu obuwniczego. I zdjęcie szczęśliwej rodziny z napisem: GO TO EUROPE! NOW!

W pewnym momencie wszystkie mięśnie Alexa zdrętwiały i jego ciało osunęło się na bok, a głową uderzył o ławkę.

Twarze, kolory, głosy i zapachy wszechświata pomieszały się z inną rzeczywistością. Wir

wessał myśl, zabierając ją stąd, z tego tak podobnego, a jednocześnie dalekiego Mediolanu. To było jak bieg z prędkością światła w tunelu pamięci, bez możliwości rozróżnienia osób i zdarzeń. Nie tylko *swoich* wspomnień, ale każdego człowieka z osobna.

Kiedy ponownie otworzył oczy - leżał.

Podniósł się, mięśnie były jeszcze obolałe i wzrok ciągle zamglony. Niektóre niejasne światła zaczynały nabierać kształtów. Pochodziły ze świetlnego ekranu znajdującego się naprzeciw niego. Napisy były w języku angielskim. Alex rozejrzał się wokół i uśmiechnął, pozwalając sobie na westchnienie ulgi. To było to miejsce, które miał nadzieję rozpoznać. Znajdował się na lotnisku Heathrow.

Dokładnie tam, gdzie zasnął tamtego popołudnia, czekając na lot do Mediolanu. Dokładnie tam, gdzie chciał wrócić.

„Chyba zrozumiałem, jak to działa...”

Nagle odwrócił się, ogarnięty potrzebą sprawdzenia, czy się nie myli. Spojrzał pod ławkę.

- Mój plecak! - krzyknął z radością.

Przeszukał worek i znalazł jedną z kanapek, jakie sobie przygotował w Melbourne. Znajdowała się w woreczku od dwóch dni i musiała być już niejadalna, ale głód przeważał. Odwinął ją i ugryzł.

Zegar cyfrowy na ścianie naprzeciw niego pokazywał drugą w nocy. Sprzątająca kobieta ciągnęła żółto-niebieski wózek, kierując się w stronę toalet. Kolory przypominały Alexowi koszulkę jego drużyny koszykówki.

„Tym razem lepiej zachować czujność” - pomyślał, gdy włączył się po opustoszałym angielskim lotnisku. Miał moc przekraczania granic między wymiarami, nie miał już co do tego wątpliwości, ale moc tę kontrolował już tylko częściowo.

Sprawdził poranne odloty. Lot do Linate był przewidziany na szóstą pięćdziesiąt. W kieszeni plecaka miał jeszcze kartę kredytową, którą dostał od Marco. Te pieniądze przeniosą go do domu.

Po obejrzeniu wszystkich sklepowych wystaw Alex wrócił do strefy załadunku i usiadł. Jego myśli natychmiast powędrowały do Jenny.

Prawdopodobnie znajdowała się jeszcze w Planetarium razem z identycznym jak on Alexem, ale tak naprawdę, to nie był on. Zadał sobie pytanie, co może się stać, kiedy alternatywny Alex się obudzi. Ten, który z całym prawdopodobieństwem - nawet jeśli nie mógł tego powiedzieć na pewno - nic o Jenny i o wszechświatach nie wiedział.

Okolo szóstej rano podszedł do kasy i zapłacił za lot, modląc się, żeby tym razem podróż odbyła się bez niespodzianek.

- Nareszcie *mój* Mediolan! - krzyknął Alex, kiedy opuszczał terminal w Linate, ale natychmiast poczuł lęk. Nie był pewny, czy jest we właściwym miejscu. Najpierw musiał porozmawiać z rodzicami. No i z Marco.

Nieco zmęczony i ciągle oszołomiony wykorzystał ostatnie pieniądze, które mu zostały, aby wziąć taksówkę aż do samego domu.

- Miejmy nadzieję, że jestem we właściwym Mediolanie... - szepnął do siebie, podczas gdy taksówkarz wjeżdżał na obwodnicę i uderzał w autoradio, które nie chciało się dostroić do jakiejś stacji, oferując na wszystkich częstotliwościach dokuczliwy szum.

Kiedy znalazł się naprzeciw bramy pod numerem 22 na Alei Lombardia, westchnął z ulgą, odczytując na domofonie nazwisko LORIA. Zadzwoił, mimo że miał klucze w plecaku.

- Tak? - odpowiedział głos matki. Nie spodziewał się rodziców w domu o dziesiątej rano.
- Mamo, to ja.
- O, Boże! Alex.

Rodzice przyjęli go z ulgą, jakby przed chwilą został uwolniony z rąk porywaczy. Jak tylko przekroczył próg domu, Valeria rzuciła się na niego, ściskając go i prawie przyduszając. Szlochała i mruzczała zadowolona coś niezrozumiałego, raz dłonią ściskała kark syna, raz gładziła mu włosy. W każdym geście wyrażały się sprzeczne emocje: ulga i radość, że syn żyje i jest zdrow, ale i rozpacz oraz złość nagromadzona w dniach oczekiwania.

Giorgio uczestniczył w scenie powitania, stojąc ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i papierosem w ustach. W jego spojrzeniu widoczny był zamęt. Czoło miał zmarszczone, wyraz twarzy kogoś, kto oczekuje natychmiastowych wyjaśnień. Valeria uwolniła Alexa z uścisku, a ojciec wypuścił dym z zaciśniętych ust, robiąc poważną minę.

- Teraz powiedz nam, gdzie, do diabła, byłeś. I nie próbuj wymyślać niestworzonych historii.

- Tak... dobrze - odpowiedział chłopak.

Kiedy porządkował plecak na podłodze, zobaczył egzemplarz „Corriere della Sera” na stole kuchennym. Był z poprzedniego dnia, a tytuł wyróżniał się ogromnymi literami: *terror nieznanego*. Zdjęcie, które przedstawiało bijatykę w parlamencie, rzucało się w oczy na całej stronie. Było poprzedzone dwiema linijkami napisanymi kursywą: *Po blokadzie Internetu wzrosło napięcie. „Rząd ma dać odpowiedź obywatelom!” - żądają tłumy. Napięcia i starcia na całym świecie.*

Alex usiadł za stołem w kuchni, podczas gdy Giorgio złapał gazetę i wymachiwał nią porywczo:

- Widzisz, co się dzieje? Jak myślisz, co czuliśmy?

- Przepraszam.

- Nie obchodzą mnie twoje przeprosiny - wykrzyknął ojciec. - Teraz mi powiesz, gdzie byłeś!

Alex spróbował uciec wzrokiem, chcąc uniknąć bezpośredniego kontaktu. Zdał sobie sprawę, że nie przygotował żadnego usprawiedliwienia. Choćby minimalnie wiarygodnego.

- Musiałem... - Alex patrzył na swoje ręce, z zaciskającymi się nerwowo palcami. - Byłem w podróży. To było konieczne.

Valeria usiadła naprzeciw syna, a Giorgio z całej siły zacisnął ręce na oparciu krzesła, które stało na honorowym miejscu przy stole.

- W podróży? Gdzie? Oszalałeś?

Ton głosu Alexa stał się łagodny. Chciał zaoszczędzić kilka sekund na wyjaśnienia.

- Nie wiem, co wam powiedzieć. Ale nie sądzę, żebym oszalał.

- No to teraz mów! - Giorgio uderzył pięścią w stół. Jego policzki poczerwieniały. Połóżnił sobie węzeł krawata i zaczął na nowo: - Albo pójdziemy przepytać twojego przyjaciela Marco! Dobrze wiemy, kto cię krył. Dzwoniłem na policję, od razu zrozumieliśmy, że za tym wszystkim stał ten świr!

- Przestań - wybuchnął Alex. Podniósł wzrok, żeby zmierzyć się ze spojrzeniem ojca. - Marco nie jest świrem. Jest geniuszem. Nie możecie tego zrozumieć, nie wiecie nic a nic.

- Rozumiemy, spróbuj jednak zrozumieć także i ty - Valeria wstała.

- Skończyłem rozmowę. Nie mam wam nic do powiedzenia.

- Musisz nam wytłumaczyć - włączył się Giorgio, dysząc ze złości. - Musisz nam to wyjaśnić lub - jak mi Bóg miły - zamknę cię w pokoju do końca roku szkolnego.

Alex milczał, wbił wzrok w próżnię, jakby chciał zignorować te ataki ze strony rodziców.

- Chcesz być twardy, co? - podjął Giorgio. - Zejdź mi natychmiast z oczu, jeśli nie chcesz mnie widzieć z podniesioną ręką.

Alex, nic nie mówiąc, podniósł się powoli. Chwycił plecak i wyszedł z kuchni. Skierował się w stronę toalety. Musiał podjąć decyzję, co dalej.

Stojąc naprzeciw lustra, wsparł ręce o brzeg umywalki i opuścił. Poczul ciężar sytuacji, która zaczynała go przerastać. Ale to był moment na poddanie się, na strach i płacz. To była odpowiednia chwila, aby powrócić do innego wymiaru.

Podniósł głowę i napotkał swoje spojrzenie w lustrze.

„Wróć do ciebie, Jenny - pomyślał Alex, kiedy woda spływała do umywalki. Obmył sobie nią twarz, jak czynił to zwykle rano, zaraz po obudzeniu się. - Wróć...” - powtarzał w myślach jakby śpiewał kołysankę.

- Czekaj na mnie, Jenny... - powiedział niskim głosem, przywołując jej obraz w lustrze.

W tej samej chwili za przymkniętymi drzwiami toalety oczy Valerii Loria błysnęły w ciemności korytarza.

Słyszała to imię.

Ona i Giorgio dobrze wiedzieli, o kogo chodziło. Alex nie mógł tego pamiętać.

Z najgłębszych zakamarków pamięci, zza zaryglowanych i niedostępnych drzwi w najmroczniejszej uliczce wspomnień Alexa - wróciła Jenny.

Chłopiec wyszedł z łazienki, w korytarzu nie było nikogo. Z plecakiem skierował się w stronę opancerzonych drzwi. Słyszał oddalone głosy rodziców, odizolowanych i dyskutujących. Zaciśnął palce na klamce i otworzył drzwi zdecydowanym ruchem. Kiedy zamknęły się za nim, wydał długie westchnienie. Następnie zbiegł po schodach i opuścił kamienicę, kierując się w stronę domu Marco.

27

- To niemożliwe.

Głos Valerii Loria zdradzał niedowierzanie i niepokój.

- Co się *znowu* dzieje? - zapytał Giorgio, osuwając się na skórzany fotel w jadalni.

- Doktor powiedział nam, że nie można wykluczyć takiej ewentualności... pamiętasz?

- Jakby to było wczoraj. Tak jak pamiętam mury naszego domu, zanim je pomalowano na biało, aby zatrzeć napisy z tym przeklętym imieniem... Jenny! Ten piekielny symbol... był wszędzie!

- Mój Boże, Giorgio. Ile to już lat minęło? Tak bardzo się modliłam...

- Dziesięć. Dziesięć lat.

- Zaczekaj na mnie. Muszę coś zrobić. Zaraz wróć. - Valeria wyszła z kuchni i z drewnianej skrzynki, zawieszanej przy opancerzonych drzwiach, wzięła małe etui, z którego wydobyła klucz z napisem: PIWNICA.

Kiedy schodziła do podziemia, lodowate powietrze silnie przenikało jej nozdrza. Wspomnienia pojawiały się jedno za drugim, wynosząc ponownie na powierzchnię historię,

którą z takim trudem wymazali z pamięci.

Valeria doskonale pamiętała tamten okres.

Alex był w pierwszej klasie podstawówki. Inne dzieci rysowały zielone krajobrazy, domy, drzewa i przerabiały słońce na uśmiechniętą buźkę. Alex malował sam w swoim pokoju, kreśląc apokaliptyczne scenariusze, płonące miasta, rozsypujące się kamienice. Kiedy go pytano, dlaczego tak rysuje, odpowiadał zwyczajnie: -Widziałem to.

Valeria przekreśliła klucz w kłódce, na którą były zamknięte drzwi od piwnicy, i weszła. Rysunki zajmowały przestrzeń w głębi, po prawej stronie. Kiedy tam doszła, w myślach wróciła do niej szczerą twarz Alexa, z białym, anielskim kosmykiem włosów, który monotonnym głosem jak w kołysance powtarzał: - Jenny istnieje, Jenny istnieje, Jenny istnieje...

Każde wydarzenie z najciemniejszego okresu ich życia rodzinnego było odnotowane w pamiętniku Valerii. Zaczęła pisać tuż po porodzie. Ukryła go, gdy tę straszną historię mieli już za sobą. Ona i Giorgio zaczęli działać z konieczności. Trzeba było zamurować żywcem monstrum, które niszczyło dzieciństwo ich syna.

Kiedy Valeria wyciągała wielkie pudło z piwnicy, Giorgio był w jadalni. Wziął stary terminarz i otworzył go na literze K. Przebiegł wzrokiem nazwy, aż znalazł to, czego szukał: Klinika Prywatna -Enrico Paoli.

W linijce pod spodem wpisany był ołówkiem numer telefonu do Siniscalco, a w cudzysłowie - „neurolog”

Giorgio usiadł na sofie, wziął telefon bezprzewodowy wystukał numer doktora.

Po kilku dzwonekach odpowiedział głos sekretarki. Chwila oczekiwania i lekarz odebrał telefon z numeru wewnętrznego.

- Proszę?

- Doktorze Siniscalco, dzień dobry. Mówi Giorgio Loria.

Po drugiej stronie telefonu odpowiedziała cisza przerywana głębokim westchnieniem.

- Dziesięć lat temu leczył pan mojego syna Aleksandra.

- Co to była za kuracja? - głos neurologa przypominał osobę, która paliła, zanim stała się dorosła.

- Przysłał nas do pana psychiatrę, doktor Moriggia.

- Ach.

Giorgio wyczuł z monosylabowej odpowiedzi neurologa, że dopiero teraz sobie przypomniał nie część, ale wszystkie bolesne okoliczności ich spotkań. Ponowna rozmowa z doktorem Siniscalco i roztrząsanie tego strasznego okresu ich życia było jak zapalenie pochodni w zapomnianym zakątku pamięci.

Migawki z przeszłości powaliły Giorgia, uderzając w niego całą siłą.

Mury domu zabazgrane sprayem. Podłoga w pokoiku Alexa, gdzie dziecko wyryło nożem trzy spiralne półksiężycy, których znaczenie Valeria i Giorgio zignorowali. Papierowa teczka z rysunkami pełnymi krajobrazów godnych galerii horroru.

- Panie Loria, jest pan tam jeszcze?

- Tak, proszę mi wybaczyć... mówiłem, pamięta pan? Przyszliśmy do pana na...

- ...terapię elektrowstrząsami - dokończył doktor.

- Tak, pamięta pan Alexa?

- Blondyn, o anielskiej twarzy, prawda?

- Tak, anielskiej... ale udręczonej.

- Jeśli mnie pamięć nie myli, terapia odniosła oczekiwane skutki.

To prawda, Alex zaczął rysować drzewa, dzieci i domy, jak wszyscy jego przyjaciele. Po leczeniu wydawało się, że wrócił do normalnego życia sześciolatniego dziecka.

- Tak, przestał wspominać o tej urojonej przyjaciółce.

- Nie posłaliście go już do doktora Moriggia czy się mylę? Wszystko wróciło do normy.

- Właśnie tak, doktorze.

- Z pana tonu wnioskuję, że problem powrócił. Jak się Alex czuje?

- Doktorze Siniscalco, boję się, że to znowu to samo, zniknął na kilka dni... poszedł jej szukać.

- Powiedział wam to?

- On nic nie powiedział, wrócił dzisiaj i odmówił wyjaśnień, ale moja żona go podsłuchiwała, kiedy mówił sam do lustra. I znowu zwraca się do tej dziewczyny. Kłopot w tym, że nie zdaje sobie sprawy z tego, o kim mówi. Niczego nie pamięta, nie rozumie, że ona istnieje tylko w jego umyśle.

- Proszę mi pomóc lepiej zrozumieć - doktor zapalił cygaro, wstał z krzesła i zbliżył się do okna w swoim gabinecie, by obserwować miasto. Na ulicach widocznych z szóstego piętra kamienicy przy via Melchiorre Gioia, panował zamęt. Sygnalizacja świetlna nie działała, ale nie było żadnego policjanta, który kierowałby ruchem. Doktor zatrzymał wzrok na kolejce zniecierpliwionych osób przed bankomatem. Niektóre wymachiwały rękami, inne wrzeszczały, a jeszcze inne zaczynały się bić.

Giorgio w tym czasie opowiedział mu, co się wydarzyło.

- Jak to możliwe, że nie łączy imienia Jenny ze swoim dzieciństwem?

- W rzeczywistości to ma sens, panie Loria. W większości przypadków terapia elektro wstrząsowa nie powoduje uszkodzeń długoterminowych, przynajmniej zgodnie z badaniami na ten temat. Jest też prawdą, że odzyskanie funkcji pamięciowych zmienia się w zależności od osoby. Wasz syn na skutek terapii elektrowstrząsami zastosowanej w okresie dzieciństwa stracił fragment pamięci dotyczący dwóch lat poprzedzających ten okres jego życia. Przynajmniej jeśli chodzi o aspekty deliryczne choroby. A więc zapomniał o koszmarach, wizjach. Usunął ze swojej pamięci także urojoną przyjaciółkę, o której ciągle mówił.

- Nie tylko o niej mówił... jej imię było w domu wszędzie. Wryte na meblach, pisał je na murach... nie ma pan pojęcia, co przeszliśmy.

- Zapewniam pana, że z racji zawodowych wysłuchuję takich historii dość często...

- Oczywiście, przepraszam. A więc, jak pan mówił, zależy to od indywidualnego przypadku.

- Tak jest. Problem, o którym mówimy, wyraźnie znów się pojawił. I zaczął się właśnie od powrotu postaci urojonej.

Czoło Giorgia pokryły zmarszczki, spochmurniał i chwilę odczekał, zanim podjął rozmowę głosem zdenerwowanym i niskim.

- Doktorze, nie chcę, żeby znowu zaczęła się ta męka. Co możemy zrobić?

Odpowiedź neurologa była bezlitosna, jak ostateczny wyrok skazujący. Wtedy właśnie do mieszkania weszła Valeria, przepychając nogą pudło przez korytarz.

- Musimy powtórzyć terapię - powiedział głos w słuchawce telefonu, a oczy Giorgia zamknęły się jak pancerne drzwi w obliczu takiej ewentualności.

- Następny elektrowstrząs - odpowiedział pogodzony, po kilku chwilach ciężkiego milczenia. Valeria wpatrywała się w niego, stojąc w progu oddzielającym jadalnię od korytarza.

Giorgio nacisnął czerwony przycisk telefonu bezprzewodowego i odłożył go na komodę, z której wyjął terminarz. Wstał, podszedł do żony i przytulił ją do siebie, próbując pocieszyć.

Kiedy ją obejmował, wpatrzony w pustkę, oczyma wyobraźni widział napisy na murze i mrozące krew w żyłach rysunki rozrzucone po całym domu.

Giorgio ciągle patrzył przed siebie, niezdolny do odróżnienia rzeczywistości od nakładającej się na nią bardzo cienkiej taśmy wspomnień. Zobaczył swojego syna mierzącego go wzrokiem bezlitosnym i zimnym. Ciągle powtarzał monotonie, jak w halucynacji: - Jenny istnieje... Jenny istnieje... Jenny istnieje...

28

- Do diabła, chcę zobaczyć, co się dzieje w mieście – wrzasnął Marco, zanim wychylony wycofał się z okna kuchennego. Podprowadził wózek elektryczny do wyjścia i chwycił marynarkę z wieszaka przytwierdzonego obok domofonu.

Ubrał się, potem wyciągnął pęk kluczy i otworzył drzwi.

Poprowadził wózek wzdłuż poręczy schodów wiodących do drzwi wyjściowych. Na zewnątrz uderzył go gwałtowny poryw lodowatego wiatru, łzawiąc mu oczy ukryte za grubymi soczewkami.

Wrzaski na ulicy były pierwszym sygnałem alarmującym. Ludzie stali zebrani w grupach, jakby chcieli chronić temat rozmowy. Złość i napięcie były wszędzie. Jedni nie mogli połączyć się z Internetem przez telefon komórkowy, inni kłócili się obok przedwcześnie zamkniętego banku.

Starszy pan bez zębów wymachiwał laską w stronę przechodniów, krzycząc:

- To jest trzecia wojna światowa, zawsze mówiłem, że to się tak skończy!

Marco przejechał po chodniku z Alei Gran Sasso do skrzyżowania z Placem Piola. Mięśnie rąk miał tak słabe, jakby uległy atrofii. „Za długo byłem w domu, niech mnie licho porwie...” Z dochodzących z drogi nakładających się na siebie wielu głosów wyłowił pierwsze wiadomości: przede wszystkim tego dnia nie wyszły gazety codzienne. Zauważył, że kioski były nieczynne, nie było na nich nawet kartki informującej o powodzie zamknięcia. Z zielonego kosza na odpady wystawał egzemplarz „Corriere della Sera” z wczorajszą datą. Marco wyciągnął go i przyjrzał się pierwszej stronie, gdzie jeden z tytułów brzmiał: *Terror nieznanego*. Po szybkim przejrzeniu innych artykułów złożył gazetę i schował za pazuchę marynarki.

Jeśli chodzi o Internet - jak potwierdził mu Ricky - to był zawieszony w całym mieście. Więcej - we wszystkich miastach. I to był -według niego - najbardziej ponury aspekt tej wstrząsającej sytuacji.

Co do reszty, wyglądało na to, że sklepy czy ważne dla obywateli instytucje, jak banki i poczty przestały pracować, zamykając i dezaktywując terminale przeznaczone do przelewu pieniędzy. Stąd burdy i protesty przed bankomatami.

Kluczowym elementem, który wzbudzał panikę między ludźmi był brak informacji.

Kierując wózek inwalidzki w stronę placu Piola, Marco słyszał, jak mówiono o wojnie, terroryzmie, a nawet o obcym ataku. Wobec niemożności dostępu do sieci i braku informacji obywatele wylęgali na ulice, aby dać wyraz swoim najgorszym obawom. Szukali wyjaśnień, których nikt nie zamierzał im udzielić.

Kiedy znalazł się naprzeciw skrzyżowania, między Aleją Gran Sasso a placem, zaczekał na

zielone światło, a następnie nacisnął rączkę, która wprawiła wózek w ruch. Niektóre samochody nadjeżdżały z jego lewej strony, z przeciwnej strony Alei i z pasa ruchu dla uprzywilejowanych - taksówek i autobusów. Dokładnie w połowie skrzyżowania podniósł wzrok i zobaczył, że światła są wyłączone. Szybko rozejrzał się w prawo i w lewo, aby skontrolować sytuację na drodze. Samochody nadjeżdżające od strony Alei Gran Sasso nie hamowały. Niektóre zaczęły natarczywie trąbić klaksonem.

- Zatrzymajcie się! Do licha! - krzyknął Marco, kiedy zobaczył ciężarówkę poczty włoskiej, która od strony placu właśnie włączała się do ruchu na Alei Gran Sasso, nie oglądając się na nic, zakładając, że światła działają. Mogła go uderzyć z całą prędkością.

Musiał podjąć błyskawiczną decyzję: pojechać wózkiem do przodu, mając nadzieję, że ciężarówka go ominie i spróbować dotrzeć do świateł, zanim samochody sunące od strony Alei Gran Sasso, do niego. Albo wrzucić bieg wsteczny, zostawiając miejsce ciężarówce, ale ryzykując zderzenie z samochodami.

- Niech to szlag trafi! - krzyknął i w ułamku sekundy zdecydował się na drugie rozwiązanie. Ważne było nie to, gdzie jechać, ale żeby jechać szybko. Kiedy pierwszy samochód gwałtownie zahamował, pozostałe zaczęły wpadać na siebie i dał się słyszeć pisk hamulców.

Powstał chaos jeszcze bardziej niekontrolowany.

Kiedy Marco wycofywał się, przygotowany na zderzenie, ciężarówka nagle skręciła w Aleję Gran Sasso.

Chłopak jak w zwolnionym tempie widział wszystko po kolei, zanim wyrzuciło go z wózka i spadł na beton. Ciężarówka poczty włoskiej oddalała się. Zderzały się natomiast kolejne samochody. Po jego lewej stronie nagle zahamowało BMW, a taksówka, która aby uniknąć stłuczki z samochodem z naprzeciwka, wykonała ryzykowny manewr i, wyprzedzając kolejkę, kierowała się prosto w stronę skrzyżowania.

Ostatnim kadrem, jaki Marco zobaczył przed zderzeniem świateł taksówki ze swoim wózkiem, była sylwetka Alexa z plecakiem po drugiej stronie ulicy. Przyjaciel coś krzychał w jego kierunku.

Kiedy wylądował na ziemi, uderzając głową o beton, w jednej chwili zapadła ciemność.

Alex przebiegł przez skrzyżowanie. Wokół zapanował obłęd. Niektórzy ludzie wysiedli z samochodów, żeby zaprotestować przeciwko tym, którzy uderzyli pierwsi. Kolejne dojeżdżające samochody gwałtownie hamowały, a taksówkarz wyskoczył ze swojego białego opla i pełen obaw podbiegł do ciała Marco.

- Chryste, nie wiem, jak to się stało, ja... - zaczął się jąkać.

Alex pochylił się nad ciałem przyjaciela wyrzuconym w odległości kilkunastu metrów od wózka inwalidzkiego.

- Marco, Marco! Odezwij się, proszę cię! - krzyknął i próbował go reanimować, uderzając go po policzkach. Krew zalewała mu twarz, a oczy wciąż były zamknięte.

- Boże, nie! Nie umieraj, obudź się, psiakrew!

Wzrok Alexa padł na prawą rękę Marco - jego palce zaczęły się poruszać. Również wargi bardzo wolno zaczęły dawać sygnał życia i w końcu chłopak otworzył oczy.

- Jestem tutaj, przyjacielu. Chcesz, żeby mnie szlag trafił? Co, do cholery, robiłeś na środku ulicy? Powiedz mi, gdzie cię boli, nie wiem, czy mogę cię podnieść.

- Ja... nie wiem.

Alex chwycił Marco pod boki i spróbował podnieść, następnie wziął go na plecy i zaniósł

w stronę wózka.

- Jest spieprzony - z trudem rzekł Marco. - Popatrz na koło.
- Zadzwoimy po pogotowie. Musisz jechać do szpitala. Mój telefon jest nieczynny.
- Weź moją komórkę, jest tutaj, w wewnętrznej kieszeni. Alex poszperał i wyciągnął z marynarki przyjaciela nokię.
- Nie ma zasięgu - powiedział, potrząsając głową.
- Zaprowadź mnie do domu. Stamtąd zadzwonimy.

Alex poprawił Marco na wózku, następnie próbował go uruchomić, ale urządzenie elektryczne nie działało. Pchał go więc ręcznie, napotyając opór tylnego, lewego koła, zupełnie wygiętego na skutek zderzenia z taksówką.

Taksówkarz zniknął, pozostawiając auto na środku drogi. Protesty kierowców uczestniczących w karambolu przerodziły się w ostrą szarpaninę. Cały ruch był sparaliżowany, i to nie tylko w tej części miasta, a hałas klaksonów osiągnął poziom trudny do zniesienia.

Po przybyciu do domu Alex zostawił wózek w korytarzu i pobiegł po telefon bezprzewodowy.

- Ale dlaczego? Cholera! - wybuchnął. - Nie ma sygnału.
- Jeszcze i to... - skomentował słabym głosem Marco, zrezygnowany, jakby się tego spodziewał. - Profesor miał rację.
- Co robimy? Musisz jechać do szpitala.
- Alex, chodź tutaj. Nie jest ze mną tak źle. Uderzyłem głową, okej. Krwawię, ale mogę opatrzeć się sam. Mogło być gorzej.

Poprosił przyjaciela, aby go zawiózł do łazienki i pokazał mu, gdzie znajdują się lekarstwa. Alex wyjął wodę utlenioną, spirytus, waciki, gazy i plastry i zaczął go opatrywać.

- Wózek jest nie do użytku i to jest problem.
- Potem naprawię ci koło, byś mógł przynajmniej go przesuwac.
- Ale jak to się stało, że zjawiłeś się właśnie w tym momencie? - chciał wiedzieć Marco.
- Zaraz ci wszystko opowiem. Zdarzyło mi się wiele rzeczy, o których powinieneś wiedzieć.

Alex zaczął streszczać wszystko, co przydarzyło mu się podczas podróży, jednocześnie próbując wcielić się w rolę pielęgniarki. Nie wspomniał mu jednak o spotkaniu ze szczęśliwym Marco i jego rodzicami, jakby chciał go uchronić przed zbyt dużym do udźwignięcia rozczarowaniem. Przyjaciel słuchał ze zdziwieniem i rosnącym entuzjazmem. Każde słowo Alexa wydawało się potwierdzać wszystkie jego przypuszczenia.

W jego relacji nie było miejsca na jakiegokolwiek wątpliwości -Wieloświaty były rzeczywistością.

Alex naprostował koło przy wózku, już można było się na nim poruszać.

Marco poprosił go jeszcze, by wyjął stary telewizor z lampą elektronową, który zostawił w skrzyni wiele lat temu. Pomyślał, że w tej sytuacji może się przydać jako źródło dodatkowych informacji.

Przewód antenowy wychodził ze ściany jadalni, obok barku i z podłączeniem go do obudowy nie było problemu. Alex wyjął pilot z bocznego schowka przy monitorze i podał go właścicielowi.

-Nic z tego nie będzie... - skomentował Alex, podczas gdy przyjaciel przerzucał kanały w telewizorze. Na wszystkich pojawiała się niebieskie tło z napisem:

PRZEPRASZAMY ZA ZAKŁÓCENIA

TRANSMISJA BĘDZIE WKRÓTCE PRZYWRÓCONA

- Ktoś wie, co się dzieje, ale nas o tym nie poinformuje - Marco starał się przez moment powstrzymać złość. Ręce mu drżały, ale pozwolił sobie na sarkastyczny uśmiech, gdy jego wzrok padł na przeciwległą część pokoju. Następnie wziął do ręki pilota i rzucił nim o ścianę, rozbijając w drobny mak. - Świnie!

- Becker mówił ci o tym, prawda?

Marco odwrócił się do przyjaciela, a potem ręcznie pokierował wózek w kierunku Alexa, a kiedy znalazł się kilka centymetrów od niego, zahamował.

- Dokładnie tak. Koniec jest bliski. Musisz wrócić do Jenny. Może dla was jest jakaś szansa.

- Ale jak mam znaleźć tę Pamięć? Nie mam pojęcia, co to jest i gdzie jej szukać. I jaki to ma związek z tym, co się teraz dzieje?

- Musimy do tego dojść - odpowiedział Marco i wskazał głową na okno w jadalni. - Będzie to ostatnia rzecz, którą zrobię przed śmiercią. Moją i tych wszystkich ludzi.

Alex pokiwał głową, ale nie wiedział, co odpowiedzieć. Objął Marco i ścisnął go przez kilka chwil. Z zamkniętymi oczami zastanawiał się, co mogło być przyczyną tak totalnej paniki. Nie znalazł jednak odpowiedzi.

„Dzięki, przyjacielu” - pomyślał, ale nie miał siły powiedzieć tego na głos.

Cisza towarzysząca tym chwilom smutku i rezygnacji była bardzo wymowna. Nie było potrzeby dodawania czegokolwiek. Marco wysunął się z objęcia i zaczął ocierać łzy napływające mu do oczu. I wtedy Alex *to* w nim zobaczył.

Wspomnienie zaatakowało gwałtownie, jakby go przykuło do tej sceny. Nie mógł się oprzeć sile obrazów.

Widział, jak dżip ojca Marco, zanim uderzył o balustradę, wpadł w poślizg na zakręcie i szybko zaczął pędzić w próżnię, a szalejąca burza śnieżna pokrywała drogi, drzewa, skały. Wszystko to zobaczył oczami swojego najlepszego przyjaciela, uwięzionego w pułapce tylnego siedzenia, kiedy kilka centymetrów od niego roztrzaskiwało się życie dwóch osób. Tych najważniejszych. Tych, które zawsze były obok niego. Bardzo silne uczucie pustki spowodowane spadaniem dżipa po skarpie spowodowało, że Alex stracił równowagę. Nogi mu drżały, a ciałem wstrząsały dreszcze. Jakby był na tamtym tylnym siedzeniu. Jakby widział koniec.

Tępy a jednocześnie niespodziewany i złowieszczy dźwięk wyrwał z umysłu Alexa wspomnienie o Marco. Pisk domofonu rozbrzmiewał kilka kroków od nich. Przyjaciele spojrzeli po sobie oszołomieni, jakby naraz poczuli to samo wyobcowanie.

Marco podniósł słuchawkę domofonu.

- Słucham? - spytał zaniepokojonym tonem, następnie odczekał chwilę i spojrzął na Alexa. - To twój ojciec.

Giorgio Loria bardzo szybko zjawił się przy wejściu.

- Wiedziałem, że cię tu znajdę.

Ton ojca brzmiał wyjątkowo. Nie był oskarżający. Nawet nie był groźny. Był bardziej współczujący niż wściekły. Alex cofnął się mimowolnie, jakby obawiał się, że pod tym dziwnym sposobem bycia ojca kryją się złe zamiary.

- Ja... pomagałem Marco i...

- Teraz masz iść ze mną. To ważne. Potem wezwiemy kogoś, kto pomoże twojemu przyjacielowi.

- Tak, ale...

- Odwagi.

Giorgio chwycił Alexa za ramię i wyciągnął go na zewnątrz.

Podczas krótkiej drogi, która oddzielała dwa domy, nie otworzyli ust. Ograniczyli się tylko do wymiany zaniepokojonych spojrzeń, gdy mijali zniszczone lub zablokowane samochody między Aleją Gran Sasso a Placem Piola.

Kiedy weszli do domu, Valeria z błyszczącymi oczami, twarzą ukrytą w dłoniach i łokciami wspartymi na nogach, siedziała na sofie.

- Znalazłeś go... - wzrok matki rozjaśnił się na chwilę.

- Alex, usiądź już, bardzo proszę.

Alex nie sprzeciwiał się, udał się w stronę fotela naprzeciw sofy i usiadł. Giorgio zajął miejsce obok Valerii, na wprost pudła opatrzonego z każdej strony napisami: RAMY.

- Znamy powód twojej fanfaronady. Teraz posłuchaj nas uważnie. Prawdopodobnie to, co ci powiem, zostało wyparte z twojej świadomości. Może pojawią się wspomnienia, które wymazałeś.

Alex nie miał najmniejszego pojęcia, do czego zmierza ojciec. Z jego i matki twarzy wyczytał jednak głęboki lęk.

- To znaczy?

Giorgio przyjrzał mu się uważnie:

- Nie pamiętasz nic z czasów, gdy miałeś pięć... sześć lat, prawda?

Syn kiwnął głową, potem zrobił minę, która mówiła „niewiele”.

- Widzisz, kiedy byłeś bardzo mały - włączyła się Valeria - cierpiełeś na bardzo groźną chorobę. Jest prawdopodobne, że nie zachowałeś żadnego wspomnienia z tamtego okresu, z tego, co cię niepokoiło. Powiedzmy, że te straszne epizody zostały...

- ...usunięte - dokończył Giorgio.

- O czym wy mówicie?

- Otóż - kontynuowała matka - było z tobą bardzo źle. Silna depresja, której towarzyszyły objawy psychozy.

~ Żartujecie? - Alex zmarszczył czoło i wypiął klatkę piersiową.

- Wcale nie - odpowiedział Giorgio. Po czym wyjął nożyczki z szuflady mebla stojącego obok sofy.

- Sądziliśmy, że pewne objawy już się nie powtórzą. Mieliśmy taką nadzieję... do dzisiaj.

- Dlaczego? Co się dzisiaj wydarzyło?

Słyszałam cię, kiedy byłeś w łazience. Wspomniałeś o niej. Alex znieruchomiał, zaniepokojony i zmieszany.

- Była twoją fikcją - ciągnęła Valeria. - Rodzaj urojonej przyjaciółki. Wypisywałeś jej imię wszędzie, mówiłeś tylko o niej. Zazwyczaj dzieci przeżywają takie rzeczy podczas zabawy. Dla ciebie była to prawdziwa obsesja.

Alex był wstrząśnięty odkryciem. Mówili o Jenny.

- Moja urojona przyjaciółka... - wyszeptał półgłosem.

- Twierdziłeś, że ciągle z tobą rozmawia. Kiedyś nawet pomazałeś cały dom czerwonym flamastrem, wypisując imię Jenny na ścianach i rysując jakiś dziwny symbol.

Alex zadrzał. Jego mama mówiła o triskelionie - amulecie, z którym Jenny nigdy się nie rozstawała.

Giorgio rozciął kilka taśm samoprzylepnych i otworzył pudło. Następnie zaczął wyjmować z niego teczki, rysunki, zdjęcia i pamiętnik, który Valeria pisała w czasie choroby syna.

- Sam popatrz - Giorgio wyciągnął niektóre rysunki. - To właśnie miałeś wtedy w głowie.

Alex wziął je, położył na kolanach i zaczął przeglądać.

Molo.

Plaża.

Kobieta o czerwonych włosach patrząca przez teleskop.

Podziemny tunel pełen trupów.

Zniszczenia, śmierć, krew i cierpienie.

„To niemożliwe” - pomyślał Alex, skamieniały na widok tych obrazów. Dreszcz przeszedł mu po plecach, całe ciało nagle się usztywniło.

Brakowało mu słów. Niektóre z tych rysunków przedstawiały wszystkie sytuacje, na które się natknął w ostatnich dniach. Była tam plaża w Altonie i molo, na którym miał się spotkać z Jenny. Była pani Thompson, niania-astrolożka ze swoim wiernym teleskopem.

I był tunel z trupami, którym przeszedł w rzeczywistości równoległej, gdy Mediolan stał się teatrem krwawych rozruchów.

To wszystko było już wcześniej w jego mózgu, wiele lat przed tamtą chwilą. Jak to możliwe?

„Byłem już wcześniej w tych miejscach... Widziałem już to wszystko”.

- Ja rozmawiałem z Jenny... - powiedział Alex, kiedy jego matka przeglądała pamiętnik.

- Skarbie, obawiamy się, że to ci się zdarza ponownie. Ton głosu Yalerii był cichy i zrezygnowany. - Nie chcemy, żeby tak było.

- Ja *wcześniej* rozmawiałem z Jenny! Do licha, porozumiewałem się z nią!

Valeria odwróciła się do męża.

- O, mój Boże, znowu to samo... Wierzy, że ona istnieje naprawdę.

- Mamo, Jenny istnieje! Pewnie, że istnieje! - krzyknął Alex, potrząsając rysunkami, które trzymał w dłoni.

„To samo mówił, jak był dzieckiem, z tym samym lodowatym spojrzeniem” - pomyślał ojciec.

- Zdajesz sobie sprawę, o czym ty mówisz?

- Nigdy nie uwierzycie moim słowom. Dzieje się coś, co przerasta wyobraźnię, więc wiem, że to, co wam chcę powiedzieć, zabrzmia absurdalnie. Ale rozejrzyjcie się wokół. Czy to nie absurd, że zablokował się Internet? Czy to nie absurd, że teraz nie działa już nawet telewizja i telefony komórkowe?

Valeria odwróciła się do Giorgia z zatroskaną miną.

- A co to ma wspólnego z Jenny? - wybuchnął mężczyzna. - Neurolog powiedział mi, że...

Alex uniósł brwi.

- Neurolog?

- Lekarz, który zajmował się twoim przypadkiem, kiedy byłeś mały.

- Co do cholery zrobiliście mi, kiedy miałem sześć lat? Jak usunęliście Jenny z mojego

umysłu na tak długi czas? - zapytał Alex, nagle wstając.

- Alex... - zaczęła Valeria - zażywałeś lekarstwa przez wiele miesięcy. Ale sytuacja tylko się pogarszała. Każdej nocy budziłeś się przez te straszliwe koszmary. Mówiłeś nam o katastrofach.

Opisywałeś płonące miasta, mówiłeś, że ciągle widzisz ziemię jako pustynię dymiących popiołów...

- Leczenie farmakologiczne nie przyniosło rezultatów - kontynuował Giorgio - i twój psychiatra wysłał nas do swojego kolegi neurologa Siniscalco. On poradził sobie z twoim problemem zdecydowanie o wiele skuteczniej... i rozwiązał go.

- Jak?

- Poprzez terapię.

Alex zmarszczył czoło i poczuł drżenie w rękach.

- To znaczy?

Ojciec popatrzył mu prosto w oczy. Nie mógł już dłużej ukrywać prawdy.

- Elektrowstrząsy.

Alexowi na chwilę odebrało mowę. Popatrzył na wystające z pudła rysunki. Było ich sporo. Ciemne, straszne wizje przyszłych wydarzeń, dno cierpienia i bólu.

- Żartujecie, prawda?

- *Kilka* seansów elektrowstrząsami. To było konieczne. Po tej terapii byłeś jak nowo narodzony. Nie mówiłeś już o Jenny, stałeś się pogodnym dzieckiem, zacząłeś żyć wśród swoich kolegów...

- Nie mogę w to uwierzyć! Nie mówicie poważnie... Ja miałem dar, ja...

- O jakim darze mówisz? - przerwała mu Valeria. - Miałeś ciężką depresję i schizofrenię. Wydawało się, że to sytuacja bez wyjścia, natomiast...

- Nie wiecie, co zrobiliście!

Alex wstał, podszedł do pudła i przyklęknął, żeby je przeszukać.

Valeria i Giorgio nie wiedzieli, co odpowiedzieć na oskarżenia ze strony syna. Może - myśleli - to choroba go zmusiła do takiej rozmowy.

- Muszę iść! - krzyknął i podniósł pudełko.

- Alex, zostań tutaj!

Giorgio nagle wstał, oczy miał zapuchnięte i pełne desperacji, żyły grube i napięte, kreślące na skórze grube smugi.

- Nie dotykaj mnie! Nie jesteście już moimi rodzicami.

- Alex, proszę cię! - krzyknęła Valeria z sofy, z dłońmi we włosach, w histerycznym ataku.

Giorgio wyciągnął rękę do syna i próbował go zatrzymać. Wymienili spojrzenia pełne lęku i złości, po czym ojciec znieruchomiał.

I wtedy Alex zobaczył.

Zobaczył białe łóżeczko.

Zobaczył swoje przeguby dłoni i kostki u nóg ściśnięte imadłem i przytwierdzone do brzegów łóżka.

Zobaczył szeroki plaster przyklejony na swoich ustach.

Zobaczył białe fartuchy i światła lamp.

To wspomnienie sprawiło, że popatrzył na rodziców z przerażeniem. Byli bezsilni wobec tego spojrzenia.

- Żegnajcie - powiedział, odwrócił się, podniósł pudełko i zniknął.
Tylko Marco mógł mu pomóc coś z tego zrozumieć.

30

- Brak mi słów - skomentował Marco po wysłuchaniu relacji przyjaciela. - Ty *zawsze* miałeś taki dar! Teraz jest jasne, skąd się wzięła kasetka, którą nagrałeś jako dziecko...

- Musimy przeanalizować rysunki. Znaleźć jakieś inne informacje.

- Jasne. Daj, rzucę okiem - Marco wyjął z pudła kilka arkuszy i notatników. W tym czasie Alex trzymał w rękach obrazek przedstawiający Mary Thompson z gęstymi, kręconymi włosami i linią pociągniętą flamastrem, która wychodziła poza kształt tłuszczyka i masywnego ciała. Obok kobiety - kanapa i obraz powierzchni księżycy na pierwszym planie. Ten sam, który widział w domu niani Jenny.

- To, czego nie jestem w stanie zrozumieć, to: dlaczego ja? Kim jestem? Kim jesteście, ja i Jenny?

- Alex, może to nie ty, może to nie o was chodzi.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chcę powiedzieć, że nie jest powiedziane, że jesteście jedyni. Może istnieją też inne osoby podobne do was. Są podstawy, żeby sądzić, iż nie jesteście sami. Becker jest jednym z was.

Alex spojrział na przyjaciela wzrokiem pełnym lęku. Z ulicy dał się słyszeć rosnący hałas klaksonów, krzyków, syren, który jak fala ponownie rozlał się nad miastem...

- Pozwól mi przeszukać papiery - powiedział, biorąc kolejny notatnik z pudełka.

Alex wyjął fioletowy, skórzany kalendarzyk. Otworzył go i od razu rozpoznał pismo matki. To był jej pamiętnik. Zaczął go przeglądać, strona po stronie. Poza kilkoma informacjami dotyczącymi jego narodzin, jak waga, wzrost, najważniejsze chwile z pierwszych miesięcy życia, notatnik w dużej mierze koncentrował się na chorobie.

Popatrzył w stronę okna. Miasto było szare. Nad ulicami wisiała gęsta mgła, jak gruba kołdra. Alex zobaczył w kamienicy naprzeciwko sylwetkę kobiety. Przygarbiona, zbierała rozwieszane pranie. Ta zwyczajna czynność uświadomiła mu, jak jego życie się zmieniało w ostatnim tygodniu i że być może życie wszystkich ludzi nigdy już nie będzie takie samo.

- To wydaje się interesujące - powiedział Marco, przyglądając się kolejnej notatce.

- Miałem sen, że Jenny odejdzie - zaczął czytać z kartki, którą trzymał w ręku - że mnie zostawi. Ale to nie jest jej wina. Pewnego dnia znowu się spotkamy.

Alex nie mógł uwierzyć w to, co słyszał. „To wszystko już się zdarzyło”.

- Marco, kim byłem, do licha, jako dziecko?

~ Byłeś wyjątkowy - odpowiedział przyjaciel, kontynuując przeglądanie papierów. Po czym zastygł, uderzony jakimś olśnieniem. -Może nieskończone wymiary istnieją symultanicznie - powiedział, przymykając oczy, żeby złapać uciekającą myśl. - Jak płyta CD.

- Co ma z tym wspólnego CD?

- Istnieją teorie na ten temat. W pierwszym okresie, w którym zacząłem zadawać sobie pytania o wszechświaty, natknąłem się na jedną z nich. CD ma swój początek i koniec, jeśli ją odtworzysz, ma swój czas trwania. Ale jak ją zabierzesz z czytnika, masz cały ten okres w danym momencie w swoich rękach. Może także wszechświaty są symulta... - Marco zaciął się i

wybałuszył oczy.

- Co jest?

- Popatrz tutaj - powiedział przyjaciel, podając Alexowi kartkę. Przedstawia pokój, a w nim dwóch upozowanych chłopców. Jeden siedzi w fotelu, pod którym jest napis ALEX. Drugi siedzi na stolku z dużym kołem na pierwszym planie, a obok widnieje imię MARCO. Postać w fotelu trzyma w ręce kartkę, która jest pomniejszoną reprodukcją tego samego rysunku. U dołu, w prawym rogu strony data - grudzień 2014.

Alex skamieniał. Nie wiedział, co powiedzieć. Jego umysł był sparaliżowany przeświadczeniem, że cokolwiek powie w tym momencie, kiedyś już to powiedział.

- Zdajesz sobie sprawę? - zapytał Marco. Hałas dochodzący z zewnątrz zastąpił szum deszczu padającego mocno nad miastem.

- To jesteśmy my. To my... Teraz! Narysowałem tę scenę dziesięć lat temu!

Alex przez kilka chwil stał jak sparaliżowany, ze wzrokiem wbitym w proroczy rysunek. Potem zaczął kiwać głową i opuścił oczy.

Marco nerwowo przeglądał inne rysunki. Wśród tych papierów powinien być opisany ich los, a - może - nie tylko ich. Po kilku chwilach znieruchomiał nad pewną zgniecioną kartką.

- Nie... to nie.

- Co znalazłeś? - zapytał Alex. Marco nie odpowiedział, ograniczył się do podania mu rysunku, aby sam zobaczył.

Kiedy na niego popatrzył - pobladł.

Po prawej stronie kartki było coś okrągłego z kilkoma brązowymi sylwetkami, otoczonymi rozległymi niebieskimi polami. Linia pastelu często wychodziła poza zarys. Wyglądało to na planetę, którą spokojnie mogła być Ziemia.

Alex przesunął wzrok na lewą stronę kartki.

Kolejna okrągła tarcza w kolorze żywej czerwieni, ze smugą poprzedzającą ją, jakby wyznaczającą kierunek, w którym zmierzała - prosto w stronę niebieskiej kuli.

Poniżej, po prawej stronie u dołu - data.

- Jutro - powiedział Marco - na Ziemi. To się już wydarzyło i znowu się wydarzy.

- Nieprawda, nie wierzę. To pomyłka.

- Alex, to nie jest pomyłka! - Marco zebrał inne kartki, proponując przyjacielowi przejrzanie ich jedna po drugiej. - Narysowałeś rzeczywistości równoległe, w jakich znalazłeś się w ostatnich dniach. Molo, Mary Thompson...

- Umieramy? - zapytał słabym głosem.

Marco popatrzył mu w oczy z wyrazem, który nagle stał się melancholijny.

- Tak, tak właśnie sędzę.

W jednej chwili Alexem zawładnął obraz, który wyświetlił się przed jego oczami. Zobaczył go, jakby był parę kroków od niego, w pokoju, obok Marco. Był wróżbitą malajskim, siedział za stołem z kartami w ręku.

Słowa mężczyzny uderzały o ścianki jego czaszki, jak gra dzwonów podczas świąt, a przenikliwe spojrzenie hipnotyzowało go.

„My wszyscy w dużym niebezpieczeństwie... Zwłaszcza ty”.

- Nie może być - wyszeptał Alex, patrząc jak rysunek upada na ziemię. - Jak to możliwe, że nikt tego nie dostrzegł. Nic nie wiedziałeś?

- Meteoryt o małych rozmiarach można dostrzec nawet kilka dni przed uderzeniem. Ale nie spowodowałby końca świata, co przepowiedział Becker. Teraz wyraźnie chodzi o wielką asteroidę.

- A więc? A więc to pomyłka, ten rysunek nie jest...

- Alex, asteroida o potężnych rozmiarach może być widoczna z dużym wyprzedzeniem. Ale... można to trzymać w tajemnicy.

- Co to znaczy? Mamy wszyscy umrzeć i nic nam nie powiedzą?

- Jeśli przygotowali miasto-bunkier lub coś w tym rodzaju, nie mogą sobie pozwolić na sianie paniki na całej planecie.

- Ale planeta i tak jest w panice! Nawet jeśli nikt nie wie o ewentualnym zderzeniu...

- Oczywiście. Bo zdali sobie sprawę, że w trzecim tysiącleciu będzie trudno, aby taka wiadomość się nie rozniosła. I dlatego w dniach poprzedzających katastrofę pomyśleli o odłączeniu wszelkich środków komunikacji.

- Ale kim oni są? O kim mówisz?

- Alex, nie wiem, kim są! Wiem tylko, że Internet nie znika z dnia na dzień przypadkiem. Coś się dzieje. Ktoś może się uratować, ktoś łudzi się, że może się uratować. A ty... ty i Jenny może macie jakąś szansę.

Kiedy wypowiadał te słowa, Marco pomyślał o tym, co powiedział mu profesor.

„Będą mogli się uratować, ale śmierć i tak ich osiągnie”.

Alex wpatrywał się w pustkę. Wszystko, co widział i przeżył do tego dnia, przestawało istnieć. Marco uderzył pięścią w stół i zaczął:

- Becker nie jest wariatem. Wszystko wraca. Jeśli przez dotarcie do Pamięci możecie się uratować, zróbcie to i koniec. Musisz znaleźć to miejsce.

- Nawet nie wiem, gdzie mam zacząć szukać.

- Wróć więc do Jenny. Jedyne, co jest pewne, to to, że musicie je znaleźć razem. Nie jestem w stanie powiedzieć czy ktoś jeszcze może się uratować. Z całą pewnością ja jestem stracony.

Alex ciągle wpatrywał się w pustkę, aż w końcu powstrzymał łzy. Wstał, pochylił się i mocno objął przyjaciela. - Nie.

- Alex, jestem przegrany. Nie mogę przejść do innego wymiaru.

Nie widzę przyszłości. Jestem normalny i umrę jak wszyscy.

Alex nic nie odpowiedział. Wiedział, że przyjaciel ma rację. I pomyślał, że prawie na pewno podzieliliby jego los. Ale teraz miał szansę - wrócić do Jenny i znaleźć Pamięć, cokolwiek by to było.

- Kocham cię, Marco. Ale mógłbyś...

Marco potrząsnął głową, żeby powstrzymać jego słowa.

- Musisz to zrobić. To jest twoja droga. Możesz iść do niej. Możesz przekraczać wymiary. Może w jej rzeczywistości nic podobnego się nie stanie. Może taki sens ma twój dar - uciec stąd. Ja i tak jestem skazany. Idź, Alex. Nie ma czasu do stracenia.

- Nie mogę tego znieść, naprawdę. Nie dam rady.

- Odejdź! Nie denerwuj mnie. Nie chcę litości!

Alex popatrzył na Marco błyszczącymi i zapuchniętymi oczami.

- Żegnaj, mój przyjacielu. Cokolwiek wydarzy się jutro, ty stąd nigdy nie odejdziesz - powiedział, delikatnie opierając rękę o pierś. Potem odwrócił się i w ciszy doszedł do drzwi

wyjściowych.

Marco patrzył, jak się oddala. Wszystkie lata ich przyjaźni przeszły mu szybko przed oczami i uderzyły w niego z mocą cyklonu. Jeszcze raz ujrzał śmiechy przy grach video. Ponownie zobaczył długie noce spędzone na czytaniu horrorów przy świecach. Zobaczył uściski i łzy na pogrzebie jego babci, Alex stał wtedy u jego boku, jako jedyny przyjaciel. I zawsze tak było. Ten, który dla niego był kimś więcej niż bratem właśnie wychodził z jego domu, aby nigdy już nie powrócić.

- Zaczekaj! - krzyknął Marco, kiedy Alex zamykał za sobą drzwi.

W tym pojedynczym słowie był niespodziewany ładunek entuzjazmu.

Alex obejrzał się nagle i zawrócił zdziwiony. W jednej chwili znalazł się w jadalni.

- Coś ci przyszło do głowy?

Marco patrzył na niego zdecydowanie promiennymi oczami.

- Chyba zrozumiałem, czym jest Pamięć.

31

- Zrozumiałeś, ale jak? - Alex stanął przed przyjacielem.

Marco wpatrywał się w niego intensywnie.

- Ktoś dobrze wiedział, że jesteś osobą wyjątkową. Wiedział to od zawsze.

- Wiąszes to z moimi rodzicami? Oni w rzeczywistości myśleli, że mam depresję.

- Jak to możliwe? Jak matka może się zgodzić na elektrowstrząsy u sześciolatniego syna?

Alex zakłopotany rozejrzał się wokół i nic nie odpowiedział.

- Twoi rodzice zniszczyli ci mózg za pomocą terapii z pozoru właściwej i skutecznej, usprawiedliwiając to drastyczne działanie wymówką o depresji. Wydaje ci się to normalne?

Alex opuścił wzrok, zastanawiając się nad słowami przyjaciela.

- Dokąd zmierzasz?

- Kiedy wychodziłeś, myślałem o naszej przeszłości, zajrzałem do pamiętnika twojej matki. Widziałem go już wcześniej, ale dopiero teraz zauważyłem pewien szczegół, który mógłby wszystko wyjaśnić.

- O co chodzi?

- Właśnie tu Valeria mówi o miejscu, które często przywoływałaś. „Magiczne miejsce” - tak je nazywałaś. Ta część pamiętnika dotyczy pierwszego okresu po zabiegu. Valeria pisze, że – czytam dosłownie - „Przestał mieć koszmarne sny, wspominać Jenny, wygłaszać apokaliptyczne mowy i rysować dziwne symbole lub kreślić scenariusze o końcu świata”. Ale nie tylko... Uderzyło mnie szczególnie jedno zdanie, bo wysłała pewien sygnał. To jest klucz do Wszystkiego. Przeczytaj sam - powiedział Marco, kładąc pamiętnik przed przyjacielem.

- „Moje dziecko przestało mówić o tym magicznym miejscu. Nie zobaczy go już więcej, nie pójdzie już tam, zostanie na zawsze ze mną” - przeczytał na głos Alex.

Marco uśmiechnął się z satysfakcją.

- Wszystkie dzieci mówią o magicznych miejscach, wymyślają i tworzą fantastyczne światy. Najwyraźniej ty też taki byłeś. Twoja matka często słyszała, jak mówisz o tym miejscu. Po leczeniu napisała: „Nie pójdzie już tam, zostanie na zawsze ze mną”, to jest bez sensu. Który rodzic mógłby kiedykolwiek pomyśleć, że jeśli dziecko mówi o czarodziejskim zamku, to może

tam *rzeczywiście* pójść? To jasne, że jest to wytwór fantazji dziecka. Nie może być inaczej. Chyba, że...

- Chyba, że to miejsce nie istnieje naprawdę. Że to Pamięć była tym magicznym miejscem? To masz na myśli?

Marco nie odpowiedział. Dręczyło go coś, co ze zwykłego przypuszczenia mogło przerodzić się w pewność.

- Twoi rodzice tak postąpili, udając, że działają w dobrym celu, zachowując się jak zwyczajni ludzie. Nie wiem, dlaczego to zrobili, ale zrobili. Zwrócili się do specjalisty, który poradził sobie z twoim przypadkiem. Wszystko zgodnie z zasadami. Wszystko nieoczekiwanie. Ale twoi rodzice doskonale wiedzą, czym jest magiczne miejsce. Wspomniałeś o nim dziesięć lat temu. Teraz musisz się dowiedzieć, co jeszcze mówiłeś o tym miejscu. Musisz ich o to zapytać, jako że twoje wspomnienia zostały wymazane.

Alex pomyślał o tym przez chwilę. Rozumowanie Marco mogło być właściwe. Musiał spróbować.

- Zgadza się.

- Cokolwiek odkryjesz, musisz kierować się swoją intuicją i podążać za nią.

- A ty, co zrobisz?

- Alex, wszystko się już wydarzyło. Ja też za chwilę wybiorę moją drogę.

Alex wyciągnął prawą rękę do przyjaciela. Ich silne i stanowcze spojrzenia skrzyżowały się po raz ostatni, kiedy mocno ściskali sobie dłonie. To nie było już smutne pożegnanie ze łzami i rozpaczą. To było wyzwanie rzucone światu.

Kiedy Alex znalazł się przed wejściem do swojej kamienicy pod numerem 22 na Alei Lombardia, od razu uderzył go pewien szczegół - panowała cisza.

Ulicę jeszcze niedawno ogarniała coraz większa panika, która przejawiała się przemocą i protestem. Wypadki, korki na skrzyżowaniach, bójki mieszkańców, tłumy manifestantów maszerujących ulicami, nie rozumiejących, że żadna kamera ich nie utrwali, żadna codzienna gazeta o nich nie napisze.

Ledwie Alex zamknął za sobą ciężkie, drewniane drzwi, miał wrażenie, że wszedł do schronu przeciwatomowego. Całkowita cisza. Nawet na parterze nie było słycać codziennej wrzawy dochodzącej z mieszkania z trzema stopniami po prawej stronie. Dwudziestopięcioletni miłośnik heavy metalu, zwykle spędzający dni na słuchaniu na cały regulator Testamentu, Slayera, Megadeth i podobnych zespołów, czasami zostawiał włączone stereo nawet wtedy, gdy wychodził z domu.

Nie było słycać ogłuszającego dźwięku telewizora pani z pierwszego piętra. Nie wystarczały jej aparaty słuchowe. Zawsze naciskała na pilocie klawisz „+” dopóty, dopóki na ekranie nie pojawił się numer 99. O każdej porze dnia a często też nocy cała kamienica zmuszona była słycać programu, który wybrała.

Tylko jakiś jęk przeciął nierzeczywistą ciszę, która otulała korytarz. Zza któryś drzwi dochodził rozpaczliwy lament psa.

Alex wszedł na schody. Na skutek przeciągu między poły jego płaszcz wkradł się dotkliwie zimny prąd powietrza. Docierało powietrze, ale nie głosy... Zdawało się, jakby świat istniejący na zewnątrz kamienicy został zgaszony.

Kiedy stanął naprzeciw opancerzonych drzwi mieszkania, uświadomił sobie, że nie ma kluczy w plecaku. Widocznie zostawił je w domu podczas ostatniej dyskusji z rodzicami. Nacisnął więc dzwonek.

Żadnej odpowiedzi.

Trzymał wciśnięty dzwonek i nagle zdał sobie sprawę, że nie słyszy odgłosu dzwonienia wewnątrz mieszkania.

Zaczął tłuc z całych sił w miejsce tuż pod wizjerem.

-Otwórzcie, do licha! To ja!

Nikt nie odpowiedział. Alex przyłożył ucho do drzwi. Usłyszał uderzenia. Jedno po drugim, miarowe, dość odległe. Przypuszczalnie mogły dochodzić z jadalni.

-Tato? Mamo? Otwórzcie drzwi!

Zmartwiony wycofał się i opuścił wzrok. Po chwili jeszcze raz przyłożył ucho i usłyszał, że hałas, który był jak uderzenia młotkiem, ustał. Ponownie zaczął gwałtownie walić w drzwi, krzycząc na cały głos.

Klucze w zamku obróciły się i uwolniły od wewnątrz mechanizm, który blokował wejście.

- Boże... wróciłeś. Wejdz, chodź - wyszeptła matka, otwierając wąski przesmyk między futryną a drzwiami. Wzburzony Alex wcisnął się do środka. Valeria szybko zamknęła drzwi i cztery razy przekręciła klucz w głównym zamku oraz cztery w dolnym. Coś takiego Alex widział tylko wtedy, gdy wyjeżdżali na letnie wakacje.

- Co wy, do diabła, wyprawiacie? - zapytał chłopiec.

- Tak zdecydował twój ojciec - odpowiedziała zdenerwowana Valeria, wchodząc za nim do jadalni.

Giorgio z młotkiem w ręku, nic nie mówiąc, i syn, patrzący na niego wybałuszonymi oczami stali naprzeciw siebie. Ojciec zaczął znowu stukać. Okna były zaryglowane. Przybijał ostatnią deskę.

Rodzice barykadowali się w domu.

- Dlaczego? - zapytał Alex matkę, która z trudem łapała oddech. Trzymała ręce na potylicy, a potem położyła się i złapała się za nos i policzki...

- Boję się, że wybuchnie wojna lub coś w tym rodzaju - odpowiedziała Valeria. Następnie rzuciła okiem w stronę pokręta regulującego ogrzewanie mieszkania.

- Nie działa. Chyba od wczoraj. Ściany i podłogi są już zimne. Późno się zorientowaliśmy, ale z piwnicy zabrałam wszystkie kołdry babci. Mamy kredens pełen zapasów. Możemy wytrzymać przez...

- Ja nie zostanę w tym bunkrze. Nie wróciłem po to, żeby się ukrywać. Potrzebuję tylko jednej informacji.

Dokładnie w tej chwili wyłączono prąd. Mieszkanie z opuszczonymi roletami i zabitymi oknami pograżyło się w ciemnościach. Między Valerią, Giorgiem i Alexem zapadło lodowate milczenie. Przez kilka sekund nikt nie odważył się nawet oddychać. Pierwsza zareagowała matka, jakby była przygotowana na ewentualność, że po ogrzewaniu i linii telefonicznej w domu zabraknie także światła.

- Idę po świece.

Alex poszedł do korytarza, żeby poszukać plecaka. W końcu go znalazł. Chwycił i włożył na plecy. Valeria zaczęła pocierać główki zapalek o boki pudełka. Kiedy ponownie ukazała się w

korytarzu, miała w ręce świecznik z ośmioma płomieniami, które kołysząc się, oświetlały pomieszczenie. Alex zobaczył jej zmęczone i ufne oczy. Zapytał sam siebie, z jakiego powodu ona i ojciec dokonali takiego aktu przemocy wobec niego, kiedy był jeszcze dzieckiem. Może ktoś ich do tego namówił.

Giorgio zbliżył się i smuga światła musnęła twarz Alexa. Jego ojciec musiał znaleźć w szufladzie pokoju dziennego latarkę. Opuścił światło.

- Nigdzie nie pójdziesz - powiedział tonem autorytarnym, a skroplona para przekształcała jego oddech w białą chmurkę, która rozpływała się w powietrzu. Alex przyjrzał mu się i żadne sztuczne światło nie było potrzebne, aby przeniknąć go wzrokiem.

- Co to jest magiczne miejsce? - zapytał chłopiec, czując dreszcz, który *od* karku schodził mu wzdłuż kręgosłupa. To było jak wjazd do tunelu bez wyjścia. Zagłębił się we wspomnieniach swojego ojca, jakby pchała go jakaś magnetyczna siła, której nie mógł się oprzeć. Jakby jakaś ręka wychyliła się z pamięci Giorgia, chwyciła go i wciągnęła do wewnątrz. Tak jak to zdarzyło mu się na stacji Cadorna, gdy mimowolnie zobaczył nieznanego z przeszłości, nakrywając go z prostytutką. Albo jak to miało miejsce z Marco, gdy wniknął w jego straszne wspomnienie wypadku w górach.

Valeria, mimo że uczestniczyła w tej scenie, nie mogła nic zrobić. Oszłomiła ją aura energii otaczająca syna, który otwierał wszystkie szuflady wspomnień swego ojca. Latarka wypadła z rąk Giorgia na podłogę. Wszyscy troje zastygli w półmroku.

Tymczasem Alex znalazł się w swoim pokoiku. Był dzieckiem, bawił się flamastrami i kartkami papieru. Mama zawołała go na kolację, a on odpowiedział, że maluje przyszłość i że nie jest głodny. Ojciec wychylił się z korytarza, podniósł dzieciaka, posadził go sobie na piersiach i dał mu łagodnego klapsa, po czym wciągnął do kuchni.

- Wystarczy już tej przeszłości. Nie doczekasz przyszłości, jeśli nie będziesz jadł! Kiedy mama mówi, że kolacja jest gotowa, przychodzi się do stołu!

Alex odruchowo zamrugał powiekami. Nie czuł już żadnego mięśnia ciała, ale mimo to był wyprostowany i stał naprzeciw Giorgia.

Teraz był w ogrodzie. Biegało kilka psów, a dzieci bawiły się na huśtawce. On kręcił się na karuzeli, wydawał się szczęśliwy.

Żadnych oznak depresji. Wygląda jak wszystkie inne dzieci. Był piękny dzień i Valeria czytała na ławce czasopismo poświęcone modzie. Od czasu do czasu krzyczała do Alexa, żeby się za bardzo nie oddalał.

- Zostań tam, gdzie mogę cię zobaczyć, łobuziaku! I uważaj, żebyś sobie nie zrobił krzywdy.

Dziecko od czasu do czasu wracało do ławki, wychylało swoją buźkę z tyłu, zza czasopisma i uśmiechało się do mamy. Teraz także Giorgio siedział obok niej.

- Byłem w magicznym miejscu i była tam także Jenny. Chciałbym się z nią bawić tutaj, w ten sposób moglibyście ją zobaczyć, ale ona mówi, że nie może przyjść. Możemy się zobaczyć tylko my dwoje.

Twarz Valerii nagle nabrała wyrazu niezadowolenia.

- Nie lubisz, kiedy mówię o magicznym miejscu. Dlaczego, mamo?

Valeria nie odpowiedziała na pytanie, lecz przyglądała się małemu wzrokiem pełnym cierpienia, a on kontynuował swoje pełne pasji opowiadanie:

- Jenny mówi, że magiczne miejsce jest tylko wtedy, gdy jesteśmy razem, a więc jest tylko dla

nas, to jest nasz świat.

- Natychmiast przestań, Alex.
- Kiedy jesteśmy razem, jesteśmy jak słońce.

Alex zamknął oczy, a następnie szeroko je otworzył. Przesunął wzrok, odcinając się od wspomnień i obrazów z przeszłości.

- Dostałem odpowiedź, której szukałem - rzekł zdecydowanie.

Odwrócił się w stronę opancerzonych drzwi. Rodzice wymienili spojrzenia pełne zdziwienia, które nie było w stanie przerodzić się w złość czy opór. Jakby powstrzymywał ich jakiś instynkt. Coś, czego nigdy nie umieliby opisać.

-Proszę cię, Alex... - powiedziała Valeria złamanym głosem, z załzawionymi oczami. Prawie pozbawiona sił wyciągnęła ramię w stronę syna. Giorgio bezradnie kręcił głową, wpatrując się w pustkę.

Syn obejrzał się po raz ostatni i odwrócił plecami do rodziców. Przekręcił klucz w zamku.

-Żegnam.

W jednej chwili uwolnił się od tego, co przez wiele lat było jego złotą klatką, gotowy opuścić na zawsze ludzi, którzy im bardziej go kochali, tym bardziej mu szkodzili. Z powodów, których nie byli w stanie zrozumieć, rzecz jasna. Ale teraz nie było sensu przypisywać winę tylko po to, żeby zrekonstruować miniony kawałek jego życia.

Koniec był bliski. Teraz już wiedział, czym jest Pamięć.

- *Gdziekolwiek jesteśmy ty i ja, Jenny. Razem. Przyjadę.*

32

Kiedy tylko znalazł się na ulicy, Alex zdał sobie sprawę, że sztuczna cisza w kamienicy ściśle wiązała się z tym, co działo się na zewnątrz.

Nie było już żadnych burd przed bankami. Nie było krzyków.

Teraz panował terror.

Skierował się w stronę Placu Piola i obserwował, co robią ludzie wokół niego.

Wpatrywali się intensywnie w niebo.

Na ich twarzach malowała się po raz pierwszy świadomość nieuchronnego końca. Także i on podniósł wzrok. Wszyscy wylegli na drogę, ich twarze były blade, oczy wytrzeszczone, a usta zastygłe w grymasie osłupienia, kiedy obserwowali zdeformowaną masę, która rozciągała się ponad ich głowami.

Groźna asteroida była jeszcze daleko. Wyglądała jak szary kamień na firmamencie, jak plama przedzierająca się przez sklepienie niebieskie. W tle, wyłaniające się z za niej kolory przypominały najbardziej fascynujące zachody słońca, z błyszczącymi prześwitami, drapującymi czerwone i fioletowe płótno. Wokół nieustannie przepływały kłębuszki niebieskich i szarych chmur.

Żaden obłok nie ośmielał się stanąć między nowym Panem Przeznaczenia a ich oczami. Żaden nie miał odwagi zaciemnić niezwykłego i mrozącego krew w żyłach widowiska, które pojawiało się po raz pierwszy od zarania dziejów. Masy powietrza rozrzedzały się i gęstniały, rozszerzały i kurczyły.

Asteroida, niczym inkwizytor w czarnym płaszczu zdominowała przestrzeń. Miała moc otulić

ludzkość ciszą, na wieki. Była ostatecznym sędzią ludzi, przybyłym, aby podyktować ostatnie prawo. Po raz pierwszy będzie naprawdę takie samo dla wszystkich. Nie uratuje się nikt, kto ma schron przeciwatomowy, ani nikt, kto ukryje się pod ziemią. Miasta-bunkry, zarezerwowane dla polityków, ludzi religii, naukowców i ludzkich królików doświadczalnych, zdolnych nadać wszystkiemu nowy kształt po katastrofie, też zostaną wchłonięte przez nicość. Nadchodziło najbardziej niszczące uderzenie w historii Ziemi, nie było ratunku dla nikogo.

Zdezorientowany Alex przeszedł wśród tłumu obserwującego niebo i minął Plac Piola. Wiedział, że ma tylko jedną możliwość, aby dotrzeć do Jenny. Będzie musiał zrekonstruować w myśli jej wymiar w taki sposób, jak zrobił to wracając na Heathrow. Ale jego umysł był jak nieuporządkowany pokój. Wkradały się do niego obrazy, wspomnienia i różne emocje. Było tylko jedno miejsce, gdzie miał nadzieję, że odnajdzie pomost, który zaprowadziłby go do Jenny - Obserwatorium Astronomiczne w ogrodach przy Porta Venezia.

Nie miał żadnej pewności, że to zadziała, że ta strategia przyniesie zamierzony efekt. Ale musiał spróbować.

Alex biegł pośród tłumu w stronę skrzyżowania.

Przeciął Aleje Gran Sasso z Aleją Buenos Aires. Niektóre pozostawione wzdłuż drogi samochody miały zaświecone światła, inne środki lokomocji, jak rowery czy motocykle leżały porzucone na ziemi. Jedynie ludzie, oszołomieni apokaliptyczną wizją, ożywiali przygnębiającą i spokojną rzeczywistość. Rodzaj ludzki złożył broń.

Wrzawa tłumu zaczęła ponownie lękliwie i ostrożnie się nasilać. Jakby ludzie naprawdę wybrali tę asteroidę jako swojego Boga i obawiali się zakłócić jego przyjście.

Alex był już na Placu Argentyna. Wystawy sklepów milcząco przedstawiały materialną powierzchowność człowieka. Pojawiały się jedna za drugą i nie miały już nic do zaoferowania. Przed oczami Alexa przesunęły się zatracone spojrzenia dzieci, zrezygnowane oblicza starszych, przerażone twarze dorosłych. Histeria zaczynała narastać, osiągając moment bezruchu. W mieście panowała cisza przed burzą.

W okolicach Placu Lima chłopiec z gołym torsiem i długimi aż do połowy pleców włosami, uzbrojony w kij do baseballu, patrzył w górę i krzyczał:

- Przyjdź, skurwysynu! Czekam na ciebie! Nie boję się!

Alex ominął go, przeskakując za jego plecami. Kilka metrów dalej zauważył, że niektórzy trzymali w rękach telefony komórkowe i nagrywali widowisko. „Obrazy godne zapamiętania - pomyślał Alex - których nie pokazałby żaden dziennik telewizyjny w nadzwyczajnym wydaniu wieczornym.”

Ludzie znowu zaczęli głośno wypowiadać swoje obawy.

Alex, biegnąc w stronę Porta Venezia, słyszał najbardziej rozpaczliwe komentarze. Niektórzy twierdzili, że nie ma powodów do niepokoju, że Stany Zjednoczone z całą pewnością przewidziały nadejście asteroidy i że wkrótce wyruszy jakaś misja, żeby w nią uderzyć z bliska, kiedy znajdzie się na linii strzału. Inni wierzyli, że w miarę upływu czasu Ziemia wystarczająco się obróci, aby asteroida wpadła do Oceanu Atlantyckiego, co pewnie spowoduje zalanie całego Półwyspu Iberyjskiego.

- Trudno - mówili. - Ważne, żeby tsunami nie doszło tutaj.

Alex nie przestawał biec. Kiedy dotarł do bramy ogrodów, zobaczył, że jest zamknięta. Będzie musiał ją przeskoczyć.

Ostatkiem sił wdrapał się na ogrodzenie.

Suche gałęzie drzew, zwisające za kamiennym murem, wplotły mu się we włosy. Pomógł sobie rękami się z nich wyplątać i wylądował na żwirze.

Przed jego oczami wznosiła się kopułowa konstrukcja Planetarium. Wejście było otwarte. Chłopiec zrobił kilka ostrożnych kroków za plakatami zapowiadającymi konferencję dla szkół, która nigdy się nie odbędzie a następnie przeszedł przez drugie drzwi, zostawiając za sobą kurtynę, aż znalazł się w środku.

Sala była pogrążona w ciemnościach, ale nie była pusta. Za sceną na trzech lub czterech krzesłach rozłożeni byli bezdomni. Na szczęście spali.

- Musi mi się udać - szepnął i zajął miejsce w kącie, skąd kłoszardzi nie mogli go zobaczyć, nawet gdyby się obudzili.

W końcu zamknął oczy, aby się skoncentrować i odciąć od wszelkich zewnętrznych bodźców. Umysł ponownie podsunął mu mrozący krew w żyłach wizerunek asteroidy. Spróbował go odepchnąć, ale obraz zostawał, jak zaklinowane przeźrocze, które przeszkadza w przesuwaniu i wyświetlaniu następnych.

Położył kark na oparciu krzesła i, lekko uchylając powieki, popatrzył w sufit. Sztuczna rekonstrukcja firmamentu została wyłączona, ale to był ten sam sufit, na którym po raz pierwszy, jako dziecko, widział pas Oriona. Ten sam, który nie tak dawno podziwiał z Jenny w wymiarze, do którego teraz próbował rozpaczliwie dotrzeć.

W jednej chwili zobaczył wszystko po kolei jeszcze raz. Oczy Jenny. Ich pierwszy pocałunek. Triskelion. Drogę Mleczną. Palce jej dłoni, które splatały się z jego palcami.

Wir wciągnął go z niebywałą siłą. Rzucił w tunel głosów i bezkształtnych kolorów, gdzie spadały i przesuwały się tysiące bezimiennych twarzy.

Obudził się z ostrym kluciem po prawej stronie czoła.

Siedział na łóżku.

Kiedy ocenił otaczającą go rzeczywistość, zrozumiał, że znajduje się w swoim *alternatywnym* pokoju. Wzrok od razu padł na komodę obok biurka. Nie było rocznego trofeum atlety. W zamian za to na ścianie wisiał złoty medal. Podniósł się, by przeczytać napis: REGIONALNY TURNIEJ KOSZYKÓWKI - PIERWSZE MIEJSCE.

Uśmiechnął się. W jego wymiarze ten finałny mecz przegrali jednym punktem, z jego trzema rzutami, które na dźwięk syreny pokazała tablica, ale były to rzuty poza koszem - kwestia centymetrów. Natomiast w rzeczywistości Jenny te centymetry lekko się przesunęły na ich korzyść.

Niespodziewanie do jego mózgu dotarł głos dziewczyny.

- *Alex, słyszę cię! Wróciłeś! Proszę cię, powiedz, że tak.*
- *Tak, jestem tutaj. Dopiero co obudziłem się w moim pokoju. Dlaczego nie jesteśmy razem?*
- *Uciekłam. Nie rozpoznawałeś mnie, prawie napadłeś na mnie w Planetarium.*
- *To nie byłem już ja, Jenny. Straciłem kontrolę. Gdzie teraz jesteś?*
- *Ukrywam się. W mieście jest godzina policyjna.*
- *To znaczy?*
- *Wszyscy siedzą w domach, nie wiem, dlaczego, ale niebo stało się dziwne, jakby miał przyjść jakiś huragan albo coś gorszego.*
- *Do licha, tutaj będzie to samo, Gdzie mogę cię znaleźć?*
- *Co się tutaj zdarzy?*

- Wyjaśnię ci potem, jak mogę do ciebie dotrzeć?
- Nie wiem. Przeszłam sporo, dotarłam do stacji kolejowej. Na niebieskim szyldzie było napisane Lambrate. Potem szłam prosto.
- Widziałeś nazwę ulicy?
- Tak, via Rombon. Wygląda jak w czasie wojny, wszędzie jest wojsko...
- Wojsko?
- Tak, przez głośniki wydali rozkaz pozostania w domu. To chyba decyzja władz... Chodzi o bezpieczeństwo narodowe.
- Wariactwo...
- Proszę cię, przyjdź. Znajdziesz mnie pod mostem, niedaleko oznaczeń na autostradzie.
- Rozumiem, jesteś w pobliżu wjazdu na obwodnicę.
- Pośpiesz się, Alex. Boję się. Po obu stronach drogi są krzewy. Jeśli będą przejeżdżać żołnierze, tam się ukryję.
- Będę najszybciej jak to możliwe.

Alex przyspieszył kroku, następnie zaczął biec co sił w nogach w stronę Placu Piola i na ulicę Pacini, bezpośrednio na Lambrate. Cisza, która zapadła nad miastem, podkreślała lodowaty sens śmierci. Kiedy podniósł oczy do nieba, zobaczył tylko gromadzące się wielkie, czarne chmury, które nie pozwalały dostrzec asteroidy. Nagle ciszę przerwał dźwięk syreny, po czym podano niezrozumiałą informację wykrzykiwaną przez megafon. Głos dochodził zza jego pleców, ale był bardzo odległy.

Niebawem chłopiec widział już fasadę budynku stacji kolejowej. Kiedy przeciął plac na ukos, zauważył, że rolety wszystkich mieszkań były opuszczone. Jeszcze raz pomyślał o rodzicach zabarykadowanych w domu w jego wymiarze pierwotnym.

W opustoszałym mieście słychać było tylko odgłos jego kroków i sapania. Od czasu do czasu włączała się syrena, po której następował komunikat. Alex nie zwolnił na skrzyżowaniach ani się nie zatrzymał, żeby zobaczyć, czy światło jest czerwone czy zielone. Nie było takiej potrzeby. Na drodze nie było nawet cienia samochodu, Kiedy wskoczył pod most i znalazł się na ulicy Rombon, usłyszał krzyki. Zwolnił i próbował spojrzeć w dal, skąd, jak mu się wydawało, dochodziły. Po lewej stronie dostrzegł ulicę, która prowadziła do Placu Udine. Głos dochodził stamtąd. Zobaczył kompletnie nagiego człowieka, z długimi włosami i karabinem w ręce. Stał na środku drogi, co najmniej dwieście metrów od niego. Alex upewnił się, że nie jest obserwowany, następnie wrócił, żeby przyjrzeć się mężczyźnie. Zastanawiał się, co mu jest.

- I nadejdzie dzień sądu ostatecznego - krzyczał w pełnej histerii - i nadejdą zaprzęgi Pana, aby zabrać dusze potępione! I nadejdzie Anioł i przyniesie zmartwychwstanie! Przyjmij mnie, o Jezu Chryste, przyjmij mnie w twoje ramiona, a ze mną moich braci, a ze mną mój lud...

Alex nie zdążył wysłuchać do końca tego wezwania, gdyż nagle pojawiła się wojskowa ciężarówka i dwaj żołnierze otworzyli ogień - mężczyzna upadł na ziemię.

- Cholera - wyszeptał Alex, zanim się odwrócił i znowu zaczął biec.

Biegł ze wszystkich sił, mijając stację benzynową, rynek miejski i szereg sklepów. W końcu dotarł do mostu, o którym mówiła mu Jenny. Odwrócił się.

Ciężarówka była na początku ulicy. Jechała w jego stronę. Zobaczyli go.

- Jenny! Jenny! Jestem tutaj, Jenny! - krzyczał na cały głos.

Dziewczyna wyjrzała zza krzewu, ale Alex zauważył nie tylko jej postać, ale też drugą ciężarówkę, która nadjeżdżała z przeciwnej strony.

Oboje rzucili się biegiem do siebie.

Alex przycisnął mocno Jenny, kiedy pojazd zbliżał się do nich. Dziewczyna zawisła na jego ramieniu. Zza pleców chłopaka również dostrzegła żołnierzy na samochodzie, tych samych, co zabili mężczyznę z odległości stu metrów.

Byli otoczeni.

Nie mogli już uciekać.

W opustoszałej scenerii tej części miasta dwoje młodych ludzi w objęciach znalazło się pomiędzy dwoma pojazdami wojska gotowego do otwarcia ognia.

Z pierwszej ciężarówki wyskoczył jakiś furiat w mundurze oraz kilku żołnierzy, którzy stanęli w półkolu, uniemożliwiając młodym ucieczkę.

- Strzelajcie! - rozkazał mężczyzna. Alex popatrzył Jenny w oczy. Chcieli ich zamordować. Ale dlaczego? Nie należeli do szalonych fanatyków wydzierających się na drodze. Nie byli uzbrojeni. Byli tylko dwójką dzieciaków szukających schronienia. To nie miało sensu. Podobnie jak nie miało sensu to, że sześciolatek został poddany elektrowstrząsom przez własnych rodziców. Dwie myśli złączyły się, ale w głowie Alexa pojawiło się nowe pytanie: Co jego rodzice mieli wspólnego z grupą wojskowych? Nic. I może to była odpowiedź. Wróg nie istniał, to był koniec, który ścigał go jak czarna dziura pochłaniająca wszystko.

Jenny wytrzeszczyła oczy, kolana jej drżały, a ręce obejmowały go w pól.

- *Popatrz na mnie dogłębnie...* pomyślał Alex.

Kiedy wojskowi z palcami na spuście, gotowi do egzekucji mierzyli do nich z broni, oni wpatrywali się w siebie.

Nagle z ich uścisku wydobyło się światło, które rozeszło się wokół. Seria świetlnych wiązek wybuchła we wszystkich kierunkach, tworząc ogromną białą kopułę oświetlającą ulicę, domy i wiszące nad nimi niebo.

- Do diabła, co się dzie-dzieje? - wymamrotał żołnierz.

- Nie rozumiem... - odpowiedział dowódca, który wydał rozkaz strzelania.

Słońce już zaszło tego zimnego, grudniowego popołudnia, ale światło emanujące z uścisku Alexa i Jenny było w stanie oświetlić całą dzielnicę.

Wojskowi znieruchomieli ze wzrokiem wbitym w pustkę. W jednej chwili wszystkie otrzymane rozkazy, szkolenia, przysięgi, kodeksy, których trzeba przestrzegać, stały się tylko odległymi wspomnieniami zatopionymi w czasie. Czuli niewiarygodną siłę, która paraliżowała każdą kończynę. Żaden z żołnierzy nie strzelił, a po kilku chwilach rzucili na ziemię karabiny maszynowe. Z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała, ze wzrokiem zagubionym w świetlnej aurze stali bez ruchu, wyprostowani, ramię w ramię. Mieli zablokowane mięśnie. Siły, która ich sparaliżowała, nie można było niczym pokonać. Byli w magicznym miejscu. *Miejsce magiczne - to ja i Jenny - razem.*

33

Jenny i Alex zapatrzili się w tę surrealistyczną scenę przez kilka sekund, ale wystarczył jeden porozumiewawczy gest i oboje zerwali się w tym samym kierunku, oddalając się od mostu i pozostawiając wojskowych pochłoniętych próbą zrozumienia tego, co się wydarzyło.

„Niewiarygodne, wyglądają jak odurzeni narkotykami” - pomyślał Alex, biegnąc w stronę

dzielnicy przemysłowej. Oboje przecięli jednokierunkową ulicę, która z głównej drogi prowadziła do dzielnicy, i szybko znaleźli się na obszarze, gdzie było niewiele domów i kilka hal przemysłowych.

- Dokąd idziemy? - zapytała Jenny, dysząc coraz bardziej.
- Ukryjemy się.

Chłopiec się nie wahał. Topografia miasta w obecnym wymiarze i ta, w którym żył przez szesnaście lat, prawie się nie różniła. Skręcając w prywatną drogę ze znakiem pokazującym ślepą ulicę, znalazł schody do przejścia podziemnego, które dobrze znał. Tunel, wypełniony graffiti, przechodził pod starą linią kolejową i wychodził na powierzchnię dwieście metrów dalej. Ciężarówce wojskowej byłoby trudno ich tam wytropić.

Zeszli po schodach, zatrzymali się i usiedli na ziemi, plecami oparci o ścianę tunelu z napisem graffiti: REBIRTH - odrodzenie.

- Jenny, to była Pamięć! Jesteśmy uratowani dzięki Pamięci! Pamięcią jesteśmy ty i ja! To nasz związek. - Alex uklęknął przed nią. - Ja... ja straciłem wszystko, każdy fragment mojego dzieciństwa, na skutek elektrowstrząsów.

- Elektrowstrząsów? A kto...

- Moi rodzice, Jenny. To byli moi rodzice. Wiem, że wydaje się to absurdalne, ale zaczynam rozumieć pewne rzeczy. Jest ktoś lub coś, co chce nas zniszczyć.

- Alex, ja... nie zostałam poddana elektrowstrząsom, kiedy byłam dzieckiem. Raczej dobrze pamiętam moje dzieciństwo, ale twój głos zaczęłam słyszeć dopiero kilka lat temu, podczas pierwszych omdleń.

- Oczywiście! - Spojrzenie Alexa nagle się rozświetliło, oczy wpatrywały się w pustkę, gdy przebiegał myślą tę niewiarygodną historię i ponownie przewijał taśmę ze wspomnieniami. Jenny obserwowała go w milczeniu, jakby czekała na jakiś werdykt.

- To jasne - podjął. - Jesteśmy w kontakcie od zawsze, ponieważ ja przed elektrowstrząsami rozmawiałem z Jenny w *moim* wymiarze. Spotkałem ją właśnie w tym Planetarium i miałem silne *deja vu*, gdy wszedłem tam z tobą. Ale myślę, że ty nigdy nie byłaś we Włoszech...

- Z tego, co wiem, nigdy - odpowiedziała Jenny. - Co to wszystko znaczy?

Alex odczekał chwilę, popatrzył w zagubione oczy dziewczyny i zrozumiał, że nadszedł moment prawdy.

- W *moim* wymiarze... umarłaś w szóstym roku życia.

Jenny popatrzyła na chłopca oniemiała, jakby jego słowa nie zadziałały po takim wyznaniu tak, jak powinny.

- Czekałem, żeby ci to powiedzieć, ponieważ wszystko wcześniej było tak skomplikowane...

- Skąd o tym wiesz? - dziewczyna spytała chłodno, tonem obojętnym, patrząc gdzie indziej.

- Pamiętasz, kiedy powiedziałem ci, że widziałem triskelion? Nie chciałaś więcej ze mną rozmawiać, ale wtedy się przekonałaś.

- Tak.

- Widziałem go u ciebie w domu. A raczej w domu Mary Thompson, w rzeczywistości. W *moim* wymiarze mieszka tam teraz twoja niania. Umarłaś w szóstym roku życia, a twoja rodzina się przeprowadziła.

- Co ty, do diabła, opowiadasz? To niemożliwe! Bez sensu! I... jak... jak umarłam?

- Wierz mi, niczego nie zmyślam. Od dziecka byłem z nią w kontakcie. Nie z tobą. Wiem, że to absurdalne. Wygląda, jakbym mówił o dwóch różnych osobach.

Jenny nerwowo obgryzała paznokcie, po czym się odwróciła. Na przeciwległej ścianie graffiti z gigantycznych, zaokrąglonych liter powstało jedno słowo: FOREVERLOVE.

- Więc kim ja jestem? - zapytała Jenny, odwracając się znowu do Alexa.

- Gdy po sześciu latach od terapii elektrowstrząsami na nowo odzyskałem zdolności telepatyczne, nie mogłem już skontaktować się z Jenny z mojego wymiaru, ponieważ byłaś... *była* martwa. Ale w jakimś sensie w tobie wyraźnie jest coś z niej albo dzielicie coś, co mi pozwoliło skontaktować się po jej śmierci z tobą.

Dziewczyna nagle się podniosła. Wydawało się, że chce odejść. Zostawić go tu samego.

- Jenny - zawołał Alex, domyślając się powodu jej lęku, odrzucenia tej niepojętej prawdy. - Nie zostało nam już dużo czasu.

Zignorowała go, więc podszedł do niej i wziął ją w ramiona, zmuszając do odwrócenia się w jego stronę, bardziej gwałtownie niż tego chciał. Przez chwilę ich spojrzenia skrzyżowały się.

Wzrok Alexa był przyćmiony. Powieki mu drżały. Zaczął się wyłaniać pewien obraz otoczony obramowaniem. Coraz wyraźniej dostrzegał zarys jakiejś sylwetki. To była dziewczyna. Miała na sobie niebieski jednoczęściowy kostium z numerem 7. Alex popatrzył niżej, gdzie znajdowało się podium. Dziewczyna stała na najwyższym stopniu, to była Jenny.

Nagle chłopiec poczuł, że jest jakby wciągany do środka widzianej sceny. Nie wiedział, jak to się stało, ale znalazł się *ponad* podium. Patrzył oczami zwyciężczyni na dumnych rodziców i podziwiających ją krewnych, a na transparencie w oddali można było przeczytać. 21 ST SCHOOL CHALLENGE. Za grupą ludzi rozciągał się basen z ośmioma torami.

Alex spróbował się otrząsnąć, ale wspomnienie go sparaliżowało.

Potem wszystko stało się czarne i musiał odczekać kilka sekund, zanim powróciły wyraźne kształty.

Było tam drzewo, rząd drzew. Kierując wzrok na prawo zobaczył dobrze ubraną parę w średnim wieku. Za nimi chłopcy, także ubrani elegancko, na czarno, uroczyście. Jeszcze bardziej na prawo jakiś proboszcz ciągnął sutannę po błotnistej ziemi, a jego buty zagłębiały się w mule. W ręce trzymał metalowy pojemnik, z którego ulatniał się zapach kadzidła. Zatrzymał się przy dwóch dziurach w ziemi. Obok każdej stała trumna, którą grupka dorosłych miała opuścić na dół. Jakaś kobieta podeszła, wytarła nos i płacząc powiedziała:

- Twoi dziadkowie tak bardzo cię kochali...

I znowu wszystko stało się czarne. Jeden po drugim pojawiały się różne niewyraźne obrazy - pejzaże, osoby, coraz rozleglejsze pejzaże, osoby coraz starsze.

Sekundy ciszy, ciemności.

Nicość.

W końcu zobaczył je - wspomnienie, którego poszukiwał. Tym razem patrzył na nie, jakby to była scena z filmu - nie doświadczał tego osobiście. Głosy były wyciszone, ale wyraźne a kolory i kształty niezwykle realistyczne.

- *Mary, herbatniki gotowe?* - krzyknęła mała Jenny, klęcząc w salonie z łokciami opartymi o kanapę. Wszędzie były porozrzucane flamastry. Przed nią leżała biała kartka.

- *Prawie, kochanie, prawie gotowe...* - odpowiedziała kobieta z kuchni, kiedy mała recytowała wierszyk o niedźwiedziu i wiewiórcze.

- *Mary?* - zawołała dziewczynka.

- *Tak, maleńka?*

- *Wiesz, że wczoraj byłam w magicznym miejscu?*

- Oczywiście, że wiem, moja maleńka. Mówiłaś mi o tym wczoraj, przed zaśnięciem.

- Nieprawda, nie mówiłam, teraz ci mówię! Wiesz, że to nie jest prawdziwe miejsce?

- Myślę, że już mi o tym mówiłaś.

- Nieprawda, uff... Kłamczucha, kłamczucha, kłamczucha! Nie wiesz, co to jest magiczne miejsce, nigdy tam nie byłaś. A poza tym z tobą to nie działa! To ja tam muszę być koniecznie...

- Ach, tak? A dlaczego?

Mary Thompson pojawiła się w salonie z tacką i dwiema gorącymi filiżankami herbaty oraz miseczką pełną czekoladowych herbatników.

- Herbatniki! Nie mogłam się doczekać...

- Dlaczego ty musisz być koniecznie w miejscu magicznym?

- Ponieważ miejsce magiczne to nie jest miejsce! Widzisz, że nie wiesz? - dziewczynka roześmiała się. - Widzisz, że muszę ci wszystko opowiedzieć, bo nie masz o tym pojęcia - śmiech zniknął, a dziewczynka zamoczyła ciasteczko w herbacie.

- A więc opowiedz mi...

- Miejsce magiczne to jest to wszystko, co otacza mnie i Alexa, kiedy jesteśmy razem. Wszystko staje się piękne. To dzieje się tutaj - Jenny wskazała na swoją głowę.

- Rozumiem... to jest wspaniałe, ale już mi o tym opowiadałaś.

- Nieprawda! Dobrze... wybaczam ci. Bardzo dobre są te herbatniki, Mary.

- Dziękuję, cieszę się, że ci smakują.

- Uwielbiam je! Ale ta herbata jest wstrętna! Kupiła ja mama?

- Nie, księżniczko, ta herbata to moja specjalność. Nie należy tak mówić...

- Tak, ale jest trochę... Gorzka... ma dziwny smak.

- Pij, gwiazdeczko, pij, dobrze ci zrobi.

- Potem opowiesz mi historię o wielkim psie, który... który... Mary!

- Tak, maleńka?

- Ma-ma... Mary... nie od... - Dziewczynka zaczęła kaszleć, jej twarz stała się fioletowa, wyciągnęła rękę w stronę niani, która uśmiechnięta i zadowolona sączyła swoją herbatę - tę, do której nie wlała trucizny.

- Oto wspomnienie, którego ci brakowało... - powiedział Alex wyczerpany.

Jenny patrzyła na niego osłupiała, jakby była w hipnozie. Bardzo powoli zaczynała dochodzić do siebie, czując ciężar w głowie oraz bolesne ukłucia.

- Właśnie tak, jak myślałem.

- Że... że co?

- Teraz jest w moich wspomnieniach, Jenny - powiedział Alex, gdy ich ciała doznały wstrząsu, a oczy znowu uzyskały zdolność wspólnego widzenia.

- Zobacz samą siebie - powiedział półgłosem. - Popatrz w moje wnętrze.

Wiedział, że Jenny widzi teraz wszystko to, co on.

Podziemia stały się bardzo ciemne i umysł dziewczyny został wyrwany i przeniesiony, jakby w myślach Alexa tkwił potężny magnes, któremu żadna siła nie mogła się oprzeć. Ujrzała siebie jako małą dziewczynkę, która, dusząc się, upada na podłogę. Niania, która ją obserwuje z filiżanką herbaty w ręce, nie śpieszy jej z pomocą.

Nagle Jenny otworzyła oczy.

- To niemożliwe!

- Wiem, że to jest wstrząs...
- Nie! Nie! To bezsens! Mary... przecież ona mnie zawsze uwielbiała!
- Może ktoś nimi zawładnął. Twoją nianią, moimi rodzicami... sądzę, że za tym wszystkim kryje się coś poważniejszego.
- Boże... to szaleństwo. W twojej rzeczywistości ja zostałam zamordowana. To absurd!
- Uspokój się, Jenny... jesteś teraz tutaj, ze mną. Dziewczyna nagle odwróciła się, słysząc z oddali sygnał syreny. Chciała wstać, ale Alex przytrzymał ją za ramię.
- Zaczekaj. Nie wszystko widziałas - powiedział głośno. Popatrzyła na niego ze zdziwieniem, a po chwili znów nastąpiło połączenie wzrokowe i dziewczyna zobaczyła:
Najpierw rysunek.
Za chwilę malezyjskiego wróżbitę.
A na koniec Alexa i Marco siedzących przed komputerem i dyskutujących o końcu świata.
Kiedy Jenny ponownie otworzyła oczy, nie miała siły mówić. Nie było już nic do powiedzenia.
- Teraz wiesz wszystko. Chodźmy stąd.

34

Alex i Jenny wyszli z tunelu. Nad ich głowami rozległ się grzmot, a na peryferiach Mediolanu zaczął padać deszcz. Minęli ciąg prawie identycznych hal przemysłowych z ogromnymi bramami wychodzącymi na szerokie parkingi pełne tirów.

Wiał mroźny wiatr, a deszcz stopniowo przechodził w ulewę. Pobiegli w stronę wjazdu na autostradę państwową wychodzącą z miasta. Jedyne odgłosy jakie wokół nich rozchodziły się echem to krople deszczu, które coraz intensywniej uderzały o asfalt. Nie było ani samochodów, ani ludzi.

Za kilkaset metrów droga przechodziła pod wiaduktem i dalej biegła wśród zarośli i zmarzniętych pól.

- Dokąd idziemy? - krzyknęła Jenny i jedną ręką ściągnęła do tyłu całkowicie mokre włosy.

- Daleko od miasta. Tutaj jest pełno wojska.

Alex zwolnił kroku w pobliżu wiaduktu. Jenny przeszukała kieszenie dżinsów i wyjęła fioletową gumkę do włosów. Kiedy je wiazała, jej oczy były mokre od łez i deszczu.

- A więc umrzemy?

Alex mocno zakaszlał, a potem podszedł do niej. Prześiąknięte wodą ubrania przyklejały się do skóry, był coraz słabszy i wyczerpany.

- Ja... nie wiem, Jenny Nie mogę tego pojąć. Jestem tutaj z tobą, coś powinno się wydarzyć.

- W jakim sensie? - Dziewczyna popatrzyła na niego zakłopotana.

- Pamięć, magiczne miejsce, ja i ty razem... Coś powinno się zmienić, coś powinno się stać... Nie wiem, psiakrew!

Alex spojrział za wiadukt w stronę rozognionego nieba, z którego padał kwaśny i śmierdzący deszcz. Asteroida ciągle jeszcze tam była - dobrze widoczna, rozżarzona masa skalna na ostatnim odcinku lotu w stronę Ziemi, tuż przed zderzeniem z nią. Nic się nie zmieniło.

- Może to nie my... może Pamięć nie istnieje.

- Poszukajmy miejsca, w którym możemy się schronić. Jakiegoś domu, czegokolwiek. Nie możemy tu zostać.

Alex przytaknął, potem podszedł do Jenny i delikatnie pocałował ją w czoło. Ona zamknęła oczy i na moment opuściła głowę na jego pierś.

Niebo przecinały groźne uderzenia piorunów.

Szli w ciszy.

Posuwali się szybkim krokiem wzdłuż drogi. Minęli rondo i myjnię samochodową. Starali się o niczym nie myśleć, póki w oddali za stacją benzynową nie zobaczyli zarysów domów. Na białym szyldzie widniała nazwa jakiejś miejscowości.

- Chodźmy, Alex... na dół - powiedziała Jenny.

Po przejściu zaledwie kilku metrów zdali sobie sprawę, że także i tu obowiązywała godzina policyjna. Ulice były opustoszałe, sklepy zamknięte, a rolety w oknach opuszczone. Otwarty był jakiś kiosk, ale nie dostrzegli w nim sprzedawcy.

Nagle w głębi drogi pojawiło się światło.

- Co to jest? - Jenny ścisnęła ramię Alexa.

- Kręci się jak reflektor... jak... Do licha, to patrol. Tutaj też jest wojsko!

Nie mieli czasu do stracenia. Pojazd był raczej daleko, a światło reflektora jeszcze ich nie objęło. Kiedy smuga świetlna obracała się, oświetlając rzędy dwupiętrowych domów po prawej stronie ulicy, Alex chwycił Jenny za rękę i pociągnął w przeciwnym kierunku. W odległości kilku metrów zobaczyli wąską uliczkę prowadzącą do centrum miejscowości. Weszli w nią, nie oglądając się za siebie. Dalej biegła szeroka ulica, bez żadnych oznak życia, w nierealnej ciszy przerywanej tylko uderzeniami piorunów.

- Co robimy? - krzyknęła Jenny.

- Musimy dokądś uciec.

Jenny rozejrzała się. Po drugiej stronie drogi stały rzędy bliźniaczych willi. Deszcz padał nieustająco na prywatne ogrody, uderzając o skrzynki pocztowe i odbijając się o dachy- O tutaj, na dole, Alex...

- Co?

- To okno! W środku się świeci. Widzisz?

Alex odgarnął z czoła zupełnie przemoczone włosy, zmrużył oczy, aby zobaczyć coś z daleka i dostrzegł punkt wskazany przez Jenny.

- Przynajmniej tutaj jest jeszcze elektryczność... – skomentował półgłosem.

- Chodźmy! - Jenny była zdecydowana. Zrobiła kilka szybkich kroków do przodu.

- Jest godzina policyjna, nie otworzą nam! - krzyknął Alex, kiedy dziewczyna zbliżała się do drzwi wejściowych willi.

Dołączył do niej, gdy zobaczył, jak z determinacją wali pięściami o masywne drewno.

- Kto tam? - usłyszeli głos ze środka, poprzedzony dość długą chwilą ciszy.

- Proszę pana... - zawołała Jenny - jesteśmy we dwoje. Jest ulewa, proszę nas wpuścić.

Żadnej odpowiedzi.

- Proszę pana!

- Wróćcie tam, skąd przyszliście! Zostawcie nas w spokoju, zrobiliśmy to, co chcieliście, zamknęliśmy się w domu!

- Proszę pana - włączył się Alex. - Jesteśmy tylko dwójką młodych ludzi, zgubiliśmy się, jest

pełno wojska. Błagam pana, proszę nam pomóc.

Nagle w drzwiach ukazała się wąska szczelina i Alex dostrzegł twarz mężczyzny. Musiał mieć około osiemdziesięciu lat. Kiedy zobaczył dwoje nastolatków, powoli otworzył drzwi.

- Wejdźcie - powiedział szorstko, usuwając się na bok, aby zrobić im przejście.

Starzec dobrze zamknął bramę i odwrócił się do nich. Alex i Jenny zobaczyli jego okazałą posturę. Był bardzo wysoki, miał gęste wąsy i brwi, ubrany w kurtkę górską, a na prawym ramieniu przewieszony pas, który podtrzymywał karabin.

- Teraz szybko opróżnijcie kieszenie! - nakazał i przyłożył wycelowaną w nich broń do ramienia.

Jenny znieruchomiała z przerażenia.

- Dalej! - ponaglał mężczyzna.

Alex odwrócił się do wystraszonej dziewczyny, która z kieszeni wyjmowała jakieś drobne monety, bilety autobusowe i klucze od domu.

- Rób, co mówi, spokojnie.

Jenny nie była w stanie się opanować.

Wybuchła płaczem i ukłękła z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Co się tu, do licha, dzieje? - rozległ się kobiecy głos za ich plecami.

Alex podniósł wzrok i zobaczył mniej więcej pięćdziesięcioletnią kobietę, w długiej, ciemnozielonej spódnicy, w grubym swetrze z wysokim golfem i z kręconymi włosami okalającymi smutną twarz.

Kobieta położyła rękę na ramionach mężczyzny.

- Przestań, tato... to tylko dwójka dzieciaków. Przestraszyłeś ich śmiertelnie.

Mężczyzna opuścił karabin, podniósł brwi i odetchnął. Następnie cofnął się, kiedy córka staruszka przyklękła koło Jenny.

- Co ci się stało, skarbie? Jesteś kompletnie przemoczona. Chodź ze mną, zaprowadzę cię do łazienki.

Jenny wstała, rzuciła okiem na uśmiechającego się do niej Alexa.

- Mam na imię Agnese. Chodźcie, znajdę wam suche ubrania. Jeśli nie będziemy sobie pomagać w takich chwilach...

Alex i Jenny poszli za nią na piętro willi i przebrali się. Agnese przygotowała im spodnie i swetry za duże o kilka numerów, ale w tej chwili było to najlepsze, o co mogli prosić. Następnie zeszła z nimi na dół i zaprowadziła ich do na wpół podziemnej karczmy.

Alex wszedł nieśmiało na salę. Na ścianach były obrazy przedstawiające sceny z polowania, a nad kominkiem wisały dwie skrzyżowane strzelby.

Pośrodku karczmy stał nieheblowany drewniany stół z sześcioma stołkami. Na czołowym miejscu zasiadał mężczyzna, który ich wpuścił. Obok niego dwoje ośmioletnich dzieci, które spoglądały na nich zdziwione.

Po drugiej stronie sali, w fotelu koło kominka, rozsiadła się starsza pani.

- Oto nasza rodzina - powiedziała z dumą Agnese. - Paolo i Stefano, babcia Ada i dziadek Giovanni, którego już... poznaliście. Co wy robicie poza domem, dzieci? Dlaczego nie jesteście z waszymi rodzinami?

Alex zwlekał, drapiąc się po karku. Następnie odpowiedział po ataku kaszlu:

- Zgubiliśmy się. Nie udało nam się wrócić do domu i...

- Wyobrażam sobie, jak jesteście głodni - przerwała mu kobieta, jakby naprawdę nie była

zainteresowana jego wyjaśnieniami.

Jenny napięła plecy i nieśmiało przytaknęła.

- Czekamy na tatę - wtrąciło się jedno z dzieci.

- Poszedł po coś do jedzenia - dodało drugie.

Dziadek zapuchniętymi oczami i ze zmęczoną miną przyglądał się Alexowi i Jenny.

- Jeśli go znajdą, nikt z nas nic nie zje. Nigdy bym nie przypuszczał, że zobaczę jeszcze jedną wojnę... bo właśnie to się dzieje, dzieci. Wiecie o tym, prawda? Jesteśmy na wojnie.

Agnese oddaliła się, podczas gdy dzieci zajęły miejsca na kanapie, obok kominka.

Niebawem kobieta wróciła, w rękach trzymając dwie filiżanki herbaty.

- W tej chwili mogę wam dać tylko to - powiedziała, stawiając na stole parujący napój. - Mówiąc szczerze, zostało nam tylko trochę herbaty, ale przynajmniej was rozgrzeje.

Jenny uśmiechnęła się, Alex podziękował i każde chwyciło swoją filiżankę, obejmując ją obiema rękami.

- Skończyło się nam także drewno, w przeciwnym razie rozpalilibym kominek. Kaloryfery niestety nie działają - próbowała się tłumaczyć Agnese, gdy goście małymi łykami sączyli napar.

Minęło kilka minut w ciszy, nikt nie odważył się nic powiedzieć. Jenny i Alex popatrzyli na siebie przez chwilę.

- *Nie ma już nadziei, prawda?* - Pomyślała dziewczyna. Nikt nie mógł słyszeć jej myśli poza Alexem.

- *Me wiem, boję się, że nie. Nie mam pojęcia, jak znaleźć Pamięć. Nawet nie wiem, czy naprawdę istnieje.*

W tym momencie rozległy się uderzenia do drzwi wejściowych. Jedno po drugim, gwałtowne.

Starzec wstał nagle, chwycił oparty o krzesło karabin i przełożył pas nad głową. Potem szybko podszedł do drzwi. Jakiś głos z zewnątrz nieustannie krzyczał:

- Otwórzcie, szybko... to ja, Carlo!

Do domu wszedł brodaty mężczyzna w pomarańczowym hełmie na głowie. Jego szyja była brudna od ziemi i krwi.

Wciągnął czarny worek, podobny do tych na śmieci. Zrobił kilka kroków przy wejściu, a Agnese pobiegła i go objęła.

- Co ci się stało? - zapytała, szlochając.

- Uspokój się, kilka kawałków szkła, ale nic mi nie jest. Mężczyzna zajął miejsce przy stole, a Agnese wytłumaczyła mu, dlaczego chłopak i dziewczyna są z nimi.

- Dzisiaj wieczorem będziecie tutaj spać - powiedział mężczyzna bez zmruczenia oka. - Na zewnątrz rozpętało się piekło.

- To znaczy? - zapytał Alex.

- Pracuję przy wykopach przy centrum handlowym, tym na osiemdziesiątym kilometrze drogi państwowej. Wiesz gdzie?

- Tak, przy tym nowym... - odpowiedział chłopiec, ale jego wzrok przyciągnął symbol znajdujący się na hełmie, który mężczyzna położył na ziemi. Biało-czarny prostokąt przecięty żółtą błyskawicą. Wydał się mu znajomy, ale nie był w stanie przypomnieć sobie, gdzie go już widział.

- Spotkaliśmy się tam z kolegami. Od wielu dni prace są przerwane, ale my wiemy, gdzie są

klucze do koparek. Ruszyliśmy jedną w stronę starego supermarketu oddalonego dwieście metrów stąd i...

Agnese patrzyła na niego pełna obaw.

- Wylamaliśmy drzwi wejściowe. To był jedyny sposób, żeby przynieść do domu żywność.

- No, no! - krzyknęło jedno z dzieci, nie rozumiejąc powagi i ryzyka takiego ekstremalnego zadania, w którym dopiero co brał udział jego ojciec.

- Kiedy załadowałem worek do samochodu - ciągnął mężczyzna, wyraźnie wykończony - na zewnątrz pojawiła się ciężarówka wojskowa. Udało mi się uciec, ale boję się, że moi przyjaciele nie zdołali. Boże...

Agnese podeszła do mężczyzny i objęła go, pochylając się i przytulając głowę męża do swojej piersi.

- Idź to zdezynfekować, skarbie... O jedzeniu pomyślę ja. Przygotuję dla rodziny godny posiłek, bez względu na to, co dzieje się na zewnątrz.

35

„Dlaczego ci ludzie muszą umrzeć?” - myślał Alex, popijając herbatę z wyszczerbionej filiżanki.

Agnese przejrzała zawartość worka i wyjęła z niego wszystko: sosy w tubkach, pudełka z jarzynami, pojemnik z chlebem, ziemniaki w woreczkach, wędliny w plasterkach, soki owocowe.

Następnie zaczęła starannie nakrywać stół, aby nie dać dzieciom odczuć ciężaru sytuacji i postawić przed gośćmi porządną kolację, przygotowaną z żywności zdobytej szczęśliwym trafem.

- *To niesprawiedliwe, że wszystko tak się skończy.*

Jenny usłyszała refleksję Alexa. Dzielila z nim każdą pojedynczą myśl. Zjadła z trudem, mimo pustego żołądka. Napięcie nie dawało jej wytchnienia. Wzięła kromkę chleba i posmarowała ją pasztetem z tuńczyka. Każdy kęs z oporem przechodził jej przez usta.

Po kolacji, mimo uwag starca o wojnie, Giovanni i Agnese przygotowali kawę, jakby nic się nie działo. Ada, jego żona, która przez cały czas siedziała w fotelu, odmówiła jedzenia, z łagodnym i spokojnym uśmiechem wymalowanym na twarzy.

Przed podaniem kawy na stół Agnese zawołała dzieci i zaprowadziła je na piętro. Jenny właśnie wyszła z łazienki, kiedy zza przymkniętych drzwi pokoiku braciszków zobaczyła pochyloną kobietę oblekającą ich kołdry.

- Dobranoc, moje aniołki - wyszeptala i ucałowała je. Jenny odwróciła się, nagle zatrzymał ją rysunek zawieszony na drzwiach. Przedstawiał upozowanych wszystkich członków rodziny. Pod spodem było napisane: „Kochamy was”, a obok podpisy dwójki dzieci. Z trudem powstrzymała łzy. W jej pamięci stanął apokaliptyczny rysunek Alexa, przypominający o przeznaczeniu, jakie czekało rasę ludzką.

To była dla wszystkich ostatnia noc. Wigilia końca.

- Dobranoc, dzieci. Agnese pokaże wam pokój gościnny. - Carlo lekko się uśmiechnął, a Alex i Jenny odwzajemnili uśmiech.

- Jutro nas zaatakują, czuję to... - powiedział dziadek z łokciami opartymi na stole i

wzrokiem zagubionym w pustce.

Agnese zaprowadziła ich do pokoju, potem życzyła dobrej nocy i zniknęła.

Alex i Jenny zamknęli za sobą drzwi.

Przed nimi znajdowało się małżeńskie łóżko z brązowym nakryciem zawiniętym w miejscu poduszek i biała puchowa kołdra, nakrywająca materac. Po drugiej stronie pokoju stała wielka szafa, prawie sięgająca sufitu. Tu i ówdzie na ścianach wisiały małe grafiki wykonane dawnymi stalówkami.

Jenny usiadła na brzegu łóżka naprzeciw okna z opuszczoną żaluzją, odwrócona plecami do Alexa.

Z drogi dochodziły jakieś krzyki. Może ktoś nie przestrzegał godziny policyjnej. Albo szabrował sklepy, żeby zdobyć jedzenie.

- Jest zimno - powiedziała Jenny półgłosem. Alex oparł ręce o wyłączony kaloryfer.

- Myślałaś kiedyś o tym?

- O czym? - spytała, nie odwracając się.

- O tym wszystkim: o domu, rodzinie, dzieciach. Normalnym życiu...

Jenny podniosła wzrok i uśmiechnęła się, wzdychając.

- Nie wiem... tak, może... Zgaś światło.

Alex nacisnął wyłącznik obok drzwi i przeniósł się na drugą stronę łóżka, aby przez szczeliny żaluzji obserwować, co dzieje się na zewnątrz.

Jenny tymczasem wstała i zdjęła wełniany sweter, który dostała od Agnese a potem ściągnęła spodnie.

Kiedy się odwrócił, dziewczyna leżała w podkoszulku i majtkach. Kształty jej ciała zacierały się w ciemności.

- Zobaczysz, że wszystko pójdzie dobrze - powiedział Alex, zdradzając w głosie niepewność i oparł drżące ręce o biodra Jenny. -Znajdziemy tę Pamięć.

- A jeśli to będzie nasza ostatnia noc?

Jenny chwyciła dłoń Alexa i poprowadziła je ku swoim plecóm. Zbliżyli się nieśmiało w kompletnej ciemności.

Kiedy ich ciała były blisko siebie, Alex pochylił głowę, a jego wargi odnalazły wargi Jenny. Jego ręce sunęły wzdłuż pleców, aby zatracić się w jej włosach.

- Myślisz, że to jest nasza ostatnia wspólna noc? - zapytał Alex, lekko się odsuwając.

Nie odpowiedziała, usiadła na twardym materacu i wyciągnęła się, tuląc głowę w zwiniętym nakryciu.

Alex oparł się kolanami o brzeg łóżka i pochylił do przodu, kładąc przedramiona blisko pleców Jenny. Lekko muskał jej czoło, nos, policzki i usta, a potem ją pocałował.

Z ulicy dochodziły krzyki. Kiedy częściowo umilkły, z oddali rozległ się donośny ryk głośnika. Wrzawa z zewnątrz stała się tłem dźwiękowym tej romantycznej chwili.

Przetoczyli się kilka razy po łóżku. Piersi Jenny, ciągle okryte koszulką, naciskały na klatkę Alexa, a lodowaty triskelion zwisał z jej szyi.

Jenny położyła się na nim i zdjęła koszulkę. Alex chwycił za nakrycie i otulił plecy dziewczyny tworząc małą chatkę. Schowali się, całując pod kołdrą, odizolowani od reszty świata. Rozebrali się całkowicie i na moment znieruchomieli - oddechy nabrały jednego rytmu, a myśli stały się jednością.

Siedzieli w Planetarium za sklepieniem niebieskim ponad ich głowami i trzymali się za

ręce. Mieli mniej więcej po cztery lata. Matka Jenny wróciła do Włoch, aby odwiedzić rodziców w Rzymie. Ojciec zorganizował córce dzień w Mediolanie, gdzie podziwiali zamek Sforzów, kanały i katedrę. Poszli także do Planetarium, natrafiając prawie przypadkiem na kopułę, która wyrastała z ogrodów publicznych przy Porta Venezia. Stanęli w kolejce. Przed nimi Giorgio i Valeria Loriowie z małym Alexem. Kiedy weszli, dzieci siadły koło siebie przy rodzicach. Ich palce i ramiona po raz pierwszy delikatnie zetknęły się i splotły w dziecięcej niewinności. Trzymali się za ręce przez cały czas trwania konferencji.

Wspomnienie tamtego popołudnia sprzed wielu lat wciągnęło ich na kilka chwil głęboko w przeszłość. Nie byli w stanie odróżnić już snu od rzeczywistości.

Kiedy znowu otworzyli oczy, ściskali się owinięci ciepłą i miękką kołdrą.

Kochali się tak, jak zawsze o tym marzyli. Pierwszy i może ostatni raz. Gdyby ktoś przyglądał się tej miejscowości z góry, zobaczyłby silną łunę rozchodzącą się z tego domu. Ale na niebie ponad nimi była tylko olbrzymia asteroida, gotowa roztrzaskać powierzchnię Ziemi.

Zasnęli w objęciach pod kołdrą i tak trwali przez całą noc. Na zewnątrz tymczasem nasilały się krzyki i strzały.

To była ostatnia noc przed końcem świata.

36

Kiedy Jenny z trudem otworzyła oczy, w pokoju panowały egipskie ciemności.

Nie umiała powiedzieć, która była godzina ani jak długo spali. Wstała, aby zerknąć przez szczeliny żaluzji, ale udało jej się zobaczyć tylko gęstą mgłę, która otulała wioskę.

- *To było wspaniale...* - pomyślał Alex, gdy przyglądał się Jenny stojącej przy oknie.

- *Dla mnie też...* - odpowiedziała na jego myśl i odwróciła się. Usiadła na skraju łóżka i położyła mu rękę na piersi.

- Co się dzieje na zewnątrz?

- Jest tylko gęsta mgła. Może byłoby lepiej zejść na dół.

Alex podniósł się i poczuł obolałe mięśnie nóg, potem odnalazł ubranie i włożył je na siebie. Jenny zrobiła to samo. Oboje dobrze wiedzieli, co się działo poza tym pokojem, ale ich myśli powracały do tego, co stało się tutaj w nocy.

Pocałował dziewczynę w czoło i otworzył drzwi.

Schodzili powoli ze schodów, jakby obawiali się, że kogoś obudzą. Nie było słyhać hałasów czy głosów, a kiedy byli w połowie schodów ich nozdrza zaatakował śwąd.

- Nie czujesz zapachu spalenizny? - szepnął Alex.

- Tak, zdaje się, jakby... - Jenny spojrzała ku niebu, ale zaraz przegnała myśl, która przyszła jej do głowy. - Chodźmy zobaczyć.

Przemknęła korytarzem, mijając łazienkę i komórkę, a kiedy ostrożnie zbliżyła się do kuchni, ujrzała w niej pomarańczowe kafelki.

To, co stało się zaraz potem, zmroziło ją i sparaliżowało. Alex, idący za nią, zobaczył, że stanęła jak nad krawędzią przepaści.

- Pieczeń się spaliła! Do licha... - powiedziała Klara Graver, odwracając się. W fartuchu, w rękawicach kuchennych wyciągała brytfannę z pieca; miała smutne spojrzenie. - Prosiłam cię, żebyś mi pomógł.

„Mamo, co ty tu robisz?” - pomyślała Jenny, nie mogąc wypowiedzieć ani jednego słowa. Głos utknął w gardle, jakby ktoś zacisnął jej pętlę na szyi.

Alex zrobił kilka kroków do przodu, ale jak tylko zobaczył tę scenę, czyjeś kroki odwróciły jego uwagę.

- Przyjacielu... - powiedział znajomy głos z głębi korytarza. - Dzisiaj w nocy zламаłem system. Nie uwierzysz, praca godna zapamiętania.

Alex odwrócił się i nagle zobaczył go przed sobą. Stał na własnych nogach, z promiennym spojrzeniem i wyciągniętymi ramionami, jakby prosił o uścisk.

- Marco...

Jenny cofnęła się ogarnięta lękiem. Teraz była u boku Alexa.

- Co się dzieje? Czy my śnimy? - zapytała. Jej ręce były lodowate, trzęsła się od stóp do głów.

Alex nie wiedział, co odpowiedzieć, kiedy Klara i Marco im się przyglądali.

- Ej, przyjacielu - ciągnął Marco - nie jest ci gorąco?

Alex objął Jenny i przyciągnął do siebie, aby odwrócić jej uwagę od tego, co miało się wydarzyć.

Tymczasem ciało Marco ogarnięte płomieniami zaczęło się zwęglać. Na twarzy odbijał się głupi uśmiech, podczas gdy jego kończyny rozpadały się na kawałki.

- Nie! - krzyknął Alex, a Jenny miotła się. To samo działo się w kuchni. Brytfanna wypadła z rąk Klary, fartuch zajął się ogniem i kobietę otoczyły płomienie.

Jenny stała jak wryta, ściśnięte gardło uniemożliwiało jej mówienie. Jedną rękę położyła na ustach, a drugą szukała Alexa.

- Powiedz mi, że to jakiś koszmar senny, proszę cię... - bąknęła, a jej oczy wpatrywały się w stos popiołów na kuchennej posadzce.

- To jest to, co wydarzy się za parę godzin - usłyszeli z dali zachrypnięty głos. Alex i Jenny odwrócili się, ale korytarz był pusty. Przebiegli przez niego, omijając resztki ciała Marco. Kiedy znaleźli się w holu, głos zabrzmiał ponownie, tym razem bliżej:

- To jest koniec, jaki czeka wszystkich, jak tylko skała rozpadnie się w ziemskiej atmosferze.

Alex mocno ścisnął rękę Jenny i podążyli w stronę karczmy, skąd, jak się wydawało, dochodził głos.

Kiedy weszli, na krześle obok kominka nie było już starej kobiety z poprzedniego wieczoru.

- Miło mi was widzieć, dzieci. Nazywam się Thomas Becker.

Siedział ze skrzyżowanymi nogami, a w ręku trzymał notes i ołówek. Wyglądał jak stary, emerytowany profesor. Słabe światło lampy odbijało się na jego wyłysiałej głowie. Zapadnięte policzki, czoło porane grubymi bruzdami sprawiały, że wyglądał na jakieś osiemdziesiąt lat. Jego głos był głęboki, ciepły, spokojny i fascynujący zarazem, jak głos spełnionego aktora.

- Mam pewne odpowiedzi, tak, ale nie wszystkie - powiedział mężczyzna. - Najważniejszą musicie znaleźć sami.

- Ale pan... - spróbował odpowiedzieć Alex.

- Kiedy wiele lat temu przyszedłem na uniwersytet w Dortmundzie, zapisałem się na Wydział Astrofizyki. Mój ojciec chciał dla mnie kariery adwokackiej, a ja byłem niezdecydowany aż do końca. Potem zrobiłem tak, jak chciałem. Dwa lata później, podczas

pewnej konferencji, dały się słyszeć strzały na zewnątrz auli. Młody student zabił swojego kolegę z roku. Pisano o tym we wszystkich gazetach. Zostałem w auli, mimo że ciekawość i pokusa wyjścia były ogromne.

- Ale co to znaczy? - przerwał mu Alex.

- Słuchajcie! - Becker zakaszłał i uderzył palcem wskazującym w notes. - Kilka lat później wycofałem się ze zaręczyn z pewną kobietą, którą mogłem poślubić. Kirsten była piękna i inteligentna, ale ja byłem za bardzo pochłonięty moimi studiami, aby jej poświęcać czas.

- Dlaczego pan opowiada nam to wszystko? - wybuchła Jenny. - Gdzie jesteśmy i co się dzieje?

- Świat się kończy, nie widzisz? - Becker rozejrzał się dookoła i jak tylko młodzi oderwali oczy od niego, zorientowali się, że już nie byli w karczmie.

Wokół była tylko opustoszała, zlodowaciała ziemia.

Becker podniósł oczy do nieba, a oni poszli za jego spojrzeniem. Asteroida była coraz bliżej, czerwona i rozżarzona. Zostawiała za sobą smugę podobną do tej, jaką pozostawia kometa; wydawało się, że krąży wokół własnej osi, podczas gdy z ogromną prędkością zmierzała ku Ziemi.

- Co za diabeł? - Alex złapał Jenny za dłoń.

- To nie jest nic innego jak przesłanie. Jedyne sposob, aby z wami pomówić. Kiedy zniknę z waszych umysłów, nigdy się już nie zobaczymy.

- Nie wiemy, jak się uratować! Co to jest Pamięć? - krzyknęła Jenny.

- To nie będzie miało sensu, jeśli wam powiem.

Alex i Jenny wymienili spojrzenia pełne lęku i zagubienia. Potem zrozumieli, że znowu znajdują się między murami karczmy. Wiszące nad kominkiem strzelby dziadka dawały im poczucie bezpieczeństwa.

- Dlaczego moi rodzice poddali mnie elektrowstrząsom? - dopytywał Alex. - I dlaczego niania Jenny w moim wymiarze ją zamordowała?

- Ponieważ od takich ludzi jak my - odpowiedział Becker, z zamiarem nabazgrania czegoś w notesie - promieniuje światło. Ktoś, kto was skrzywdził, nie był tego świadomy. Zrobił to i basta. Istnieje energia we wszechświecie... to jest ta sama energia, która daje życie i je niszczy. Często niewidzialna i nieokreślona płynie wokół nas, krąży wokół naszego życia i czasami nim zawładnie.

- Nic nie rozumiem! - wybuchnął Alex.

- To nie twoi rodzice poddali cię elektrowstrząsom.

Chłopiec znowu pomyślał o chwili, w której zmarł, zraniony nożem.

- Każdy z nas żyje w potencjalnie nieskończonej liczbie istnień. Niewiele osób ma tego świadomość. Jesteście wśród nich. Ale dusza, która łączy każdą naszą pojedynczą egzystencję... jest tylko jedna. We mnie żyje każdy Tomas Becker, którym postanowiłem nie być. Jest ten, który ożenił się z Kirsten, i ten, który poszedł za radą ojca i zajął się adwokaturą...

Jenny zmieszana potrząsnęła lekko głową. Alex dalej przyglądał się starcowi.

- ...i jest ten, który zmarł w młodym wieku, wychodząc z auli po usłyszeniu pierwszego strzału, stając między dwoma studentami. Ale jest też wielu innych, których nie mogę sobie wyobrazić. Albo których nie jestem w stanie sobie przypomnieć.

Jenny uniosła brwi i nic nie powiedziała, lecz Alex uświadomił sobie, że w Jenny zamieszkuje część duszy jej alter ego z jego rzeczywistości - małej dziewczynki, zamordowanej

przez Mary Thompson.

- Asteroida zniszczy wszystko, czyż nie? - zapytał Alex. – Każda możliwość naszego życia zostanie zniszczona?

Profesor odczekał i uśmiechnął się.

- Koniec jest zarazem początkiem. Nie istnieją przyczyna i skutek, to wy poruszacie się między przyczynami i skutkami.

Alex patrzył pod nogi, kiwając głową, kiedy pomyślał, że Marco zadowolilyby te wyjaśnienia, lecz dla niego zdawały się być gładzeniem szaleńca.

- Asteroida spadnie - podjął Becker. - Spadnie w każdym możliwym wszechświecie. Już niedługo. Wszystko to, co znacie, skończy się.

Profesor podniósł wzrok znad kartki i spojrzał na dwoje młodych ludzi, jakby chciał nacieszyć się nagłym zdziwieniem wymalowanym na ich twarzach.

- Proszę posłuchać - odparł Alex stanowczo. - Jeśli jest jakiś sposób, żeby się uratować, proszę nam powiedzieć, póki zostało jeszcze trochę czasu.

Becker spojrzał mu w oczy. Przytrzymał go wzrokiem, podczas gdy wszystko wokół nich rozpadało się i znikało - mury, stoły, krzesła i kafelki były wsysane przez wir, pozostawiając starca i dwoje młodych ludzi w niezemskiej i delikatnej otchłani, gdzie istniały już tylko spojrzenia i głosy. Potem odwrócił notes i wyciągnął rękę, aby pokazać swoje zapiski Alexowi i Jenny. Napis, skopiowany i powtórzony, dosłownie krzyczał z papieru:

PAMIĘĆ

37

Pudełko zawsze znajdowało się w tym samym miejscu.

Nie było ruszane, od kiedy Marco zamieszkał w tym domu.

Komoda koło okna sypialni, pierwsza szuflada od góry.

Wziął je z błyszczącymi oczami.

Położył na kolanach, oparł ręce na kołach wózka inwalidzkiego, kierując go do drugiego pokoju. Ukochana „sala komputerowa” -kiedyś jego królestwo - dzisiaj stała się bezużytecznym salonem z urządzeniami pozbawionymi życia z powodu całkowitego odcięcia elektryczności. Marco z utrudniającą oddychanie gulą w gardle, popatrzył na komputer.

„Dzięki. Nie poradziłbym sobie bez was. Zwyciężyła natura. Z drugiej strony, ona zawsze zwycięża...”

Chłopiec rzucił okiem na okno. Spojrzał na niebo i wydawało mu się, że ogląda wspaniałą, kolorowy fresk. Wyglądał jak plama Jowisza.

Marco uśmiechnął się gorzko i wrócił do sypialni.

- No, Alex, przyznaj się. Myślisz, że to jest prawdziwa plama... - powiedział kiedyś w nocy do przyjaciela, rozbawiony i dumny ze swoich badań. - A to nic innego, jak burze i huragany, które od wieków kotłują się na powierzchni Jowisza. My widzimy go, jakby był nieruchomy. A w rzeczywistości jest prawdziwą katastrofą naturalną! Rozumiesz? Wszystko jest względne. Obserwacja może być myląca, w zależności od odległości.

- Przyznaję, sądziłem, że to, co tam jest, to coś innego. Jakiś rodzaj gigantycznego rysunku na gruncie.

- Alex, Jowisz nie ma gruntu, to planeta gazowa, a nie skalista jak Ziemia.
- Poddaję się. Włącz Play, to sobie ją osądzisz!

Pamiętał tę wymianę ciętych odpowiedzi, jakby to było wczoraj.

„Bardzo mi cię brakuje, mój przyjacielu. Kto wie, gdzie teraz jesteś?”

Marco położył pudełko na łóżku, a potem je otworzył.

Zdjęcia z jego dzieciństwa.

Laurki z życzeniami dla rodziców, które sam wymyślał i rysował od małego, z papierowymi oknami, które się otwierały i odsłaniały niespodzianki.

Zdjęcia Cannone - jego labradora. Odszedł rok przed śmiercią rodziców. Był dla niego jak starszy brat.

„Musi być jakiś wymiar, w którym moje życie potoczyło się dobrze, w którym mieszkałem z moją rodziną, z moim psem, miałem nogi...”

Marco zatrzymał się nad fotografią, która przedstawiała ojca podczas łowienia ryb - z wyprostowanymi ramionami, trzymającego wędkę, z głową odwróconą w stronę dziecka, które bawiło się robakami, kiedy jeszcze mogło biegać.

Uśmiech taty, szczęście w oczach mamy przygotowującej piknik. Nostalgiczny motyw. Marco przycisnął fotografię do piersi.

- Nigdy nie wierzyłem w istnienie istoty wyższej - zaczął głośno, jakby chciał obwieścić to niewidocznej publiczności. - Zawsze wierzyłem w naukę. Nie sądzę, żeby była jakaś przyszłość. Nasz czas się skończył, ta skalna masa da początek napisom końcowym. A jeśli kiedyś byłaby jakaś druga możliwość, jeśli kiedyś byłoby jakieś *później*... chciałbym was bardzo uściskać.

Z twarzy Marco spłynęły na fotografię łzy, zniekształcając sielankowy obraz dnia.

Przyjaciel Alexa na kilka minut zamknął oczy. Płakał, aż prawie stracił oddech. Wszystkie badania, które prowadził, wszystkie cuda technologiczne, z którymi robił doświadczenia, które budował... wszystko to właśnie się kończyło. Nie będzie już nowego świtu.

Już nigdy nie obudzi się z pytaniem: „Co wymyślę dzisiaj?”

I nie będzie mógł już nigdy otworzyć tego pudełka i zapłakać, i uwolnić się od cierpienia, które od zbyt wielu już lat mu towarzyszyło.

Marco uniósł ręce do twarzy, a potem przejechał nimi po włosach. Jeszcze chwilę pozostał z fotografią przyciśniętą do serca. Jedyne miejsce, z którego jego rodzice nigdy nie odeszli.

Potem jakiś dźwięk, którego nie potrafił zidentyfikować, rozerwał ciszę. Najpierw był grzmot, a po nim nastąpiło coś podobnego do odgłosów trzęsienia ziemi, ale pochodziło z góry.

Marco podjechał wózkiem aż do okna. Na zewnątrz ludzi ogarnęła panika. Zawracali na ulicach miasta, niektórzy stali nieruchomo z głową zadartą w kierunku gwiazd, inni biegali bez konkretnego celu, ktoś zamykał oczy, żeby niczego nie widzieć. Wrzawa spowodowana ludzkimi krzykami, wyciem psów, wrzaskami tych, którzy patrzyli w niebo budziły grozę. Ale nie było to silniejsze od mrozącego krew w żyłach dudnienia, które pochłaniało planetę.

Wisiało ponad ich głowami.

Ogromne.

Potężne.

To był ostatni rozdział, który właśnie się pisał. Asteroida była jak rozżarzona smuga, która przecinała sklepienie niebieskie na dwie części i nawet Marco ze swoją znajomością fizyki astronomicznej nie był w stanie przewidzieć, gdzie dokładnie spadnie i jaki rodzaj szkód wyrządzi. Wiedział, że od momentu uderzenia potężny wstrząs rozejdzie się w promieniu tysięcy

kilometrów. Jak kamień wrzucony do morza wprawia w ruch fale, które rozchodzą się wokół, tak tsunami na morzu, trzęsienia ziemi na lądzie stałym i zakłócenia klimatu powodują przesunięcie się osi ziemskiej i niszczą najbardziej odległe zakątki planety.

Marco zacisnął ręce wokół poręczy wózka, aby się nie wywrócić. Serce biło mu jak oszalałe, oczy były wpatrzone w asteroidę, która niebawem miała wszystko zniszczyć.

Tuż przed nim zaczęły drzeć okna i pękać ściany. Jego cenne książki spadały z komody jedna za drugą.

Z ulicy dochodziły krzyki, płacz i szaleństwo ludzi. Drzewa kołysały się, niektóre łamały, jak podczas nawałnicy. Anteny z sąsiednich dachów odlatywały porwane siłą wiatru. Marco obserwował wszystko w ciszy, nieruchomy, bezsilny. Nie wyjdzie na ulice Mediolanu, by dołączyć do apokaliptycznego chóru, który błaga naturę o litość. Będzie uczestniczył w końcu tego wszystkiego zza okna.

Zamknął oczy.

„Skończyło się” - pomyślał, przyciskając do piersi fotografię z pikniku.

38

Alex usiadł, ciężko dysząc.

Z nogami pod kołdrą, nagim torsem i ścierpniętymi rękami.

Naprzeciw niego stała szafa. Po lewej stronie krzesło, na którym wczoraj wieczorem położył dzinsy i sweter. Wszystko jeszcze spowite w ciemnościach, przesywanych nielicznymi, słabymi promieniami światła dochodzącego ze szczelin w roletach.

- Jenny! - krzyknął i odwrócił się. Oczy dziewczyny wyciągniętej obok niego na łóżku, w którym się kochali, były szeroko otwarte. Podniosła się a następnie mu się przyjrzała, nic nie mówiąc.

- To nie był sen, prawda? - zaczął, a ich myśli się spotkały.

- Widziałam to samo. Dokąd zmierzamy?

- To jedyna odpowiedź, której nam nie dał.

- Jedyna, której szukaliśmy.

- Ruszmy się. Chodźmy stąd.

Jak tylko mogli najszybciej, założyli ubrania, które były już suche. Kiedy otworzyli drzwi i zbiegli na parter, nie zastali nikogo. W domu panowała cisza i nawet z zewnątrz nie dochodziły krzyki ani strzały, jak poprzedniego wieczoru.

Udali się do kuchni, ale była pusta. Nikogo w sypialniach, ani w łazience.

„Karczma” - pomyślał Alex, kierując się do pomieszczenia, w którym poprzedniego wieczoru jedli kolację.

W sali w bujanym fotelu siedziała tylko stara babcia. Jakby nic się nie stało, popatrzyła na niego z tajemniczym uśmiechem. Następnie kiwnęła głową. Wyglądała na spokojną, miała spojrzenie kogoś, kto rozumiał, że czas się kończy.

Alex wrócił do holu, wziął za ramię Jenny i otworzył drzwi wyjściowe.

Wszyscy byli na zewnątrz. Wszyscy mieszkańcy tej ulicy. Skamieniali. Ze spojrzeniem skierowanym ku niebu.

- To jest realne - powiedział Alex, unosząc wzrok.

To samo niebo, które Marco mógł widzieć w swoim wymiarze pierwotnym. To samo niebo, które ktoś obserwował w konkretnej chwili, na każdym krańcu nieskończonych Wieloświatów. Masy chmur przesuwane nieustannie przez wiatr, masy zderzających się na niebie oparów kotłowały się z żywymi kolorami dziwnego zachodu słońca. Asteroida była tam, w samym środku zamieszania i wielobarwnego fresku - dostojnego i wielkiego zarazem jak długa, ognista smuga, która znikwała w przestrzeni.

Jenny obserwowała ulice, gdy nagle zerwała się gwałtowna burza kurzu. Rodziny mieszkające w dzielnicach willowych obejmowały się i trzymały za ręce. Kobiety, mężczyźni, dzieci. Nikt nie uciekał, nikt nie ulegał bezsensownej panice, jaka wybuchła w sercu metropolii. Nic by to nie dało.

- Co robimy? - Alex odwrócił się do Jenny przestraszony, kiedy nieokreślona, dochodząca z oddali wrzawa coraz bardziej zbliżała się, przerywając głuchą ciszę.

- Nie wiem... co się tam dzieje na dole?

Z głębi ulicy zbliżał się tłum ludzi biegnących w kłębach pyłu różnych odpadów. W powietrzu rozlegały się krzyki. Pochodziły z miasta, były donośne i coraz bliższe.

- Jenny, wracamy! - krzyknął Alex. Jego spojrzenie przykute było jeszcze do chaotycznego tłumy, który biegł w panice, ale jego ciało odwróciło się w przeciwną stronę, gotowe do ucieczki.

- Tamtędy! - krzyknęła dziewczyna.

Pobiegł za nią.

Zaraz potem rozległ się huk o nadzwyczajnej sile, wstrząsając ziemią na kilka sekund, powodując drzenie domów i budowli wokół nich. To było jak głośnie dudnienie bębna, którym orkiestra majestatycznie, rytmicznie odmierza rozpoczęcie przedstawienia. Wiatr coraz bardziej się nasilał, a kurz tańczył i kręcił się z mocą tornada. Ludzie na ulicy z przerażeniem wpatrywali się w siebie nawzajem, następnie zaczęli biec w tym kierunku, co chłopiec z dziewczyną. Podążali za nimi jak fala, idąca z miasta i niszcząca wszystko.

Nie obowiązywały już żadne zasady. Żadna godzina policyjna, żaden plan ewakuacji.

Był tylko świat, w którym panował obłęd.

Alex i Jenny biegli do utraty tchu. Co jakiś czas odwracali się, aby rzucić okiem na spieszącą za nimi masę ludzką. Niektórzy upadali i byli deptani przez pozostałych, jakiś starzec wywrócił się i został w tyle. Wszyscy krzyczeli, ale krzyki te ginęły w zgiefku, który wszczynał się po grzmocie - głuchym i strasznym, jak trzęsienie ziemi.

Po kilku minutach Alex i Jenny znaleźli się na otwartej przestrzeni.

- Popatrz... Popatrz, Mediolan! - krzyknął Alex, gdy jego wzrok wyłapał wiadukt autostrady. Czarny płaszcz dymu pokrywał miasto, wchłaniając je.

- Do licha, jest coraz bliżej! Co możemy zrobić? - zapytała Jenny, obserwując bieg asteroidy na niebie.

Alex nie odpowiedział, ale zatrzymał się na chwilę, ciężko oddychając. W głębi duszy był żądny wiedzy o swoim najlepszym przyjacielu złapanym w pułapkę tego dymu, uwięzionym w domu. Który za chwilę wyleci w powietrze wraz ze wszystkim innym.

„Marco, mój przyjacielu” - Alex na chwilę zamknął oczy, próbując nie myśleć o tym, jaki koniec czeka jedyną osobę, którą cenił najbardziej.

Następnemu wstrząsowi ziemi pod ich stopami towarzyszył bardzo silny huk - jeszcze bardziej ogłuszający niż poprzedni.

- Tam, na dole! - krzyknęła Jenny, wyciągając rękę w kierunku stacji benzynowej. Znajdowała się po drugiej stronie drogi publicznej. Jej głos nie mógł dotrzeć do Alexa. Był zagłuszany przez wybuchy, które dźwięczały w ich uszach. Alex zdołał tylko zobaczyć ruchy ust Jenny i śledzić kierunek jej palca wyciągniętego w stronę stacji. Pobiegł razem z nią.

W kilka sekund znaleźli się na tyłach stacji. Obeszli ją i stanęli przed drzwiami wejściowymi do autogrilla, gdy z nieba zaczęły spadać wielkie odłamki gradu, które nad ich głowami przedzierały się przez pokrywę kurzu. Gradowej ulewie towarzyszyły szybkie błyskawice, jakby ktoś z przestrzeni kosmicznej, przy pomocy ogromnego flesza, uwieczniał każdą minutę katastrofy.

Jak tylko Alex zamknął za sobą drzwi, oboje pojęli, jak sprawy mają się w środku. Garstka osób stała nieruchomo przy oknach z głową zadartą do góry i z zahipnotyzowanym wzrokiem. Pozostali, zwłaszcza kobiety i starcy, rzucili się na ziemię. Skulili się za balkonem albo blisko szaf, z rękami na uszach, usiłując obronić się przed wybuchem decybeli, który obezwładniał każdego.

Z czterech głośników umieszczonych na ścianach radio nadawało *Księżycowe rzekę*, ale głos Franka Sinatry nie był w stanie się przebić przez groźny huk burzy gradowej, która szalała za oknami.

- Niech Bóg ma was w swojej opiece... - powiedziała kobieta, chwytając Alexa za sweter i wpatrując się w niego wytrzeszczonymi oczami pełnymi łez. Jej słowa były prawie niesłyszalne. Okna autogrilla drżały, jakby za chwilę miały rozpaść się na tysiąc kawałków. Alex popatrzył na Jenny pytająco, a ona przyciągnęła go do siebie i przyjrzała mu się bardzo intensywnie.

- *Nie chcę tutaj umierać. Znajdziemy to przekłete miejsce!*

Alex wziął głęboki wdech, przytaknął i w jednej chwili byli znowu na zewnątrz.

Dwoje nastolatków biegło wzdłuż obwodnicy w kierunku przeciwnym do tego, który prowadził do Mediolanu. Ale przede wszystkim w kierunku przeciwnym do szalejącego wiatru. Nogi mieli ciężkie, a na ich piersi napierała siła burzy.

Zatrzymali się pod mostem, na obszarze pozornie opustoszałym.

- Nie dam już rady... - powiedział Alex, pochylił się i położył ręce na kolanach. Jego twarz pokryta była pyłem, który wypełniał powietrze, utrudniając oddychanie.

Jenny zbliżyła się do niego i oznajmiła stanowczo:

- Becker powiedział, że jedyną nadzieją na ratunek jest Pamięć. Ale jak do niej dotrzemy?

- Gdyby nam tylko powiedział, co to jest... Za chwilę wszyscy się tutaj spalimy.

Alex spozjrzał za most. Wyglądał, jakby był w centrum tornado. Błyskawice i grzmoty następowały jedno po drugim, pobrzmiwając echem w szczelinach, w których się chowały.

- Marco jest tam, na dole. Pośród dymu. Nie uratuje się.

- My też się nie uratujemy, jeśli natychmiast nie znajdziemy tego miejsca.

Alex rzucił okiem za most i zrozumiał, że nie ma czasu do stracenia. Smuga ognia na niebie obwieszczała nieuchronny koniec. Panie i panowie, ostatni żeton, ostatnie okrążenie.

To była ta chwila, Oczy Alexa zamknęły się, a w jego głowie zaczęły wirować słowa malezyjskiego wróżbity:

„Widzę ciebie robić wielki skok. Ty wielki skok w czarny ocean”.

Potem kolejny flesz, przenoszący go do wczorajszego wieczoru, gdy zobaczył symbol na hełmie ojca rodziny, która ich gościła.

„Tamten symbol... był na karcie wróżbity. Pokazywał mi go. To była moja przyszłość.”

- Chodź za mną, Jenny! Musimy iść do wykopu!

Alex chwycił ją za rękę i zaczęli biec przez most, wzdłuż drogi publicznej. Obszar wokół drogi zajmowały płomienie, palące się samochody i grupy ludzi uciekających bez celu. Burza gradowa szalała, wzniesając kurz. Zdali sobie sprawę, że w trakcie tej zawieruchy nie było ulewy. Były tylko odpady. Zewsząd miliony rozpryskujących się fragmencików, niczym podczas militarnego szturm. Królewska armia szła przed królem, lecz to do króla będzie należał ostatni ruch.

Alex i Jenny biegli w środku tornada szalejących odłamków z dłonią nad czołem, żeby ochronić oczy. On znał ten teren – identyczny jak w jego wymiarze pierwotnym - prace związane z nowym centrum handlowym były o kilkaset metrów dalej. Wiedział to dobrze, przechodził tamtędy często ze swoim ojcem. To był jeden z tych aspektów, który był wspólny zarówno w jego rzeczywistości, jak i w rzeczywistości Jenny. W obu światach, w tym samym miejscu, wyrastało ogromne centrum handlowe.

Dwójka młodych posuwała się bardzo szybko, nie zatrzymywali się. Przemknęli obok mini marketu sieci Bens Korner ze zniszczoną wystawą przy wejściu. Umysły obojga podążyły w stronę opowieści o szabrownikach. Postanowili, że ich ostatnia kolacja w tym życiu będzie pochodziła z napadu na sklep.

Alex przyspieszył, gdy w oddali ujrzał pierwsze żółte koparki z napisem WHITEWORKER. Jenny zdyszana dotrzymywała mu kroku, z sercem w gardle i włosami rozwianymi przez wiatr, pełnymi odłamków i kurzu.

- Dotarliśmy - powiedział chłopak, zwalnając w pobliżu ustawionych w rzędzie niebieskich kabin z napisem TOALETY PRZENOŚNE. - Wróżbita wiedział, że się tutaj dzisiaj znajdziemy. To niewiarygodne...

- Dlaczego tu jesteście, Alex? - zapytała Jenny po przejściu przez barierki.

Przed nimi wyłonił się gigantyczny wykop pod centrum handlowe - dół o szerokości przynajmniej stu metrów, długości dwustu i głębokości pięćdziesięciu. Ściana ognia, która posuwała się od strony wsi, szybko zmierzała do placu budowy..

- Bo ktoś to przepowiedział... - wyjaśnił Alex, wpatrując się w pustkę. - „Widzę, jak wykonujesz wielki skok... wielki skok do czarnego oceanu”. - Głos wróżbity ciągle odbijał się echem między ściankami jego czaszki. Także i Jenny mogła go teraz usłyszeć.

- Wszystko to, co zrobiliśmy, doprowadziło nas tutaj. *Musiał* nas tu doprowadzić.

Alex, boję się - pomyślała dziewczyna.

Naraz przez niebo przemknęła rozżarzona smuga. Asteroida kierowała się ku dołowi zostawiając ognisty ślad ponad ich głowami. Nie minęły dwie sekundy a żółte i czerwone pasmo, które dopiero rozdarło atmosferę, rozbłysło i zniknęło za rysującymi się na horyzoncie górami prowincji Bergamo. Jeśli wcześniej słychać było grzmoty zdolne zagłuszyć każdy inny dźwięk, to teraz były one stokroć silniejsze. Huk był przerażający. Ziemia poruszyła się pod ich stopami.

Odnosiło się wrażenie, jakby ktoś w przestrzeni kosmicznej potrząsał planetą niczym szklaną kulą z motywem bożonarodzeniowym, aby przesypać sztuczny śnieg wewnątrz. Nad górami wznosił się ogromny tuman pyłu i zaczął zakrywać niebo. Dwójka zakochanych obserwowała tę

scenę z osłupieniem, wzajemnie się obejmując.

- Nie mamy już czasu! - krzyknął Alex, odwracając się do Jenny i wpatrując się w jej oczy. Wiatr wydał się potężnym podmuchem niewidzialnego giganta, który od strony wsi z impetem cisnął w ich kierunku płomień.

- To koniec - wyszeptała dziewczyna, ściskając w dłoni triskelion i zagłębiając się w spojrzeniu Alexa.

- Kocham cię, Jenny - oczy Alexa błyszczały. Policzki dygotały ze strachu.

- Ja też. Od zawsze... - przytuliła się do niego, a ich usta złączyły się w ostatnim pocałunku.

Chwila poza czasem, przyrzeczenie wiecznego związku. Całowali się, jakby to był ich pierwszy raz. Jakby byli sami na cichym i magicznym moście w Altonie, z okalającymi ich falami morskimi. Ale nie było żadnej konstelacji Oriona, która czuwałaby nad nimi.

Nagle oczy obojga otworzyły się.

- Spalimy się, Jenny! Musimy skakać - rzucił Alex.

Pokonali ostatnią barierkę ustawioną na skraju wykopu. Jenny złapała jego rękę. Nie zostawiłaby go za nic na świecie.

- Raz...

Uderzyła ich fala gorąca. Asteroida, jakby nie mogła już dłużej stawiać oporu promieniom słonecznym, rozharatała atmosferę ziemską.

- Dwa...

Alex i Jenny spoglądali w przepaść, podczas gdy na niebie rozpoczęło się widowisko na miarę gigantycznego spektaklu sztucznych ogni. Asteroida w zetknięciu z ziemską atmosferą roztrzaskała się na setki ognistych kul. Odłamki były niczym innym jak bombami atomowymi, gotowe zmieść powierzchnię kontynentu. Najbardziej niewiarygodny pokaz, jaki natura mogła zaoferować oczom człowieka. Ostatnia demonstracja siły kosmosu, jakby na potwierdzenie niszczącej wyższości praw Wszechświata nad małością rasy ludzkiej.

Ich dłonie połączyły się w mocnym uścisku.

- Trzy! - krzyknął Alex, kończąc odliczanie.

Mały rozbieg i skoczyli w próżnię, kilka chwil, zanim seria żarzących się strzałów z pocisków skalnych zniszczyła wszystko wokół nich, pisząc słowo „koniec” w historii cywilizacji.

Kiedy spadali, w ich głowach wyświetlały się najważniejsze obrazy i wspomnienia z życia.

Był w nich Roger Graver, który opowiadał małej Jenny historie gwiazdozbiorów, zabawnie naśladując ruchami i głosem bogów Olimpu.

Był Marco z szerokim uśmiechem na twarzy, trzymający w rękach piloty w różnych kolorach, gdy przepytywał Alexa na temat funkcji każdego z nich.

Była Klara przygotowująca swoje wyśmienite napary, kiedy Jenny bolał brzuch, głaskająca i wybuchająca śmiechem, na widok jej wychodzącego pępka.

Był Giorgio i Valeria Loriowie w pierwszym rzędzie podczas przedstawienia w szkole podstawowej, w którym Alex grał rolę D'Artagnana, otrzymując oklaski od wszystkich rodziców.

Potem w jednej chwili zapadła ciemność.

Pierwsze wrażenie to zapach skóry. Powoli wnikał w nozdrza Alexa, gdy ten próbował zobaczyć mgliste sylwetki wokół. Otaczały go nieokreślone kolory i nakładające się na siebie głosy. Czuł, że ma ciężką głowę i że leży na wznak na podłodze. Próbował unieść kark, jednak nerwowo napięte mięśnie uniemożliwiły mu to. Zmartwione twarze kolegów z drużyny nabierały kształtów. Prawym ramieniem obejmował piłkę i przyciskał ją do boku. Wypuścił ją, po czym powoli wstał. Przeszywający ból przetoczył się przez jego czaszkę z jednej do drugiej skroni.

- Kapitanie, dobrze się czujesz? - zapytał ktoś z prawej strony.

Alex nie odpowiedział. Napotkał zaniepokojony wyraz twarzy sędziego. Atmosfera na sali gimnastycznej była spięta, lecz jego uderzył przykry zapach potu. Wyrwana z życia scena do jakiej się przeniósł, należała do dalekiej przeszłości.

Rzut wolny. Mecz. Zemdlenie.

„Żyję... wszyscy żyjemy”.

Jak tylko się podniósł, przejechał ręką po włosach, zaczesując do tyłu biały kosmyk. Sędzia przybliżył się i położył rękę na jego plecach.

- Co ci się stało?

- Nie wiem. - odpowiedział, a w jego umyśle pojawiły się rysy twarzy Jenny. Jej orzechowe oczy, opalona skóra i uśmiech, którego może już nigdy nie zobaczy. Albo którego może *nigdy* nie widział.

- Nie rozumiem...

Mężczyzna w czarnym sportowym stroju i z gwizdkiem na szyi uniósł brwi. Podniósł z ziemi piłkę i podał ją Alexowi.

- Dasz radę? Brakuje dziesięciu sekund do końca meczu. Potem zaprowadzę cię do szkolnego lekarza.

Alex przytaknął, chwycił piłkę i przygotował się do rzutu wolnego. Zaniepokojeni koledzy śledzili go wzrokiem. Jego rzut był słaby i piłka ledwie musnęła siatkę pod żelazną obręczą. Odbiła się od kosza i zatrzymała koło niebieskich materaców. Alex nie ruszył się, by ją podnieść. Zabrał ją kapitan drużyny przeciwnej i gra rozpoczęła się z głębi boiska. Wrócił w pole ataku. Piłka była w rękach rywali. Nie minęła chwila, jak zdobyli trzy rzuty, które przesądziły o wyniku i z entuzjazmem zaczęto fetować zwycięstwo. Kilka sekund później sędzia ogłosił gwizdkiem koniec meczu. Osłupiały i zmieszany Alex opuścił głowę. Koledzy patrzyli na niego spode łba, opuszczając salę gimnastyczną. Jeden z nich potrząsnął głową. Inny przybliżył się z mniej wzburzonym wyrazem twarzy:

- Coś nie tak, kapitanie?

- Jak długo leżałem na ziemi? - zapytał Alex, idąc do szatni.

- Dwadzieścia, trzydzieści sekund... - przyjaciel zmarszczył czoło. - Co, źle się czujesz?

„To nie mógł być sen, to absurd...”.

Alex nie odpowiedział i pozwolił, żeby kolega sobie poszedł. Zobaczył jak sędzia idzie w jego kierunku i nawołuje, by się udał do lekarza.

- Przestań, nic mi nie jest.

Reszta drużyny wchodziła do tunelu prowadzącego do szatni. Alex zauważył swój plecak

oparty o ławeczkę trenera, podniósł go i zniknął za drzwiami. Korytarze świeciły pustką. „Najwyraźniej jest godzina lekcyjna” - pomyślał. Minął toalety, drzwi kilku klas, aż w końcu znalazł schody prowadzące na pierwsze piętro.

Przemierzył je powoli. W jego głowie pojawiały się po kolei wszystkie obrazy, jakie widział po utracie przytomności. Trwało to zaledwie dwadzieścia, może trzydzieści sekund. Marco zawsze mu mówił: „Czas snu nie ma nic wspólnego z czasem rzeczywistym”.

Mary Thompson, molo w Altonie, karta kredytowa Marco, pudło z napisem RAMY, jego ojciec mocujący drewnianą deskę na oknie, wojskowe ciężarówki, triskelion na szyi Jenny, rysunek przedstawiający asteroidę, wykop pod centrum handlowe.

Jego umysł pracował chaotycznie. Raz po raz pojawiał się nowy szczegół. Kiedy wbiegł na ulicę wznosił oczy ku niebu. Później, podczas drogi, zdarzało mu się jeszcze kilka razy spoglądać w górę. Mediolan przykrywały chmury, ale były to zwykłe, szare chmury, które spowijały metropolię w zimie, a opuszczały na wiosnę.

Żadnej asteroidy, żadnej apokaliptycznej wizji.

Para starszych ludzi przypatrywała mu się z zaciekawieniem. Miał na sobie jeszcze spodenki i żółto-niebieską koszulkę drużyny. Mimo że było zaledwie pięć stopni, nie odczuwał zimna. Czuł się wyobcowany i to go paraliżowało. Detale wokół niego wydawały się w takim samym stopniu banalne, co niewiarygodne. Na niektórych wystawach sklepowych wisiały już ozdoby bożonarodzeniowe. Przy skrzyżowaniu ulicy Porpora z Aleją Lombardia zawieszono napis świetlny: WESOŁYCH ŚWIĄT. Panował ten sam zgiełk, co zawsze, wszechobecny wrzask klaksonów, jak tylko światła zmieniały się na zielone. Nic nie przybyło i niczego nie ubyło - był to ten sam stary Mediolan.

„Nie istnieją żadne Wszechświaty” - pomyślał Alex, gdy znalazł się naprzeciw numeru 22 na Alei Lombardia i dzwonił domofonem. Nikt nie odpowiedział. Pora obiadowa, rodzice musieli być jeszcze w pracy. To logiczne - zastanawiał się, kiwając głową - nie zbliżał się żaden koniec świata. Działały bankomaty. Internet nie został wyłączony. Ludzie chodzili do pracy. A on ciągle powtarzał sobie to samo zdanie od kilku minut: „Jestem głupi”

Włożył rękę do zewnętrznej kieszeni plecaka i znalazł klucze.

W tym samym miejscu co zwykle.

Otworzył bramę i wszedł na schody, gwiżdżąc na wszystko. Czy to możliwe, że ta cała historia przyśniła mu się w trzydzieści sekund? Może i tak. A patrząc na to z innej perspektywy, było to błogosławieństwem. Nic z tego, co go otaczało, nie przypominało kupy gruzu. Ale to oznaczałoby, że Jenny nie istnieje.

Nigdzie.

Wszedł do domu i zobaczył karteczkę, którą mama położyła na meblu obok wejścia. *Obok mikrofalówki jest tarta jarzynowa, proszę, poucz się! Ucałowania, mama.*

Kiedy wszedł do pokoju, rzucił plecak obok łóżka i usiadł. Był u siebie. Nic innego. Nic nowego. Nic dziwnego.

- Przez trzydzieści sekund miałem sen o najpiękniejszej dziewczynie, jaką kiedykolwiek widziałem, i o najbardziej przerażającej katastrofie, jaka może się wydarzyć - stwierdził z ironicznym uśmiechem.

Ale zapamiętał wszystko z tego snu.

Każdy szczegół.

„Nie może nie istnieć” - pomyślał, podniósł się z łóżka i usiadł przed komputerem.

Włączył, zaczekał, aż załadują się aplikacje, a potem wpisał w Google: „Jennifer Graver Blyth Street Melbourne”.

W pierwszych linkach wyskoczył adres na Facebooku. Mysz przesunęła się tam prawie automatycznie.

Kiedy otworzyło się zdjęcie dziewczyny, Alex wsparł łokcie na brzegu biurka i poprawił sobie opadający mu na czoło biały kosmyk włosów.

- Wiedziałem - obwieścił, nie rozumiejąc, czy bardziej był szczęśliwy, odkrywając, że Jenny istnieje, czy bardziej przerażony faktem, że cała ta historia wcale nie była koszmarem sennym.

W polu informacji osobistych dziewczyny był numer komórki i adres e-mail. Alex wyjął telefon z plecaka i wybrał numer.

Cisza. Linia wolna.

- Halo?

Cisza.

Zamknięte oczy Alexa.

Szeroko otwarte, z nadzieją, oczy Jenny.

- Alex, to ty?

- Tak, Jenny, to ja. A więc istniejesz.

- Oczywiście. I dokładnie pamiętam, co nam się przydarzyło.

MIESIĄC PÓŹNIEJ

Było chłodno i wiał słaby, delikatny wiatr, a słońce kładło się za horyzontem, otoczone czerwono-pomarańczowymi taflami. Gromada ptaków gonila się po niebie Barcelony,

Chłopiec o wzroście dwóch metrów śmignął na rolkach przed Alexem i Jenny, kierujących się z morskiego bulwaru w stronę mola.

- Dobrze, że nam pozwolili wyjechać, to będzie fantastyczny weekend - powiedziała Jenny z iskrzącymi się oczami, ściskając dłoń Alexa.

- Tym razem nie wymyślałem wymówek, po prostu poprosiłem rodziców o pozwolenie. Wciąż nie mogę w to uwierzyć.

Dziewczyna uśmiechnęła się i opuściła wzrok. Potem podniosła oczy i się rozejrzała. Molo było osłonięte dwoma rzędami skał, a z prawej strony, od Vila Olimpica, gdzie się znajdowali, wylaniał się pas piasku i ciągnął aż do portu. Jenny już widziała te miejsca podczas szkolnej wycieczki. Pamiętała je dobrze.

- Wiesz, czasami wydaje mi się, że to wszystko mi się przyśniło - powiedziała.

- Wcześniej...

- Nie słyszę już w głowie twojego głosu. I robię to samo, co wcześniej.

Alex przytaknął.

- W tym miesiącu zdarzyło ci się... *podróżować*? Wskoczyłaś w inne wymiary, życia alternatywne...

- Nie. A tobie?

Chłopiec pokręcił głową, zmarszczył czoło z wyrazem kogoś, kto stawia sobie tysiące pytań.

- Jeśli to był sen, to jak to możliwe, że mieliśmy *ten sam*? - zapytał, zatrzymując się, aby podziwiać ostatni skrawek słońca, który zniknął między niebem a morzem.

Jenny wzięła go za rękę i odwróciła się, nie odpowiadając. Pobiegli przez molo w stronę promenady i usiedli na ławce, nic nie mówiąc. Powietrze katalońskiego miasta stawało się coraz ostrzejsze.

- Widzisz - podjął - dużo myślałem w tych dniach. Gdyby cała ta historia z asteroida była prawdziwa, to jak wyjaśniłabyś fakt, że rzeczywistość, w której się odnaleźliśmy, jest dokładnie taka sama jak ta, z której przyszliśmy?

- No właśnie. Każdego ranka chodzę do tej samej szkoły, w sobotę mam kurs pływania z tymi samymi koleżankami, moi rodzice czują się dobrze, a umeblowanie mieszkania nie zmieniło się ani odrobinę.

- To samo w Mediolanie. W tym miesiącu nie zauważyłem żadnego szczegółu, który nie znajdowałby się na swoim miejscu. Jeśli uratowaliśmy się przed końcem świata i znaleźliśmy się we wszechświecie równoległym, w którym asteroida nie roztrzaskała się, to jak to możliwe, że nasze życie nawet w drobnej części się nie różni?

Jenny wpatrywała się w daleki punkt.

- Nie ma sensu... nie ma... Jenny? Słuchasz mnie? - dodał Alex.

- Ja... tak. Tak, oczywiście. Przepraszam cię, miałam coś w rodzaju *deja vu*, ale... nie. Nie, nic.

- To znaczy?

-Nie, dajmy spokój, to niemożliwe.

- Co?

- Tam, na dole. Wydawało mi się, że widzę moją koleżankę z klasy, wręczającą pieniądze ulicznemu artyście. Widzisz go?

Jenny wskazała głową, Alex przechylił się na bok i popatrzył ponad rzędem dzieci, idących za nauczycielką. Chłopiec o kolorowej skórze budował z piasku rodzaj amfiteatru, zaraz za murkiem, który oddzielał plażę od deptaku.

- Widzę.

- Hm, może się mylę. Albo jest to *deja vu*, bo gdy byłam tutaj z wycieczką, moja przyjaciółka rzeczywiście dała podobnemu chłopcu jedno euro. Dobrze, zostawmy to.

Alex słuchał Jenny z zainteresowaniem, potem podniósł oczy, jakby zastanawiał się nad istotnym szczegółem tego wydarzenia.

- Wiesz, tak naprawdę takie *deja vu* zdarzyło się i mnie, gdy ocknąłem się w sali gimnastycznej. Kiedy otworzyłem oczy, leżałem na ziemi naprzeciw kosza, przed rzutem wolnym. Dokładnie tam, gdzie znajdowałem się, gdy powiedziałaś mi, że mieszkasz w Melbourne. Na początku tego... *snu*.

- Posłuchaj, Alex. Mam propozycję.

- No, mów.

- Przestańmy o tym rozmawiać. Czy to był koszmar senny, czy jawa, to nie ma żadnego znaczenia. Jesteśmy teraz tutaj, razem. Końca świata nie było, niebo jest wspaniałe i jeśli ten plakat nie kłamie, to do kasyna mogą wejść dzisiaj także nieletni!

Alex uśmiechnął się i wstał:

- Masz rację. Chodźmy się więc zabawić!

Jenny chwyciła chłopca za rękę i przyciągnęła do siebie. Następnie objęła go i pozwoliła na delikatne muśnięcie warg. Mogli zasmakować każdej chwili, nie obawiając się, że będzie ona ostatnią... Mieli dla siebie cały świat, żadna rozżarzona masa skalna nie pędziła ponad ich głowami.

Szli wolno w kierunku kasyna, trzymając się za ręce, pełni życiowej energii i ciekawości.

- Byłaś tam, gdy przyjechałaś z wycieczką? - zapytał Alex, gdy przechodzili przez ulicę.

- Gdzie?

- W kasynie!

Jenny uśmiechnęła się nieporadnie.

- Daj spokój! Znajac moich kolegów, próbowaliby rozbić jednorękiego bandytę. Nie pozwolili nam tego zobaczyć nawet z daleka.

- To tam? - zapytał Alex, gdy zbliżali się do skrzyżowania.

- Myślę, że tak. Tamtego dnia doszliśmy z moimi przyjaciółmi tylko do tego miejsca, ale jeśli się nie mylę, to jest bardzo blisko, wystarczy skręcić w lewo, tam w dół.

Alex jeszcze mocniej ścisnął rękę Jenny, dochodzili do końca ulicy, od przeciwnej strony promenady. Ona śmiała się, rozmarzona i beztroska. On nie był w stanie oderwać od niej oczu. Potem skręcili w jakąś przecznicę.

I znaleźli się naprzeciw nicości.

- Co... co to...? - wyjąkała Jenny. Przed nią była tylko nieskończona jasna przestrzeń. Jak gigantyczny mur, przed którym wzrok się gubił, nie znajdując żadnej perspektywy. To była dziura, bardziej przerażająca od pustki. Tak, jakby ta część świata została wymazana, połknięta przez gęstą, białą mgłę.

Jenny spróbowała zrobić krok do przodu, ale poczuła, że jej nogi są ciężkie jak z kamienia. Oddychała z trudem, a przed jej oczami rzeczywistość zamieniała się w niezapisaną kartę. Kilka razy zamykała i otwierała oczy, ale nic się nie zmieniło.

Stojący obok niej Alex również zauważył nieobecność nie tylko obrazów, ale i dźwięków. Zrobił kilka kroków do tyłu, zahipnotyzowany nicością. Uczucie, którego nigdy nie doświadczył. Nie wiedział, w jakim kierunku idzie, nie mając żadnych innych punktów odniesienia, nie licząc dwóch zasadniczych:

Z jednej strony była promenada hiszpańska, z molo zanurzonym w wodzie. Z drugiej strony - nicość.

- Chodźmy stąd, proszę cię - wyszeptala Jenny z błagalnym i nieufnym spojrzeniem.

Wycofali się i wolnym krokiem, bez słowa wrócili na promenadę. Ale oboje w głębi duszy przeżywali to wszystko jeszcze raz.

Tamte trzydzieści dni.

Droga z domu do szkoły.

Droga z domu na basen.

Sala gimnastyczna, trener.

Rodzice.

Sypialnia.

Wszystko było takie, jakie zapamiętali wcześniej, zanim asteroida zmiotła całą cywilizację.

Jenny przyjrzała się Alexowi i palcami ścisnęła jego ramię.

- Alex, to, co zobaczyłam wcześniej... to nie było *deja vu*. To była ta sama scena. Moja przyjaciółka wręczająca monetę chłopakowi. Dokładnie tak, jak było na wycieczce.

- Ta sama scena... - powtórzył monotonnym głosem, gdy jeszcze raz zobaczył szybko przesuujące się obrazy: karteczkę pozostawioną przez jego matkę na meblu po powrocie z meczu koszykówki, ozdoby choinkowe na ulicach Mediolanu, jego plecak, jej pamiętnik.

- O Boże, to niemożliwe! - krzyknęła Jenny dłońmi przeczesując włosy. Następnie odwróciła się i biegiem ruszyła w stronę pustki, nie rozglądając się nawet na przejściach ulicznych.

Alex zobaczył, jak Jenny znikła za rogiem. Po chwili dał się słyszeć jej przeraźliwy krzyk. Pobiegł za nią przerażony, gotowy na to, że ujrzy obłąkańczy obraz

Jenny pojawiła się przed nim blada na twarzy, z ustami wykrzywionymi w histerycznym uśmiechu:

-To absurdalne.

„Jeśli uratowaliśmy się przed końcem świata i znaleźliśmy się we wszechświecie równoległym, gdzie nie roztrzaskała się asteroida, to jak to możliwe, że nasze życie nawet w drobnej części się nie różni?”

Pytanie, które zadał sobie Alex, krążyło jak kołowrót, przenikając z jego umysłu do głowy Jenny. Powoli nakładały się inne zdania, jakby powstawał wir, w którym wracały i mieszały się jak szalone ich wszystkie wspomnienia.

„Kluczem jest nasz umysł”.

Jenny wyciągnęła rękę w stronę Alexa i zamknęła oczy.

- To jest Pamięć - powiedział głos za nimi.

Kiedy się odwrócili, drewniany stół malezyjskiego wróżbity stał na promenadzie. Siwe włosy, bezładne i rozwiane przez wiatr, poplamione ubranie, nogi splecione pod stołem i karty w ręce.

Dziewczyna i chłopak osłupieli, nie byli w stanie otworzyć ust, a uśmiech na twarzy kabalisty stawał się szyderczy i kpiący.

-Widzicie tylko to, co pamiętacie. To jest *później*.

Jenny spróbowała uwolnić umysł od zamieszania i paniki, aby móc zastanowić się nad słowami mężczyzny. „Byłam tutaj na wycieczce, ale nie widziałam ulicy, kasyna. Doskonale jednak pamiętałam lotnisko, drogę aż tutaj, promenadę i molo...”.

- Pomyślcie o tym. W ostatnich trzydziestu dniach żyliście w jedynej rzeczywistości, jaką znacie. Te same ulice, dom, basen, szkoła, sala gimnastyczna. To jest Pamięć.

- Do licha, kim pan jest? - wybuchnął Alex. - Gdzie, do diabła, jesteśmy? Co się stało?

Wróżbity przygwoździł go stanowczym i przenikliwym wzrokiem.

- Jestem tylko *wysłannikiem*. Kiedy byłeś dzieckiem, przychodziłem, aby ci pokazać, jaka będzie przyszłość. A ty wszystko rysowałeś. Ale nie możesz mnie pamiętać. Także Thomas Becker jest tylko wysłannikiem. Świat, który znaliście, został zniszczony. To, co widzicie, nie jest niczym innym jak echem tamtej apokalipsy, jedynym fragmentem, który pozostał po zniszczeniu. Jedynym miejscem, w którym możecie żyć.

- Ale ja nigdy tu nie byłem, nie znałem tego miasta - oponował Alex.

- Nie potrzebowałeś tego. Twoje i Jenny wspomnienia splatały się. Od zawsze. To jedyne mapy, po których możecie się poruszać.

Alex zamknął oczy i nic nie dodał. Jeszcze raz zobaczył - jak na zwolnionym filmie - skok w próżnię podczas uderzenia asteroidy. A więc spadła naprawdę. W każdym zakątku Wieloświata.

To nie koszmar senny.

Było o wiele gorzej.

- Doskonale. A teraz? - włączyła się sarkastycznie Jenny. Wiatr nasilał się i podnosił z

ziemi czerwone i niebieskie ulotki, które poniewierały się po ulicy.

- Jesteśmy uwięzieni tutaj na wieczność?

Wróżbita rzucił karty na stół, następnie wykonał ruch prawą ręką, otwierając dłoń. W końcu rozpostarł ramiona i teatralnym gestem wskazał otaczającą przestrzeń.

Na plaży byli koledzy z klasy Jenny, którzy grali w piłkę.

W głębi Valeria i Giorgio Loriowie, siedząc na ławce, trzymali się za ręce i gawędzili.

Po drugiej stronie drogi Roger i Klara Graverowie spacerowym krokiem szli w kierunku portu.

Nagle każda osoba obecna w ich polu widzenia przeistoczyła się we fragment z przeszłości. Kolorowy mężczyzna za ladą recepcji St. James. Dziecko w pociągu do Cadorna. Starzec, który jadł samotnie i pamiętał, gdzie mieszkała rodzina Graverów. Mary Thompson. Taksówkarz w Altonie. Policjant, który w Mediolanie wezwał Jenny do powrotu do domu z powodu godziny policyjnej. Giovanni ze strzelbą na ramieniu i rodziną, która gościła Alexa i Jenny w noc poprzedzającą koniec świata.

Wszyscy tam byli. Byli jedyną możliwą rzeczywistością. Byli Pamięcią.

Wróżbita zniknął, pozostawiając młodych zagubionych w labiryncie pytań.

Alex i Jenny zobaczyli go w głębi ulicy.

Zbliżał się powoli. Wyłaniając się z fioletów hiszpańskiego zachodu słońca, stopniowo przybierał kształt. Wszystko wokół było tańcem ulotek na wietrze i osób z przeszłości, które spotkały się na promenadzie.

Alex wytrzeszczył oczy i lekko potrząsnął głową, jakby nie wierzył w to, co widzi. Jenny wzięła go za rękę i głęboko odetchnęła.

Kiedy wózek elektryczny zahamował przed nimi, zobaczyli szczere i promienne spojrzenie Marco. Kilka słów przez niego wypowiedzianych było dla Alexa i Jenny jak iskra w momencie wybuchu. Było tajemnym przejściem prowadzącym do wyjścia. Zdaniem, które otwiera bramy do Wszechświatów.

- Odwagi, młodzieży. Wyjdziemy z tej klatki.